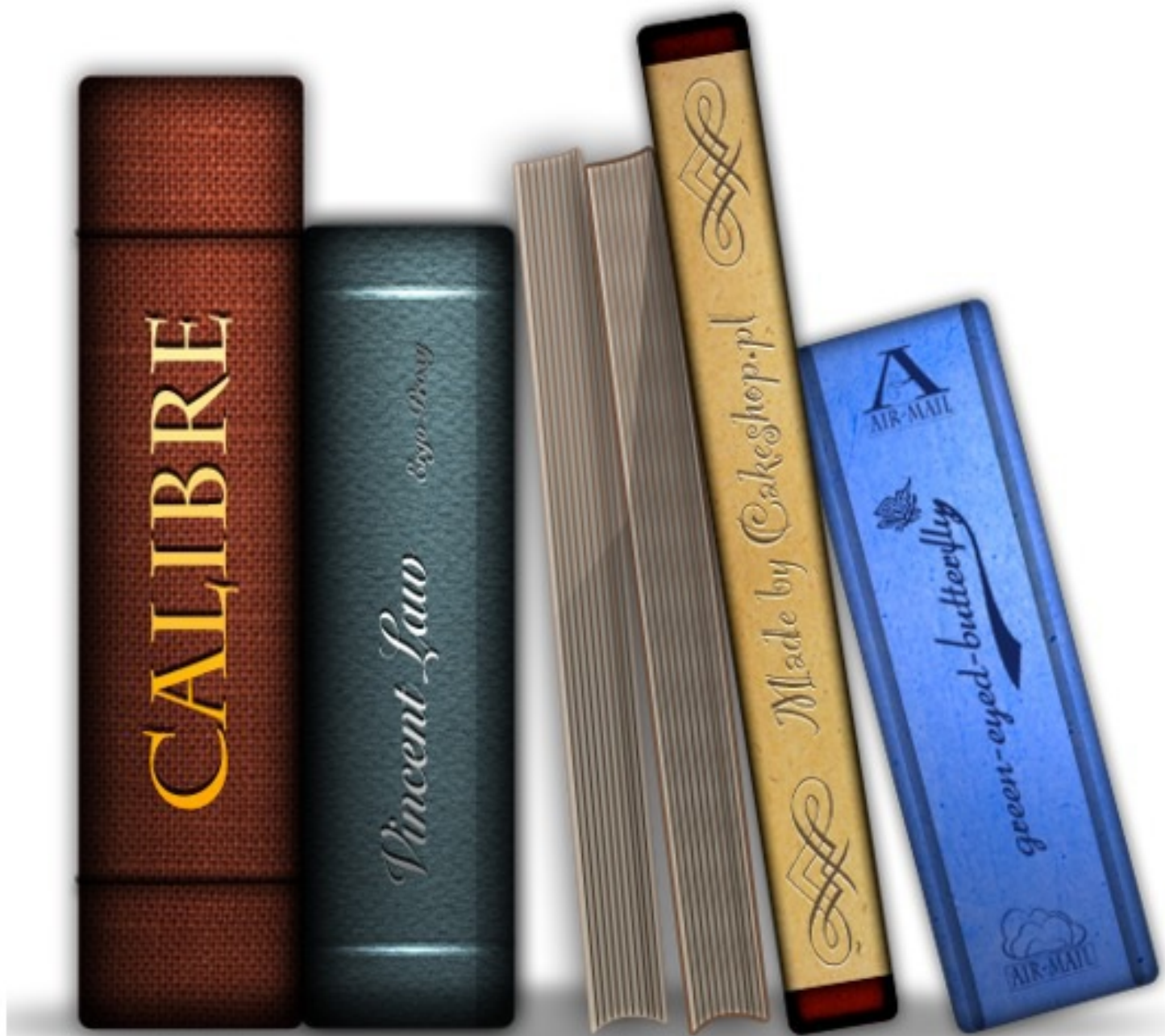


Kroniki Pradawnego Mroku I Wilczy Brat

Paver Michelle



calibre 0.7.27

Paver Michelle
Kroniki Pradawnego Mroku I
Wilczy Brat

Przełożył Tomasz Piwowarczyk

Copyright © Michelle Paver, 2004
Copyright © for the Polish edition by
Wydawnictwo W.A.B., 2005

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Wydanie I

Warszawa 2007

Torak przebudził się gwałtownie ze snu, w który zapadł mimo woli. Ognisko paliło się leniwie. Chłopiec skulił się w drżącym kokonie światła i wpatrzył w złowrogą czerń Lasu. Nic nie widział. Do jego uszu nie dochodził żaden dźwięk. Czy to wróciło? Stało tam teraz, przyglądając mu się płonącymi, morderczymi oczami?

Torak był zmarznięty i głodny. Wiedział, że musi coś zjeść, że boli go ręka, a oczy pieką ze zmęczenia, lecz tak naprawdę nie czuł nic. Przez całą noc czuwał przy resztkach rozbitego szałas, który sklecieli ze świerkowych gałęzi, i patrzył, jak ojciec krwawi. Jak się to wszystko mogło stać?

Zaledwie wczoraj – wczoraj – rozbijali obóz w błękitnawej poświacie jesiennego zmierzchu. Torak powiedział coś zabawnego, a ojciec się śmiał. Nagle Las eksplodował wrzaskiem kruków i skrzypieniem sosen. Z ciemności za drzewami wypadło na nich coś jeszcze od niej czarniejszego: wielka, oszalała groza w niedźwiedziej postaci.

Śmierć zajrzała im w oczy. Kłębowisko szponów. Kakofonia przeraźliwych dźwięków. W jednej chwili potwór rozbił szałas w drzazgi. W jednej chwili rozpruł ojcu bok, zostawiając poszarpaną ranę. Potem zniknął, bezgłośnie niczym mgła rozplynął się w Lesie.

Ale który niedźwiedź podkrada się do człowieka – a potem znika, nie dokończywszy polowania? Który niedźwiedź bawi się zwierzyną?

Gdzie jest teraz?

Torak nie sięgał spojrzeniem poza krąg światła, ale wiedział, że polana także była w opłakanym stanie, usiana połamanymi drzewkami i stratowanymi krzakami paproci. Wyczuwał woń krwi sosnowej i rozoranej pazurami ziemi. Dochodziło go łagodne, smętne bulgotanie strumienia przepływającego trzydzieści kroków dalej. Niedźwiedź mógł być wszędzie.

Za pleców dobiegł go jęk ojca, który powoli podniósł powieki i spojrzał na syna, nie rozpoznając go.

–To... to ja... – wyjąkał Torak ze ściśniętym sercem. – Jak się czujesz?

Szczupłą, brązową twarz ojca wykrzywił spazm bólu. Policzki poszarzały, klanowe tatuaże ostro odcinały się na ich tle. Pot pozlepiał w strąki jego długie, ciemne włosy.

–Rana była tak głęboka, że kiedy Torak usiłował niezręcznie zatamować krew kępą mchu, ujrzał wnętrzości połyskujące w blasku ogniska. Musiał zacisnąć zęby, aby powstrzymać mdłości. Miał nadzieję, że Tata nie zauważy – ale dostrzegł to, oczywiście... Tata był myśliwym. Widział wszystko.

–Torak... – wydyszał.

Wyciągnął rękę, gorące palce zacisnęły się kurczowo na dłoni Toraka, łapczywe jak palce dziecka. Chłopiec przełknął ślinę. To synowie ściskają ojców za rękę, nie na

odwrót.

Powiedział sobie, że będzie użyteczny: będzie mężczyzną, nie chłopcem.

–Mam jeszcze trochę liści krwawnika – rzekł, sięgając wolną ręką do torby z lekarstwami. – Może one powstrzymają...

–Zatrzymaj je. Sam krwawisz...

–Nie boli – skłamał Torak. Rzucając nim o brzozę, niedźwiedź potłukł mu żebra i rozciął rękę.

–Torak... odejź. Teraz. Zanim on wróci. Chłopiec wpatrywał się w ojca. Otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

–Musisz – powiedział ojciec.

–Nie. Nie. Nie mogę...

–Ja umieram. Jeszcze przed wschodem słońca będę martwy.

Torak zacisnął dłoń na torbie z lekarstwami. Dzwoniło mu w uszach.

–Tato...

–Daj mi... czego mi trzeba do Podróży Śmierci. A potem pozbieraj swoje rzeczy. Podróż Śmierci. Nie. Nie! Twarz ojca była surowa.

–Mój łuk – powiedział. – I trzy strzały. Weź resztę. Tam, gdzie idę... polowanie jest łatwe.

Obcisłe spodnie z jeleniej skóry, które Torak miał na sobie, były rozdarte w okolicy kolana. Wbił paznokiec kciuka w odsłonięty kawałek ciała. Zabolalo. Skupił się na tym ze wszystkich sił.

–Jedzenie – wychrypiał ojciec. – Suszone mięso... Weź wszystko.

Spod palca Toraka popłynęła krew. Nacisnął mocniej. Starał się nie wyobrażać sobie ojca podczas Podróży Śmierci. Usiłował nie myśleć o samotności w Lesie. Ledwie skończył dwanaście lat. Nie zdoła przetrwać sam. Nie wie jak.

–Torak! Rusz się!

Zamrugnął gwałtownie, sięgnął po ojcowską broń i położył ją u jego boku. Podzielił strzały, kalecząc palce o ostre krzemienne groty. Przewiesił przez ramię swój kołczan i łuk, i odnalazł pośród szczątków obozowiska mały toporek z czarnego bazaltu. Leszczynowy tobolek poszedł w strzępy podczas ataku, więc musiał upchnąć pozostałe przedmioty w kaftanie albo przytroczyć je sobie do pasa.

Sięgnął po śpiwór ze skóry renifera.

–Weź mój – wymamrotał ojciec. – Nie uda ci się... naprawić swojego. I... zamień noże.

Torak był wstrząśnięty.

–Nie twój nóż! Będziesz go potrzebować!

–Tobie bardziej się przyda. Poza tym... dobrze będzie zabrać w Podróż Śmierci coś twojego.

–Tato, proszę. Nie...

W Lesie trzasnęła gałązka. Torak odwrócił się.

Otaczała ich absolutna ciemność. Gdziekolwiek spojrzeł, cienie nabierały niedźwiedzich kształtów. Żadnego wiatru. Ani ptasich śpiewów.

Słyszał tylko trzask ognia i łomot własnego serca. Las zdawał się wstrzymać

oddech. Ojciec oblizwał wargi z potu.

–Nie ma go tu jeszcze – powiedział. – Ale będzie. Niedługo po mnie przyjdzie...

Prędko, noże.

Torak nie chciał zamieniać noży. To oznaczało koniec. Ale wzrok ojca, wpatrującego się weń z natężeniem, nie dopuszczał odmowy.

Zaciskając do bólu szczęki, wsunął swój nóż w dłoń Taty. Potem odwiązał pochwę z jeleniej skóry, którą ojciec nosił u pasa. Jego nóż, piękny i śmiertelnie niebezpieczny, miał ostrze w kształcie liścia wierzby, zrobione z błękitnego łupka, i trzonek z rogu płowego jelenia, opięty ścięgnem łosia dla pewniejszego chwytu. Prawda poraziła go jak grom, gdy spoglądał na nóż. Przygotowywał się do życia bez Taty.

–Nie zostawię cię! – krzyknął. – Będę z nim walczył, będę...

–Nie! Nikt nie pokona tego niedźwiedzia! Kruki na drzewach zerwały się do lotu.

Chłopiec poczuł, że zapiera mu dech.

–Posłuchaj – syknął ojciec. – Niedźwiedź, każdy niedźwiedź, jest najsilniejszym myśliwym w Lesie. Wiesz o tym. Ale ten niedźwiedź... jest znacznie silniejszy.

Torak poczuł, że podnoszą mu się włoski na rękach. Zajrzał ojcu w oczy; zobaczył małe, szkarłatne żyłki, okalające dwie otchłanie mroku.

–Jak to? – szepnął. – Jak...

–On jest... opętany. – Zawzięty wyraz twarzy ojca sprawiał, że nie wyglądał już jak Tata, którego znał Torak. – Coś... demon... z Zaświatów... wstąpił w niego i sprawił, że stał się zły.

Cicho trzasnął żar. Drzewa nachylały się ku nim z mroku, nasłuchując.

–Demon? – powtórzył Torak. Ojciec zamknął oczy, by zebrać siły.

–On żyje tylko po to, żeby zabijać – odezwał się wreszcie. – Zabijając, robi się coraz silniejszy. Rozedrze na strzepy... wszystko. Zwierzynę. Klany. Wszystko umrze. Las umrze... – Urwał. – Za miesiąc będzie już za późno. Demon stanie się zbyt... potężny.

–Za miesiąc, Ale...

–Pomyśl, Torak! Kiedy czerwone oko na nocnym niebie osiąga szczyt, demony są najsilniejsze. Wiesz o tym. Gdy to nadejdzie, ten niedźwiedź... stanie się niepokonany. – Ojciec walczył o każdy oddech. W blasku ogniska Torak dostrzegł drganie pulsu na jego szyi. Tak słabego, jakby miał się w każdej chwili zatrzymać. – Musisz... coś mi przyrzec.

–Wszystko.

Ojciec przełknął ślinę.

–Pójdiesz na północ. To wiele dni marszu. Odszukasz... Górę... Ducha Świata.

Torak wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Co takiego?

Ojciec podniósł powieki i utkwiał wzrok w gałęziach zwieszających się nad ich głowami, jak gdyby widział tam coś, czego nie mógłby dostrzec nikt inny.

–Odszukaj ją – powtórzył. – To jedyna nadzieja.

–Ale... nikt nigdy jej nie odnalazł. Nikt nie dał rady.

–Tobie się uda.

–Jak? Ja nie...

–Przewodnik... cię znajdzie.

Torak był oszołomiony. Nigdy przedtem ojciec nie mówił do niego w ten sposób. Był rozsądnym człowiekiem, myśliwym.

–Nic z tego nie rozumiem! – krzyknął Torak. – Jaki przewodnik? Dlaczego muszę odszukać Górę? Czy tam będę bezpieczny? O to chodzi? Tam niedźwiedź mnie nie dostanie?

Wzrok ojca oderwał się od gałęzi na tle nocnego nieba, by spocząć na twarzy syna. Mężczyzna patrzył, jakby się zastanawiał, ile Torak jest w stanie znieść.

–Jesteś za młody – powiedział. – Sądziłem, że będę miał więcej czasu. Tyle ci jeszcze nie powiedziałem. Mam... mam nadzieję, że nie znienawidzisz mnie kiedyś za to.

Torak popatrzył nań ze zgrozą. Potem wstał pośpiesznie.

–Nie uda mi się samemu. Chyba powinienem...

–Nie! – Ton ojca przejmował dreszczem. – Całe życie trzymałem cię od nich z dala. Nawet... od Klanu Wilka. Unikaj ludzi! Jeżeli się dowiedzą, co potrafisz...

–O co ci chodzi? Nie...

–Nie mamy czasu – przerwał ojciec. – Przysięgnij. Na mój nóż. Przysięgnij, że odzujesz Górę albo zginiesz.

Chłopiec mocno przygryzł wargi. Pomiędzy drzewami na wschodzie szarzało. Nie teraz, pomyślał, czując paniczny strach. Błagam, nie teraz!

–Przysięgnij – syknął ojciec.

Torak ukląkł i uniósł nóż. Ciężki nóż mężczyzny, za duży dla niego. Wykonał niezręczny ruch i dotknął ostrzem zranionej ręki. Potem przyłożył broń do ramienia, gdzie, wszyty w kaftan, znajdował się pasek wilczego futra, ich klanowego zwierzęcia. Łamiącym się głosem wypowiedział słowa przysięgi:

–Przysięgam na moją krew na tym ostrzu, na każdą z moich trzech dusz, że odnajdę Górę Ducha Świata lub zginę.

Ojciec odetchnął.

–Dobrze. Dobrze. Teraz Znaki Śmierci. Prędko. Niedźwiedź... jest blisko.

Torak poczuł słone ukłucia łez. Otarł je ze złością.

–Nie mam ochry – wymamrotał.

–Użyj... mojej.

Jak we śnie odszukał mały róg na lekarstwa, który należał do jego matki. Jak we śnie wyjął czarny dębowy korek i wytrząsnął trochę czerwonego proszku na dłoń.

Raptem zamarł.

–Nie potrafię.

–Potrafisz. Zrobisz to dla mnie.

Torak splunął w dłoń. Brunatnoczerwona krew ziemi zmieniła się w lepki maź, którą zaznaczał niewielkie kręgi na skórze ojca, aby jego trzy dusze mogły się nawzajem rozpoznać i nie rozłączyły po śmierci.

Najpierw, najdelikatniej jak mógł, ściągnął ojcu buty z bobrowej skóry i na obu piętach narysował dwa kręgi – znaki dla duszy imienia. Potem narysował jeszcze

jeden, wokół serca – znak dla duszy klanu. Nie było to łatwe, pierś ojca pokrywały bowiem blizny starych ran i Torak zdołał zakreślić jedynie krzywy, owalny kształt. Miał nadzieję, że to wystarczy.

W końcu postawił najważniejszy: krąg na czole – znak dla duszy świata Nanuak. Nim skończył, połykał łzy.

–Teraz lepiej – mruknął ojciec, a Torak przerażony spostrzegł, że puls na szyi ojca słabnie.

–Nie możesz umrzeć! – wybuchnął.

Ojciec przypatrywał mu się z bólem i tęsknotą.

–Nie zostawię cię, Tato...

–Torak, złożyłeś przysięgę. – Powieki ojca ponownie opadły. – Weź torbę z lekarskami. Nie będą mi już potrzebne. Pozbieraj swoje rzeczy i przynieś mi wodę ze strumienia. A potem idź.

Nie będę płakać, wmawiał sobie Torak, zwijając ojcowski śpiwór i przywiązując go sobie do pleców. Zatknął topór za pas, a torbę z lekarskami wsunął do kaftana.

Wstał i rozejrzał się za bukłakiem. Rozerwany na strzępy. Trzeba będzie przynieść wodę w liściu szczawiu. Zamierzał już odejść, gdy ojciec niewyraźnie zawołał go po imieniu.

Torak odwrócił się.

–Tak, Tato?

–Pamiętaj. Oglądaj się za siebie, kiedy będziesz polować. Wciąż... ci to powtarzałem. – Zmusił się do uśmiechu. – A ty... zawsze zapominałeś. Oglądaj się za siebie. Dobrze?

Torak skinął głową. Spróbował odpowiedzieć uśmiechem i zaczął się przedzierać na oślep przez mokre paprocie w kierunku strumienia.

Robiło się coraz jaśniej, powietrze pachniało świeżo i słodko. Drzewa wokół krwawiły: złocista krew sosnowa sączyła się w miejscach, gdzie niedźwiedź zatopił swe pazury. Duchy drzew jęczały cichutko w porannej bryzie.

Torak dotarł do strumienia. Nad paprociami wokół unosiła się mgła, wierzby moczyły palce w zimnej wodzie.

Rozejrzał się prędko, zerwał liść szczawiu i ruszył, by nabrać wody, zapadając się w miękkie, czerwone błoto. Zamarł.

Zobaczył ślad niedźwiedzia przed swoją prawą nogą. Odcisk przedniej łapy: dwukrotnie większy od głowy Toraka i tak świeży, że widać było jeszcze miejsca, w których długie, zniechęcone szpony wgryzły się w błoto.

Torak, oglądaj się za siebie.

Odwrócił się.

Wierzby. Olchy. Jodły.

I nic więcej.

Podskoczył, gdy na pobliską gałąź sfrunął kruk. Ptak złożył sztywne, czarne skrzydła i przyglądał mu się badawczo. Po chwili poruszył głową, zakrakał i odleciał.

Torak spojrzał tam, gdzie kruk zdawał się wskazywać.

Cisy spowite mrokiem. Świerki ociekające wilgocią. Gęste. Nieprzeniknione.

Ale w gęstwinie – nie dalej niż dziesięć kroków od niego – gałęzie się poruszyły. Coś tam było. Coś ogromnego.

Torak usiłował zachować spokój, ale myśli rozpierzchły się w panice. Poczł nagłą pustkę w głowie.

„Musisz wiedzieć, że niedźwiedz – mówił mu zawsze ojciec – potrafi poruszać się ciszej niż oddech. Może stać dziesięć kroków od ciebie i obserwować cię, a ty się nie zorientujesz. Nie ma przed nim obrony. Biega szybciej niż ty. Potrafi się wspiąć wyżej. Nie pokonasz go w samotnej walce. Wszystko, co możesz zrobić, to nauczyć się jego zwyczajów, poznać jego ścieżki, i starać się go przekonać, że nie jesteś ani zwierzyną, ani zagrożeniem.”

Zmusił się, by stać nieruchomo. Nie uciekaj. Nie uciekaj. Może nie wie, że tu jesteś.

Rozległ się gardłowy syk. Gałęzie poruszyły się znowu.

Dał się słyszeć stłumiony szelest, gdy stworzenie ruszyło w stronę ich schronienia: ku miejscu, gdzie leżał ojciec. Torak stał sztywno i cicho, czekając, aż przejdzie. Tchórz! – zakrzyknął w duchu. Pozwoliłeś mu przejść, nie próbując nawet ratować Taty!

Ale czy można było cokolwiek zrobić? – odezwała się cząstka umysłu Toraka, wciąż zdolna do rozsądnego myślenia. Tata wiedział, że tak będzie. Właśnie dlatego posłał cię po wodę. Wiedział, że niedźwiedz idzie po niego...

–Torak! – rozległ się przeraźliwy krzyk ojca. – Uciekaj!

Chmara kruków poderwała się z drzew. Las zadrżał, wypełniając się rykiem, który trwał i trwał, rozsadzając Tomkowi głowę.

–Tato! – wrzasnął.

–Uciekaj!

Las ponownie zatrzęsł się w posadach. Raz jeszcze ojciec krzyknął przeraźliwie. Raptem wszystko ucichło. Torak wepchnął pięść do ust.

Dostrzegł pomiędzy drzewami wielki, czarny cień majaczący wśród resztek schronienia. Odwrócił się i zaczął uciekać.

Przedarł się przez olszynową gęstwinę i zapadł po kolana w bagno. Brzozy szeptały sobie nawzajem, że idzie. Błagał je milcząco, by nie powiedziały tego niedźwiedziowi. Zraniona ręka paliła ogniem, z każdym oddechem ból kąsał potłuczone żebra, lecz Torak nie miał odwagi się zatrzymać. Las był pełen oczu. Torak wyobraził sobie ścigającego go niedźwiedzia. Biegł dalej.

Przestraszył młodego knura, ryjącego w poszukiwaniu orzechów ziemnych. Warknął przepraszająco, by uchronić się przed atakiem. Knur chrząknął z irytacją i pozwolił mu przejść.

Dobiegło go warczenie rosomaka, który ostrzegał, by się trzymał od niego z dala, a Torak w odpowiedzi zawarczał najgroźniej jak potrafił, gdyż do rosomaków da się przemówić jedynie groźbami. Zwierzę uznało, że nie były to czcze pogrożki i pomknęło na drzewo.

Niebo na wschodzie robiło się szare jak sierść wilka. Zaryczał grzmot. Błyskawica wydobyła z szarugi nieskazitelną zieleń drzew. Pada w górach, pomyślał Torak w

odrętwieniu. Trzeba uważać na przejściowe powodzie. Aby odegnąć grozę, postanowił skoncentrować się na tym. Nie udało się. Biegł dalej.

W końcu przystanął, gdyż musiał odetchnąć. Wsparł się o dąb i podniósł głowę, by spojrzeć na ruchliwe zielone liście. Drzewo mrucało do siebie jakieś tajemnice, nie zdradzając się przed nim.

Po raz pierwszy w życiu Torak był naprawdę sam. Nie czuł się już częścią Lasu. Tak jakby jego dusza świata zerwała więzi ze wszystkimi żyjącymi istotami: drzewami i ptakami, myśliwym i zwierzyną, rzeką i kamieniem. Nie było na świecie stworzenia, które wiedziałoby, co czuł. Żadne nie chciałoby wiedzieć.

Gwałtowne szarpnięcie bólu w ramieniu przerwało potok myśli. Torak wyjął z torby z lekarstwami ostatni kawałek brzoźowego łyka i niezgrabnie opatrzył ranę. Odepchnął się od pnia i rozejrzał wokół.

Dorastał w tej części Lasu. Znał dobrze każdą nierówność terenu i każdą polanę. Doliną na zachodzie płynęła Czerwona Woda: zbyt płytka dla łódek, ale na wiosnę, kiedy z morza przyływały łososie, dostarczająca obfitych połowów. Na wschodzie, aż po skraj Puszczy rozciągał się przestronny, słoneczny zagajnik, obfitujący jesienią w tłustą zwierzynę, pełen orzechów i jagód. Na wrzosowiskach na południu pasły się zimą renifery, wyjadając mech spod śniegu.

Tata zwykł mawiać, że najlepsze w tej części Lasu jest to, iż tak rzadko przychodzą tu ludzie. Czasem zaglądali w te strony nieliczni należący do dziwnego klanu Wierzby, zamieszkującego nadmorskie ziemie na zachodzie, lub z klanu Żmii z południa, ale nigdy nie zostawali na dłużej. Przechodzili tędy po prostu, polując swobodnie, jak wszyscy w Lesie, nie zdając sobie nawet sprawy, że Torak z Tatą również polują w tym miejscu.

Torak nigdy się nad tym nie zastanawiał. Zawsze żyli w ten sposób: tylko we dwóch, z dala od klanów. Teraz jednak tęsknił do ludzi. Chciało mu się krzyczeć, wołać o pomoc.

Ale Tata ostrzegał, by trzymał się z dala od ludzi. Poza tym krzyk mógł przyciągnąć niedźwiedzia. Niedźwiedź!

Poczuł, że panika chwyta go za gardło. Zdławił ją. Odetchnął głęboko i znowu zaczął biec, tym razem w bardziej wyrównanym tempie. Zmierzał na północ.

Biegając, dostrzegał wokół ślady pozostawione przez zwierzynę. Tropy łosia. Odchody tura. Dobiegł go szelest paproci, trącanych przez przechodzącego leśnego konia. Niedźwiedź ich nie wystraszył. Jak dotąd.

Więc może ojciec się mylił? Może z tego wszystkiego pomieszało mu się w głowie?

–Twój tata to wariat – drwiły z Toraka dzieci pięć lat wcześniej, gdy udali się na wybrzeże, by wziąć udział w corocznym zgromadzeniu klanowym. Było to pierwsze takie zgromadzenie w życiu Toraka i okazało się katastrofą. Ojciec nigdy więcej go nie zabrał.

–Podobno połknął oddech ducha – kpily dzieci. – Dlatego zostawił swój klan i żyje w samotności.

Torak wpadł we wściekłość. Wdałby się w bójkę ze wszystkimi, gdyby ojciec się

nie zjawił i go nie odciągnął.

–Nie zwracaj na nich uwagi, Torak – śmiał się. – Sami nie wiedzą, co mówią. Miał rację, oczywiście.

Ale czy nie mylił się co do niedźwiedzia?

Drzewa przed Torakiem otworzyły się na polanę. Potknął się i zatoczył na zalaną słońcem przestrzeń. Owiał go smród zgnilizny.

Przystanął chwiejnie.

Konie leśne leżały tam, gdzie niedźwiedź porzucił je niby zepsute zabawki. Żaden padlinożerca nie odważył się nimi pożywić. Nawet muchy nie latały wokół.

Torak widywał już ofiary niedźwiedzia, ale to nie przypominało niczego, z czym się dotąd zetknął. Kiedy zwykły niedźwiedź biesiaduje, obdziera upolowaną zwierzynę ze skóry, pożera wnętrzności i zadnie części, a resztę ukrywa na później. Jak każdy inny łowca, nie marnuje niczego. Ten niedźwiedź jednak nie ugryzł żadnego z martwych koni więcej niż raz. Nie zabijał z głodu. Zabijał dla przyjemności.

U stóp Toraka leżało martwe źrebię, kopytka wciąż pokrywała glina z rzeki, z której zwierzę piło po raz ostatni. Co za stworzenie morduje całe stado? Co za stworzenie zabija dla przyjemności?

Przypomniał sobie, jak przez jeden przerażający moment widział błysk w oczach niedźwiedzia. Nigdy nie widział takich oczu. Odbijała się w nich nieskończona furia i nienawiść do wszystkich żyjących istot. Gotujący się, kipiący chaos Zaświatów.

Rzecz jasna, ojciec miał rację. To nie był niedźwiedź, lecz demon. Demon, który nie przestanie zabijać, póki Las nie umrze.

„Nikt nie pokona tego niedźwiedzia” – powiedział ojciec. Czy zatem Las był skazany na zagładę? Dlaczego on, Torak, miał odszukać Górę Ducha Świata? Miejsce, którego nikt nigdy nie widział?

Głos ojca rozbrzmiewał echem w jego umyśle. Przewodnik cię znajdzie.

Jak? Kiedy?

Torak opuścił polanę i na powrót zanurzył się w cień drzew. Znowu zaczął biec.

Biegł całą wieczność. Biegł, aż stracił czucie w nogach. Wreszcie, gdy dotarł do długiego, porośniętego lasem zbocza, musiał przystanąć; zgiął się wpół, ciężko dysząc.

Raptem poczuł wilczy apetyt. Sięgnął do torby z jedzeniem – i jęknął z rozczarowaniem. Pusta. Zbyt późno przypomniał sobie o równych paskach jeleniego mięsa, które zostały w miejscu ich ostatniego schronienia.

Torak, ty głupcze! Pierwszy dzień jesteś sam, a już spaprałeś! Sam...

To niemożliwe. Tata naprawdę odszedł? Odszedł na zawsze?

Stopniowo zaczął docierać do jego świadomości nikły, skomlący dźwięk, dochodzący z drugiej strony pagórka.

Znowu to usłyszał. Młode płaczące za matką.

Serce zabiło mu żywiej. Dzięki ci, Wielki Duchu! Łatwy łup. Torak poczuł, że żołądek ściska mu się na myśl o świeżym mięsie. Nieważne, co to za zwierzę. Był tak głodny, że zjadłby nietoperza.

Przypadł do ziemi i przeczołgał się pomiędzy brzozaami na szczyt wzniesienia.

Z góry rozciągał się widok na wąski żleb, przez który płynęła mała, bystra rzeczka. Rozpoznał ją: Wartka Woda. Latem razem z ojcem często rozbijali obóz kawałek dalej na zachód, by zbierać lipową korę do wyrobu lin; jednakże ten odcinek nie wyglądał znajomo. Po chwili zdał sobie sprawę dlaczego.

Nieco wcześniej musiały spłynąć z gór ryczące masy wody. Woda zdążyła już opaść, ukazując śmietnik mokrego poszycia. Trawa zwieszała się z gałęzi młodych drzew. Powódź zniszczyła wilcze legowisko na drugim zboczach wąwozu. Właśnie tam, pod wielkim czerwonym głazem o kształcie śpiącego tura, niczym dwa przemoczone futrzane płaszcze, leżały dwa martwe wilki. Ciała trzech szczeniąt unosiły się na powierzchni pobliskiej kałuży.

Obok, trzęsąc się z zimna, siedziało czwarte.

Szczenie miało może ze trzy miesiące. Chude i przemoczone, kwiliło z cicha do siebie, uskarżając się na swój los.

Torak drgnął niespokojnie. Nie wiadomo jak, ów dźwięk wywołał w jego umyśle poruszającą wizję: Czarne futro. Ciepła ciemność. Obfite, tłuste mleko. Matka wylizująca do czysta. Drapanie maleńkich pazurków i poszturchiwanie małych, chłodnych nosów. Puszyste kulki szczeniąt stłoczonych wokół niego – najmłodszego wilczka w miocie.

Obraz był gwałtowny i jasny niczym błyskawica. Co mógł oznaczać?

Dłoń Toraka zacisnęła się na nożu ojca. Nieważne, co to znaczy, powiedział sobie. Wizje cię nie nakarmią. Jeżeli nie zjesz tego szczenięcia, będziesz zbyt słaby, aby polować. Poza tym, wolno ci zabić zwierzę klanowe, jeżeli umierasz z głodu. Wiesz o tym.

Wilczek podniósł łeb i zawył rozziewając.

Torak słuchał – i rozumiał.

W jakiś dziwny, niezgłębiony sposób pojął wysokie, wibrujące dźwięki. Jego umysł rozpoznał ich kształt. Przypomniawszy sobie, co znaczą.

To niemożliwe, pomyślał.

Wysłuchał się w skowyt szczenięcia. Dźwięki jeden po drugim zapadały w jego umysł.

Dlaczego nie chcecie się ze mną bawić? – pytało szczenie swoją martwą rodzinę. Co ja takiego zrobiłem?

Ciągnęło się to bez końca. Torak słuchał i czuł, że coś się zaczyna w nim budzić. Mięśnie na karku napięły się. Poczuł, jak z głębi krtani wyrywa się odpowiedź. Zwalczył pokusę, by odrzucić głowę do tyłu i zawyc.

Co się działo? Nie czuł się już jak Torak. Nie jak chłopiec, syn, członek klanu Wilka – a przynajmniej nie tylko. Jakaś jego część była wilkiem.

Poczuł chłód wiatru na skórze.

W tym samym momencie wilczek przestał skowyczeć i odwrócił się w jego stronę. Oczy miał rozbiegane, lecz duże uszy nastawione: szczenie węszyło w powietrzu. Wyczuło go.

Torak popatrzył na małe, wystraszone stworzenie i odegnał współczucie.

Wydobył nóż zza pasa i ruszył w dół zbocza.

Wilczek nie do końca rozumiał, co się stało. Badał właśnie wzniesienie obok Legowiska, gdy nagle Szybka Wilgoć zaczęła ryczeć, a teraz matka, ojciec i bracia ze stada leżeli w błocie – i nie zwracali na niego uwagi. Nim jeszcze nastąpiło Światło, długi czas szturchał ich nosem i kąsał w ogony – ale wciąż się nie poruszali. Nie wydawali żadnych dźwięków i mieli bardzo dziwną woń: jak zwierzyna, ale nie taka, która ucieka, lecz zwierzyna Bez Oddechu: taka, którą się je.

Szczenię było przemoczone, zmarznięte i bardzo głodne. Wielokrotnie lizało pysk matki, prosząc, aby dała mu trochę przeżutego jedzenia, ale nawet nie drgnęła. Co tym razem zrobiło nie tak?

Wilczek wiedział, że był najmniej grzecznym szczeniakiem z miotu. Ciągłe go karcono, ale on nie mógł nic na to poradzić. Uwielbiał próbować wszystkiego, co nowe. Było więc trochę niesprawiedliwe, że teraz, kiedy jak każde posłuszne szczeniaki nie oddalał się od Legowiska, nikt tego nawet nie zauważył.

Przydreptał do kałuży, w której leżeli jego bracia, i zaczął chleptać. Stojąca Wilgoć miała zły smak.

Zjadł trochę trawy i kilka pajaków.

Zastanawiał się, co robić dalej.

Zaczął się trochę bać. Odrzucił łebek i zawył. Wycie rozweseliło go odrobinę, przypominając o wszystkich dobrych chwilach, kiedy był razem ze stadem.

Raptem umilkł. Poczł wilka.

Odwrócił się, chwiejąc się trochę z głodu. Nastawił uszy i pociągnął nosem. Tak. Wilk. Słyszał, jak schodzi hałaśliwie zboczem po drugiej stronie Szybkiej Wilgoci. Zapach mówił mu, że to samiec, młody jeszcze, i nie z jego stada.

Ale był jakiś dziwny. Pachniał jak wilk, a zarazem jak nie wilk. Pachniał też jak renifer, jak płowy jelen i bóbr, pachniał świeżą krwią – i czymś jeszcze, z czym wilczek nigdy się dotąd nie zetknął.

Bardzo to było dziwne. Chyba że – chyba że – ów wilk-nie-wilk jest wilkiem, który pożarł przed chwilą mnóstwo zwierzyny, a teraz niesie mu coś do jedzenia.

Trzęsąc się z łakomstwa, szczeniaki machnęło ogonem i zapiszczało głośno na przywitanie.

Obcy wilk przystanął. Po chwili zaczął iść ponownie. Szczeniaki nie widziało go zbyt wyraźnie, gdyż jego oczy nie były jeszcze tak sprawne, jak uszy i nos, ale kiedy przybysz przechodził z pluskiem przez Szybką Wilgoć, zobaczyło, że jest to rzeczywiście bardzo dziwny wilk.

Szedł na zadnich łapach. Sierść na jego głowie była czarna i tak długa, że sięgała aż ramion. Co najdziwniejsze – nie miał ogona!

Ale wydawał odgłosy jak wilk. Skomlał i popiskiwał, trochę jakby mówił: „Nie bój się. Jestem przyjacielem.” Było to uspokajające, choć w skomlaniu brakowało najwyższych tonów.

Coś jednak było nie tak. Pod przychylnością dało się wyczuć napięcie. I choć dziwny wilk się uśmiechał, wydało się wilczkowi, że nie jest to szczery uśmiech.

Szczeniaki zakwiliło płaczliwie. Polujesz na mnie? Dlaczego?

Nie, nie, rozległo się w odpowiedzi przyjazne, choć jednocześnie nieprzyjazne

skomlenie.

Dziwny wilk ucichł i zbliżał się w milczeniu, które napawało lękiem.

Wilczek był zbyt słaby, by uciec. Zaczął się cofać.

Dziwny wilk podbiegł, chwycił szczenię za kark i uniósł wysoko w górę.

Wilczek zamachał słabo ogonem, licząc, że atak nie nastąpi.

Dziwny wilk podniósł wolną przednią łapę i przycisnął do brzuszka szczenięcia ogromny szpon.

Wilczek zaskowyczał. Wyszczерzył zęby z przerażenia i schował ogon pod siebie.

Ale obcy wilk również był przestraszony. Drżały mu przednie łapy, odsłaniał zęby i przełykał głośno ślinę. Szczenię wyczuło samotność, niepewność i ból.

Dziwny wilk przełknął raz jeszcze ślinę i oderwał wielki szpon od brzuszka szczenięcia. Potem usiadł ciężko w błocie i przycisnął wilczka do piersi.

Strach zniknął. Pod dziwaczną, bezwłosą skórą, która pachniała bardziej jak niewilk niż wilk, wilczek rozpoznał ten sam kojący, miarowy odgłos uderzeń, który słyszał, kiedy wdrapywał się na ojca, żeby się zdrzemnąć.

Szczenię wyrwało się z uścisku dziwnego wilka. Stało na tylnych łapach, opierając przednie na jego piersi i zaczęło lizać mu pysk.

Ten jednak odepchnął je ze złością. Wilczek poleciał do tyłu. Niezniechęcony, usiadł prosto i zaczął się przypatrywać obcemu.

Jaką on miał dziwaczną, płaską twarz, zupełnie bez sierści! Usta nie czarne, jak u prawdziwego wilka, lecz jasne – podobnie jak uszy, które w ogóle się nie poruszały. Ale oczy srebrnoszare i lśniące – były oczami wilka.

Po raz pierwszy od ryku Szybkiej Wilgoci wilczek poczuł się lepiej. Odnalazł nowego towarzysza do stada.

Torak był wściekły na siebie. Dlaczego nie zabił szczeniaka? Co teraz będzie jadł? Wilczek dźgnął go nosem w potłuczone żebra. Torak krzyknął z bólu.

–Odczep się! – zawołał, dając szczenięciu kopniaka. – Nie chcę cię! Rozumiesz? Nie przydasz mi się na nic! Odejdź!

Nie starał się nawet powiedzieć tego w wilczej mowie, gdyż zdał sobie sprawę, że nie włada nią właściwie zbyt dobrze. Znał tylko najprostsze gesty oraz kilka dźwięków. Niemniej szczeniak zrozumiał dobrze, o co mu chodzi. Odsunął się na kilka kroków i usiadł, spoglądając z nadzieją na Toraka i zamiatając ogonem.

Torak wstał, a świat zakołysał się alarmująco. Musiał prędko coś zjeść.

Powiódł spojrzeniem wzdłuż brzegu rzeki, szukając pożywienia. Zobaczył jedynie martwe wilki, jednak cuchnęły zbyt odrażająco, by o nich nawet myśleć. Powoli tracił nadzieję. Słońce było coraz niżej. Co powinien zrobić? Rozbić tu obóz? A niedźwiedź? Czy skończył już z Tata, a teraz ściga jego?

Poczuł bolesny skurcz w piersi. Nie myśl o Tacie. Zastanów się, co robić. Gdyby niedźwiedź cię ścigał, już by cię dopadł. Może zatem to miejsce jest bezpieczne – przynajmniej dzisiaj.

Wilcze ścierwa były zbyt ciężkie, żeby je odciągnąć w inne miejsce, więc Torak postanowił rozbić obóz kawałek dalej w górę strumienia. Najpierw jednak zastawi pułapkę, używając jednego z ciał jako przynęty. Może przez noc coś się w nią złapie.

Zastawienie pułapki okazało się niemalym wysiłkiem: trzeba było podeprzeć płaski kamień patykiem, a następnie wetknąć węń na krzyż drugi, by zadziałał jak spust. Jeżeli dopisze mu szczęście, schwyta może w nocy jakiegoś lisa. Nie byłby to solidny posiłek, ale lepszy niż nic.

Niemal już kończył, kiedy wilczek podbiegł do niego i zaczął natarczywie obwąchiwać pułapkę. Torak chwycił go za pysk i przycisnął do ziemi.

–Nie! – powiedział twardo. – Zostaw.

Szczenię otrząsnęło się i odeszło, obrażone.

Lepiej obrażone niż martwe, pomyślał Torak.

Wiedział, że postąpił niesprawiedliwie. Powinien był najpierw warknąć ostrzegawczo, chwycić zaś szczeniaka za pysk tylko wtedy, gdyby nie posłuchał. Torak był jednak zbyt zmęczony, aby się tym przejmować.

Poza tym, dlaczego zawracać sobie głowę ostrzeżeniami? Najwyżej szczeniak przylezie tu w nocy i zrzuci na siebie kamień. Cóż z tego, że Torak potrafił go zrozumieć? Jaki z tego pożytek?

Wstał, choć kolana niemal odmówiły mu posłuszeństwa. Zapomnij o wilczku. Znajdź coś do jedzenia.

Rozpoczął mozolną wspinaczkę po zboczu, wznoszącym się za wielkim czerwonym głazem. Szukał moroszek.

Już na szczycie przypomniał sobie, że moroszki rosną na wrzosowiskach i bagnach, nie w lasach brzozowych, a poza tym o tej porze roku i tak nie znalazłby ani jednej.

Tu i ówdzie na ziemi dostrzegał odchody głuszców, zastawił więc kilka pułapek ze skróconej trawy: dwie przy samej ziemi oraz dwie na rosnących nisko gałęziach, po których niekiedy chodzą głuszce – po czym starannie przysypał sidła liśćmi, aby ptaki ich nie zobaczyły. Następnie skierował się z powrotem ku rzece.

Był zbyt słaby, żeby złowić rybę na harpun, więc zarzucił zamiast tego linkę z haczykami z jeżynowych cierni. Jako przynęty użył wodnych ślimaków. Potem ruszył wzdłuż rzeki, rozglądając się za jagodami i korzeniami.

Dobłą chwilę wilczek szedł za nim; potem usiadł i zaczął popiskiwać żałośnie, wzywając Toraka. Szczenię nie chciało się oddalać od swego stada.

Świetnie, pomyślał Torak. Zostań. Lepiej, żebyś się za mną nie włóczył.

Szukał. Słońce schodziło coraz niżej. Ochłodziło się. Kaftan Toraka błyszczał, osiadł na nim mglisty oddech Lasu. Torak miał niejasne poczucie, że zamiast szukać jedzenia, powinien się zająć budową szałasów. Odegnał je jednak od siebie.

Znalazł w końcu garść owoców bażyny i zjadł je. Potem trafił jeszcze na nieco późnych borówek, parę ślimaków i kilka żółtych grzybów bagiennych – trochę robaczywych, ale do zniesienia.

Zapadał już zmierzch, gdy dopisało mu szczęście i znalazł kępę orzechów ziemnych. Zaostrzonym patykiem ostrożnie odsłonił kręte, guzowate korzenie. Włożył jeden do ust i zaczął żuć – był słodki i orzechowy, ale starczyło tego ledwie na jeden kęs. Po dłuższej chwili wyczerpującego kopania wygrzebał jeszcze cztery. Dwa zjadł, a dwa schował w kieszeni kaftana na później.

Gdy jedzenie trafiło do żołądka, poczuł, że wróciło mu nieco siły w nogach, ale wciąż z trudem myślał. Co teraz? – zastanawiał się. Dlaczego tak trudno mi coś wymyślić?

Szałas. Trzeba postarać się o schronienie na noc. Potem rozpalić ognisko. A potem pójść spać.

Szczeniak czekał na niego na skraju polany. Trzęsąc się i popiskując z radości, popędził ku niemu z szerokim, wilczym uśmiechem. Nie tylko zmarszczył pysk i uniół wargi; śmiał się całym ciałem. Strzygł uszami, przekrzywił na bok łebek; wymachiwał ogonem i naskakiwał na przednie łapy. Skakał jak szalony.

Torak dostawał od tego zawrotów głowy, więc odwrócił wzrok. Poza tym, powinien się zająć szałasem.

Rozejrzał się po okolicy za uschniętymi gałęziami, ale powódź uniosła większość ze sobą. Będzie musiał ściąć kilka drzewek, jeżeli starczy mu sił.

Wyciągnął toporek zza pasa, zbliżył się do kępy brzoź i położył dłoń na najmniejszej. Pospiesznie wymamrotał ostrzeżenie do ducha drzewa, aby prędko poszukał sobie nowego domu, i zaczął rąbać.

Zakręciło mu się w głowie z wysiłku. Ranę na przedramieniu szarpał ból. Torak zmusił się, by rąbać dalej.

Pochłonął go nieskończony, ciemny tunel rąbania, odcinania gałęzi, rąbania. Gdy jego ramiona zwiotczały i nie mógł już dalej rąbać, uświadomił sobie z przerażeniem, że zdołał ściąć zaledwie dwie wrzecionowate brzoźki i mizerny, mały świerk.

Musiało wystarczyć.

Za pomocą rozłożystych korzeni świerka umocował drzewka razem, tworząc niską, chybotliwą konstrukcję; potem przykrył ją z trzech stron gałęziami świerku i włożył kilka do środka, aby się na nich położyć.

Szałas był nędzny, ale nie było rady. Torak nie miał już siły zabezpieczyć go ściółką przed deszczem. Jeżeli zacznie padać, trzeba będzie zdać się na śpiwór i modlić, by duch rzeki nie zesłał następnej powodzi, gdyż szałas stał zbyt blisko wody.

Chrupiąc kolejny orzech, rozglądał się po polanie za chrustem. Przełknął, poczuł ucisk w trzewiach i zwymiotował.

Wilczek pisnął z radości i połknął to, co Torak przed chwilą z siebie wyrzucił.

Co się stało? – myślał Torak. Może zjadłem trujący grzyb?

Jego samopoczucie wskazywało jednak, że nie chodzi o grzyb. Dolegało mu co innego. Pocił się i dygotał, było mu wciąż niedobrze, chociaż żołądek miał pusty.

Zdjęło go okropne podejrzenie. Odwinął opatrunek i poczuł lodowate dotknięcie strachu. Rana była opuchnięta i wściekle czerwona. Pachniała nieprzyjemnie. Czuł, jak pulsuje gorącem. Gdy jej dotknął, ból przeszył go jak płomień.

Zbierało mu się na płacz. Był wyczerpany, głodny i przestraszony, i rozpaczliwie potrzebował Taty. A teraz przyszło mu się mierzyć z jeszcze jednym wrogiem.

Gorączką.

Musiał rozpalić ognisko. To był wyścig pomiędzy gorączką a nim. Stawką było jego życie. Sięgnął do pasa po woreczek z krzesiwem. Wyjął garstkę skrawków

rozdrobnionej brzozowej kory. Ręce mu się tak trzęsły, że krzemień wciąż z nich wypadał, a Torak nie mógł trafić w krzesiwo. Nim udało mu się skrzesać iskrę, zaczął pojękiwać z frustracji. Ogień zapłonął wreszcie, ale Torak nie mógł już opanować dreszczy. Ledwo odczuwał ciepło płomieni. Dźwięki rozlegały się nienaturalnie głośno: bulgotanie rzeki i pohukiwanie sowy; żalosne popiskiwanie tego piekielnego, wygłodzonego szczeniaka. Dlaczego nie dawał mu spokoju?

Chwiejnym krokiem poszedł do rzeki po wodę. W samą porę przypomniał sobie o przestrogach Taty, by się zbyt długo nad nią nie pochylać. Nie patrz na odbicie swojej duszy imienia w wodzie, kiedy jesteś chory. Zakręci ci się w głowie. Mógłbyś wpaść do wody i utonąć.

Torak zacisnął powieki, nappełnił bukłak i potykając się, ruszył w stronę szałasu. Bardzo chciał odpocząć, lecz wiedział, że nie będzie miał żadnych szans, jeśli nie zmieni opatrunku.

Wyjął szczyptę suszonej wierzbowej kory z woreczka na lekarstwa i zaczął ją żuć, powstrzymując mdłości, które wywoływała zgrzytająca między zębami gorycz. Otrzymał w ten sposób maścią posmarował przedramię, po czym owinął ranę świeżym bandażem z brzozowego łyka. Bolało tak bardzo, że niemal stracił przytomność. Starczyło mu sił, by zrzucić buty i wczółgać się do śpiwora. Szczeniak usiłował wepchnąć się za nim do szałasu. Torak przepędził go.

Szczękając w otępieniu zębami, patrzył na szczeniaka, który podreptał do ogniska i z uwagą przyglądał się płomieniom. Wyciągnął szarą, dużą łapę, pacnął je – i odskoczył gwałtownie z pełnym przerażenia piskiem.

–Będziesz miał nauczkę – mruknął Torak.

Szczeniak otrząsnął się i umknął w mrok.

Torak zwinął się w kłębek, osłaniając szarpaną bólem rękę i pogrążył się w gorzkich rozmyślaniach nad wszystkim, co udało mu się zrobić nie tak.

Całe dotychczasowe życie spędził z Tatą w Lesie. Rozbijali obóz na dzień albo dwa i szli dalej. Znał zasady. Nie szczędź trudu przy budowie szałasu. Nie marnuj na zdobywanie pożywienia więcej sił, niż trzeba. Nie zwlekaj z rozbijaniem obozu.

Pierwszy dzień samotnego życia, a Torak zdążył już złamać wszystkie trzy. Przerażające. Mniej więcej tak samo, jakby zapomniał, jak się chodzi.

Zdrową ręką dotknął klanowych tatuaży – dwóch wyraźnych linii kropek biegnących po obu policzkach. Tata zrobił mu je, gdy Torak miał siedem lat, wcierając sok z jagód w nakłutą skórę. Nie zasłużyłeś na nie, powiedział sobie Torak. Jeśli nie przeżyjesz, to tylko z własnej winy.

Rozpacz ponownie ścisnęła mu serce. Po raz pierwszy w życiu zasypiał sam. Wcześniej zawsze z Tatą. Po raz pierwszy nie doczeka się dotknięcia szorstkiej, delikatnej dłoni na dobranoc. Nie obudzi się w nocy wśród znajomego zapachu koźlej skóry i potu.

Oczy Toraka zaszyły łzami. Zacisnął je mocno i osunął się w koszmarne sny.

Brnie po kolana we mchu, uciekając przed niedźwiedziem. Krzyki ojca dźwięczą w uszach. Niedźwiedź idzie po niego.

Usiłuje biec, ale zapada się tylko głębiej w mech. Coś go wsysa. Krzyki ojca.

Słepia niedźwiedzia goreją morderczym płomieniem Zaświatów – ogniem demona. Unosi się na tylnych łapach: rozrastająca się groza, wielka ponad wszelkie wyobrażenie... Podnosi łeb ku księżycowi ogromne szczęki się rozwierają i wrywa się z nich ryk nienawiści...

Obudził go własny krzyk.

Zamierające echo niosło niedźwiedzie ryki po Lesie. To nie był sen. Niedźwiedź ryczał naprawdę.

Torak powstrzymał oddech. Przez otwory w dachu szałas docierała doń niebieska księżycowa poświata. Zauważył, że ogień niemal zgasł. Usłyszał łomot swego serca.

Las znowu zadygotał. Drzewa znieruchomiały, nasłuchując. Tym razem jednak Torak zdał sobie sprawę, że ryki dochodzą z dużej odległości: niedźwiedź znajdował się o wiele, wiele dni drogi na zachód. Torak powoli wypuścił powietrze z płuc.

Szczeniak przycupnął u wejścia do szałas i obserwował Toraka. Skośne oczy miały niecodzienny, ciemnozłoty kolor. Bursztyn, pomyślał Torak, przyszedł mu bowiem na myśl niewielki amulet ochronny, który Tata nosił na rzemieniu na szyi.

Na swój sposób było to uspokajające. Przynajmniej nie był sam.

Gdy serce na powrót zaczęło mu bić normalnie, powrócił ból gorączki. Cierpła od niego skóra. Wydawało się, jakby czaszka miała mu za chwilę eksplodować. Torak próbował wyjąć z woreczka na lekarstwa kolejną porcję wierzbowej kory, ale upuścił go i w półmroku nie mógł już znaleźć. Przyciągnął gałąź, dołożył do ogniska i legł, dysząc ciężko.

Nie był w stanie wyrzucić tych ryków ze swojej głowy. Gdzie był w tej chwili niedźwiedź? Polana, na której Torak natknął się na zabite konie, położona była na północ od strumienia, gdzie niedźwiedź zaatakował Tatę, ale teraz był chyba na zachodzie. Czy pójdzie dalej w tym kierunku? A może wpadnie na trop Toraka i zawróci? Ile czasu upłynie, nim znajdzie to miejsce i jego, chorego i bezsilnego?

Spokojny, pewny głos rozległ się szeptem w jego umyśle, niemal jakby Tata powrócił. Szczeniak cię ostrzeże, jeśli niedźwiedź powróci. Pamiętaj, Torak: wilk ma tak czuły nos, że potrafi zwietrzyć oddech ryby. Jego uszy są tak wrażliwe, że słyszy, jak przepływają chmury.

Tak, pomyślał Torak, szczeniak mnie ostrzeże. To już coś. Chcę umrzeć z otwartymi oczyma, patrząc na niedźwiedzia, jak mężczyzna. Jak Tata.

Gdzieś bardzo daleko zaszczekał pies. Nie wilk, lecz pies.

Torak zmarszczył brwi. Pies oznaczał ludzi, a przecież w tej części Lasu ich nie było. A może jednak?

Zapadł się w ciemność, z powrotem w uścisk niedźwiedzia.

Było już niemal ciemno, gdy Torak się zbudził. Przespał cały dzień. Był słaby i piekielnie spragniony, ale rana nie paliła już tak bardzo i znacznie mniej doskwierała. Gorączka zniknęła.

Szczeniak również.

Torak zauważył ze zdziwieniem, że martwi się, czy nic mu się nie stało. Czemu właściwie miałby się o niego troszczyć? Szczeniak nic dla niego nie znaczył.

Ruszył chwiejnie ku rzece i napił się, a następnie świeżą porcją drewna rozbudził ognisko, które zapadło w drzemkę. Usiadł, zjadł ostatni orzech ziemny oraz garść liści szczawiu, które znalazł nad rzeką. Były łykowate i bardzo kwaśne, ale pokrzepiające.

Szczeniak wciąż się nie zjawiał.

Torak zawahał się, czy nie przywołać go wyciem. Ale gdyby nawet przyszedł, domagałby się tylko jedzenia. A wycie mogło ściągnąć niedźwiedzia. Zrezygnował więc, włożył buty i poszedł obejrzeć sidła i pułapki.

Wszystkie haczyki na ryby były puste, nie licząc jednego, z którego zwisał szkielet niewielkiej rybki, objedzony zupełnie do czysta. Z sidłami poszło lepiej. Znalazł w jednych walczącego słabo głuszca. Mięso.

Wymruczawszy szybkie podziękowanie do ptasiego ducha, Torak przetrącił głuszcowi kark, rozciął ptakowi brzuch i połknął w całości ciepłą, surową wątrobę. Była obślizgła i gorzka, ale on zbyt wyголоdzony, aby się tym przejmować.

Czując się nieco pewniej, przywiązał ptaka do paska i poszedł sprawdzić zapadnię.

Przekonał się z ulgą, że nie ma w niej martwego szczeniaka. Ten siedział przy swojej matce, poszturchując łapą cuchnące ścierwo. Zobaczył, że Torak się zbliża i pomknął ku niemu. Spojrzał na wilczycę i zaskomlił pytająco. Prosił, żeby Torak wyjaśnił mu, jak się rzeczy mają.

Torak westchnął. Jak mógł wyjaśnić, czym jest śmierć, skoro sam nie rozumiał.

– Chodź – powiedział, nie próbując nawet wilczej mowy.

Duże wilcze uszy poruszyły się i pochwyciły dźwięk.

– Nic tu nie ma – dodał niecierpliwie Torak. – Chodźmy.

Kiedy znaleźli się na powrót przy szałasie, Torak oskubał głuszca i nadział go na rożen, a następnie powiesił nad ogniem. Szczeniak skoczył, chcąc pochwycić ptaka.

Torak chwycił go za pysk i trzepnął o ziemię. Nie! Warknął. To moje!

Szczeniak posłusznie legł nieruchomo, bijąc ogonem o ziemię. Torak puścił go, a wilczek przetoczył się na grzbiet, odsłaniając jasny, puszysty brzuch, i uśmiechnął się bezgłośnie na przeprosiny. Potem zrejterował na bezpieczną odległość, z uprzejmie opuszczonym łbem.

Torak kiwnął z satysfakcją głową. Szczeniak musi przyjąć do wiadomości, że Torak jest przewodnikiem stada, inaczej w przyszłości czekają ich niekończące się problemy.

Przyszłości? Ale jakiej przyszłości, pomyślał w udręczeniu. W jego przyszłości nie było miejsca dla szczeniaka.

Aromat pieczonego mięsa wygnał mu z głowy wszystkie inne myśli. Ściekający do ognia tłuszcz syczał. Torak poczuł ślinę napływającą do ust. Szybkim ruchem ukreślił nogę głuszca i nadział ją na widelec z brzozonej gałązki. Był to dar dla opiekuna klanu. Torak usiadł i zaczął jeść.

Nigdy jeszcze nic tak bardzo mu nie smakowało. Ogołocił kości z ostatniego skrawka mięsa, wyssał każdą kroplę tłuszczu, zjadł każdy kawałek chrupiącej, słonej skóry. Zmusił się, by nie zwracać uwagi na wielkie bursztynowe oczy, wpatrzone w

każdy kęs.

Skończył, otarł usta wierzchem dłoni. Szczeniak śledził każdy jego ruch.

Torak westchnął głęboko.

–No dobra – wymamrotał. Odłamał ocalałą łapkę głuszca i cisnął ją na ziemię.

Wilczek spałaszował ją w okamgnieniu i popatrzył na Toraka z nadzieją.

–Nie mam więcej – powiedział Torak, lecz nie w wilczej mowie.

Szczeniak zaskomlił ponaglająco, zerkając na resztki w dłoniach Toraka.

Kości były objedzone do czysta, lecz można z nich było jeszcze zrobić igły, haczyki na ryby albo ugotować na nich zupę; choć bez skóry do gotowania to ostatnie było niemożliwe.

Niepewny, czy właśnie nie napytał sobie biedy, Torak rzucił połowę resztek szczeniakowi.

Ten zmiażdżył kości potężnymi szczękami i pożarł, a potem zwinął się w kłębek i natychmiast zasnął: zmienił się w gorący, oddychający miarowo kłębek szarego futra.

Torak też chętnie by się położył, ale wiedział, że nie mógłby zasnąć. Noc zapadła i nadciągnął chłód. Torak siedział, wpatrując się w ogień. Teraz, kiedy otrząsnął się z gorączki i zjadł nieco mięsa, mógł nareszcie jasno myśleć.

Powrócił do niego obraz polany, na której znalazł zabite konie, przypomniał sobie demoniczne ślepie niedźwiedzia.

Opętany, powiedział Tata. Jakiś demon w niego wstąpił i sprawił, że stał się zły.

Ale czym właściwie jest demon, zastanawiał się Torak. Nie wiedział. Słyszał, że demony nienawidzą wszystkiego, co żywe, że czasem wydostają się z Zaświatów i nachodzą ziemię, siejąc plagi i zniszczenie.

Rozmyślając tak, zdał sobie sprawę, że chociaż wie całkiem sporo o myśliwych i zwierzynie: o rysiach i rosomakach, żubrach, koniach i jeleniach, to prawie wcale nie zna innych zamieszkujących Las stworzeń.

Wiedział, że opiekunowie klanów czuwają nad obozowiskami, że w burzową noc w bezlistnych drzewach zawodzą dusze wiecznie poszukujące utraconych klanów. Wiedział, że tak jak ludzie mieszkają w szałasach, tak kamienie i drzewa zamieszkują Przyczajeni, i że wydają się piękni, póki nie odwrócą się plecami, które zieją pustką jak spróchniałe drzewa.

Jeśli zaś idzie o Ducha Świata, który zsyła deszcz i śnieg, oraz zwierzynę – o nim Torak wiedział najmniej. Dotąd nigdy jeszcze o nim nawet nie myślał. Wydawał mu się nazbyt odległy – niewyobrażalnie potężny duch, którego nikt nigdy nie widział. Mówiono o nim tyle tylko, że latem chodzi po ziemi pod postacią mężczyzny z rogami jelenia, zimą zaś jako kobieta z nagimi gałązkami czerwonej wierzby zamiast włosów.

Torak oparł głowę na kolanach. Przysięga złożona ojcu ciążyła mu niczym głaz.

Szczeniak poderwał się nagle i warknął czujnie.

Torak skoczył na równe nogi.

Oczy szczeniaka wpatrywały się w ciemność; wilczek postawił uszy, zjeżył sierść, po czym umknął z kręgu rzucanego przez ogień światła i zniknął.

Torak stał bardzo spokojnie z nożem Taty w dłoni. Wyczuwał, że drzewa go

obserwują. Słyszał, jak szepczą coś między sobą.

Gdzieś całkiem niedaleko wędrowny drozd rozpoczął swoją smętną, nocną piosenkę. Wilczek pojawił się znowu; sierść miał gładką, pysk również i lekko się uśmiechał.

Torak rozluźnił uchwyt dłoni na rękojeści noża. Cokolwiek to było, albo odeszło, albo nie stanowiło zagrożenia. Gdyby niedźwiedź był blisko, drozd nie zaczęłby śpiewać. Tyle wiedział.

Usiadł ponownie.

Musisz odnaleźć Górę Ducha Świata w ciągu następnego miesiąca, powiedział sobie. Tak chciał Tata. Gdy czerwone oko na niebie osiąga szczyt... demony są najsilniejsze. Wiesz o tym.

Tak, wiem, myślał Torak. Znam czerwone oko. Widziałem je.

Każdej jesieni Wielki Tur – najpotężniejszy demon Zaświatów – wydostaje się na nocne niebo. Początkowo trzyma łeb nisko, ryje kopytami ziemię, można dostrzec jedynie gwiazdny blask jego potężnych ramion. Z nastaniem zimy rośnie i potężnieje. Wtedy można zobaczyć jego migoczące rogi i oko nabiegłe krwią. Czerwoną gwiazdę zimy.

W Miesiącu Czerwonej Wierzby wznosi się zaś najwyżej, a zło robi się najpotężniejsze. Wtedy przychodzą demony. Wtedy niedźwiedź będzie niepokonany.

Spojrząwszy w niebo przez gałęzie, Torak dostrzegł zimny blask gwiazd. Znalazł go na wschodzie, tuż nad majaczącymi nad horyzontem Wysokimi Górami – gwiazdzisty kark Wielkiego Tura.

Dobiegał właśnie końca Miesiąc Ryczących Jeleni. Po nim przyjdzie Miesiąc Tarniny i czerwone oko zjawi się na niebie, siły niedźwiedzia zaczną rosnać. Nim nastanie Miesiąc Czerwonej Wierzby, będzie niepokonany.

Pójdiesz na północ, powiedział Tata. To wiele dni marszu.

Torak nie chciał iść dalej na północ. Musiałby opuścić ten niewielki skrawek Lasu, który znał, i wkroczyć w nieznane. Ale mimo to Tata wierzył chyba, że Torak ma szansę, skoro wymógł na nim przysięgę.

Podniósł patyk i rozgrzebał żarzące się węgle.

Wiedział, że Wysokie Góry wznoszą się hen, na wschodzie, za Głębokim Lasem, że ciągną się płaskim łukiem z północy na południe, wgryzając się w Las niczym kręgosłup olbrzymiego wieloryba. Słyszał, że Duch Świata zamieszkuje górę wysuniętą najdalej na północ. Nikt jednak jeszcze nie dotarł w jej pobliże, gdyż Duch odstraszał śmiałków wyjąłymi zamieciami i zdradzieckimi lawinami.

Torak uciekał na północ cały dzień, a wciąż znajdował się na wysokości podnóży gór najbardziej wysuniętych na południe. Nie miał pojęcia, jak pokonać taką drogę na własną rękę. Wciąż był słaby z powodu gorączki, zbyt słaby, by rozpocząć podróż.

Więc zostań, pomyślał. Nie zrób drugi raz tego samego błędu: nie wpadnij w panikę, już raz prawie się zabiłeś przez swoją głupotę. Zostań tutaj jeszcze dzień lub dwa. Zbierz siły. Wtedy rozpoczniesz podróż.

Gdy podjął decyzję, poczuł się odrobinę lepiej.

Dorzucił kilka patyków do ognia i z zaskoczeniem spostrzegł, że wilczek go

obserwuje. Jego oczy były nieruchome i nie przypominały oczu szczeniaka. Były to oczy wilka.

Po raz któryś z kolei głos Taty rozległ się echem wśród zakamarków pamięci Toraka. Oczy wilka różnią się od ślepiów wszystkich innych istot – z wyjątkiem człowieka. Wilki to nasi najbliżsi krewni, Torak. Można to poznać po oczach. Różnią się od naszych jedynie barwą. Ich są złote, a nasze szare. Ale wilk nie widzi tej różnicy, bo jego świat jest pozbawiony kolorów. To świat srebrzystej szarości.

Torak zapytał, skąd Tata wie takie rzeczy, ale on tylko się uśmiechnął i potrząsnął głową, mówiąc, że wyjaśni to Torakowi, gdy ten będzie starszy. Tak wiele rzeczy miał wyjaśnić Torakowi, gdy będzie starszy.

Torak jęknął i potarł twarz dłońmi.

Szczeniak ciągle mu się przypatrywał.

Już teraz było w nim piękno dorosłego wilka: smukły, jasnoszary pysk, wielkie srebrne uszy z czarnymi obwódkami; pełne wdzięku, ciemno okolone oczy.

Te oczy... Czyste jak światło słoneczne zatopione w wiosennym potoku...

Ni stąd, ni zowąd opanowało go dziwne wrażenie, że szczeniak zna jego myśli.

Spośród wielu innych myśliwych Lasu, szeptał w jego umyśle Tata, wilki najbardziej nas przypominają. Polują stadami. Lubią rozmowy i zabawę. Kochają prostą miłością swych partnerów i szczenięta. Każdy wilk ciężko pracuje dla całego stada.

Torak usiadł prosto. Co Tata starał się mu dać do zrozumienia?

Przewodnik cię znajdzie.

Czy to możliwe, żeby wilcze szczenię było przewodnikiem?

Postanowił to sprawdzić. Odchrząknął i opadł na czworaka. Nie wiedział, jak się mówi „góra” w wilczej mowie, więc improwizował: gestykulował głową i piskiem oraz skomleniem, które składają się na wilczą mowę, pytał, czy wilczek zna drogę.

Szczeniak nastawił uszu i spojrzał na niego, po czym uprzejmie odwrócił wzrok, bo zbyt natarczywe wpatrywanie się w oczy oznacza w wilczej mowie groźbę. Potem wstał, przeciągnął się i leniwie zamachał ogonem.

Nic w jego zachowaniu nie dawało Torakowi nadziei, że zrozumiał kwestię. Stał się na powrót zwyczajnym szczenięciem.

A przynajmniej tak się zdawało...

Bo czy naprawdę Torak tylko wyobraził sobie tamto spojrzenie?

Światło i Mrok następowały po sobie wiele razy, odkąd pojawił się Wysoki Bezogon. Najpierw spał przez cały czas, ale obecnie zachowywał się już bardziej jak normalny wilk. Gdy było mu smutno, cichł. Kiedy był rozgniewany, warczał. Lubił bawić się z nim kawałkiem zajęczej skóry, a kiedy szczeniak skakał na niego, turlał się po ziemi, wydając dziwne skomlenia i piski, które były zapewne śmiechem.

Czasami Bezogon przyłączał się do wycia i śpiewem wykrzykiwali w Las swe uczucia. Wycie Bezogona brzmiało dosyć szorstko i niezbyt melodyjnie, ale było pełne emocji.

Podobnie rzecz się miała z całą jego mową, szorstką, lecz obrazową. Oczywiście nie miał ogona, nie potrafił ruszać uszami ani stroszyć sierści, ani popiskiwać na

wysokich tonach. Niemniej zwykle wyrażał się jasno.

Pod wieloma względami przypominał więc każdego innego wilka.

Choć nie we wszystkim. Biedny Bezogon był niemal pozbawiony węchu i słuchu, a podczas Mroku lubił wpatrywać się w Jasną-Bestię-Która-Kąsa-Gorąco. Czasami odkładał swoje tylne łapy na bok, a pewnego straszego razu zdjął nawet z siebie futro. Co najdziwniejsze ze wszystkiego, nieustannie spał. Nie zdawał sobie chyba sprawy, że wilk ucina sobie tylko drzemkę i musi często wstawać, przeciągać się i zmieniać pozycję, żeby być gotowym na każdą ewentualność.

Szczeniak usiłował nauczyć Wysokiego Bezogona częstszego wstawania poszturchiwaniem i obgryzaniem uszu. Lecz tamten, zamiast być mu wdzięczny, popadał w wielką irytację. Gdy w końcu szczeniak dał za wygraną i pozwolił mu spać, za następnego Światła Bezogon zbudził się z idiotycznie długiego snu w paskudnym nastroju. A czego się spodziewał, skoro nie pozwolił się obudzić bratu ze stada?

Dzisiaj natomiast Wysoki Bezogon obudził się, jeszcze zanim nastąpiło Światło, w zupełnie innym nastroju. Szczeniak wyczuł zdenerwowanie.

Przypatrywał się z ciekawością, jak Torak idzie gdzieś ścieżką, która robi się Mokra. Polowanie?

Wilczek wyrwał się za nim i pisnął, by się zatrzymał. Nie chodziło o polowanie. Wysoki Bezogon szedł w niewłaściwym kierunku.

Nie chodziło tylko o to, że szedł wzdłuż Szybkiej Wilgoci, której szczeniak nienawdził teraz i bał się bardziej niż czegokolwiek. Szedł w złą stronę, bo... bo nie szedł w dobrą stronę. Powinien pójść wzgórzem, a potem dalej w tamtym kierunku, aż Światło i Mrok wielokrotnie nastaną po sobie.

Szczeniak nie potrafił sobie wytłumaczyć, skąd to wie, ale czuł to jakby w środku – słaby, choć wyraźny zew, przypominający zew Legowiska, który słyszał za każdym razem, gdy się zanadto oddalił; tylko ten był słabszy, bo dochodzący z wielkiej odległości.

Wysoki Bezogon szedł dalej przed siebie, nieświadom pomyłki.

Wilczek wydał z siebie niskie, ostrzegawcze: „Urrf!” – takim dźwiękiem przyzywała go matka, kiedy chciała, by natychmiast wrócił do Legowiska.

Bezogon odwrócił się. Zadał jakieś pytanie w swojej dziwnej mowie. Brzmiało to jak „Cojest?”

–Urrf! – szczeniak wilczek.

Potruchtał do stóp pagórka i wzrokiem wskazał właściwą drogę. Potem zerknął na Wysokiego Bezogona i ścieżkę, którą szedł. Nie tędy. Tędy.

Bezogon powtórzył swoje pytanie z irytacją. Szczeniak czekał spokojnie, aż zrozumie.

Tamten podrapał się w głowę. Powiedział coś jeszcze w swojej mowie. I ruszył w stronę szczeniaka.

Torak zobaczył, że ciało wilczka napina się. Zwierzę położyło uszy po sobie. Jego czarny nos drgnął. Torak podążył za jego spojrzeniem. Nie był w stanie nic dojrzeć przez plątaninę leszczyn i wierzbówki, choć wiedział, że tam jest jeleni, bo wiedział to Wilk, a Torak nauczył się ufać Wilkowi.

Wilk podniósł wzrok na Toraka i wbił w niego spojrzenie bursztynowych oczu. Potem ponownie wpatrzył się w Las.

Nie czyniąc żadnego hałasu, Torak oderwał kłos trawy i roztarł go w palcach, uwalniając nasiona, by poleciały z wiatrem. Świetnie. Wciąż wiało od jelenia w ich stronę: nie wyczuje ich. Zresztą, nim wyruszyli, Torak wysmarował sobie skórę popiołem drzewnym, by ukryć swój zapach, tak jak to czynił zazwyczaj.

Bezgłośnie wyjął strzałę z kołczana i założył na cięciwę. Co prawda był to tylko mały koziołek, ale jeśli go ustrzeli, będzie to pierwsze większe zwierzę, które upoluje w życiu. Potrzebował go. Zwierzyna pojawiała się o wiele rzadziej niż zwykle o tej porze roku.

Torak przykucnął.

Zaczęli się skradać.

Szli tropem jelenia cały dzień. Przez cały dzień Torak wypatrywał obgryzionych gałązek i odcisków racic, starając się czuć to, co on, i zgadywać, gdzie pójdzie dalej.

Aby tropić zwierzynę, musisz ją poznać tak dobrze, jak brata. Wiedzieć, co jada, gdzie i kiedy, w jakich miejscach odpoczywa, jak się porusza. Tata był dobrym nauczycielem. Wiedział, jak ma się zachowywać tropiciel. Powinien często się zatrzymywać i słuchać: otworzyć zmysły na to, co mówi Las...

W tej chwili mówił, że koziołek się męczy. Wcześniej odciski małych racic były głębokie i szeroko rozstawione, zwierzę galopowało. Teraz zaś były płytsze i bliżej siebie: koziołek szedł.

Z pewnością jest głodny, bo nie miał czasu na popas, i spragniony, gdyż dla bezpieczeństwa trzymał się głuszy, gdzie nie można natrafić na wodę.

Torak rozejrzał się wokół za strumieniem. Na zachodzie, za leszczynami, jakieś trzydzieści kroków od ścieżki, dostrzegł kępę olszyn. Olszyny rosną tylko przy wodzie. Pewnie tam szedł jelonek.

Wraz ze szczeniakiem posuwali się ostrożnie naprzód. Torak przyłożył dłoń do ucha i usłyszał odległy szmer wody.

Raptem Wilk znieruchomiał z uszami do przodu i jedną łapą podniesioną.

Tak. Tam. Pomiędzy olszynami. Jelonek przy wodopoju.

Torak starannie wymierzył.

Zwierzę podniosło łeb, z pyska ściekała mu woda.

Torak zobaczył, że jeleni węszy, a sierść na jego jasnym grzbiecie jeży się z przerażenia. Jeszcze chwila, i ucieknie. Wypuścił strzałę.

Wbiła się pomiędzy żebra, tuż za łopatką. Zwierzę zadrżało, z gracją opadło na kolana i runęło na ziemię.

Torak krzyknął i rzucił się w stronę upolowanego zwierzęcia. Wilk ścigał się z nim i wygrał z łatwością, ale potem przepuścił Toraka przodem. Zaczynał się uczyć szacunku do przewodnika stada.

Torak stanął nad koziołkiem, dysząc. Zebra zwierzęcia unosiły się jeszcze, lecz śmierć była blisko. Trzy dusze szykowały się do odejścia.

Torak przełknął ślinę. Będzie teraz musiał zrobić to, co niezliczoną ilość razy robił na jego oczach Tata. Dla niego jednak był to pierwszy raz, więc musiał się postarać.

Ukląkł przy jeleniu, położył dłoń na jego łbie i delikatnie pogłaskał szorstki, spocony policzek. Koziołek leżał spokojnie pod jego dotykiem.

–Sprawiłeś się świetnie – powiedział Torak. Nie do końca rozpoznawał własny głos. – Byłeś odważnym i mądrym zwierzęciem, uciekałeś przed nami cały dzień. Obiecuję dotrzymać przyrzeczenia złożonego Duchowi Świata, i potraktować cię z szacunkiem. A teraz odejdź w pokoju.

Śmierć zasnęła wielkie, ciemne oko.

Torak był wdzięczny jeleniowi, ale również dumny. Po raz pierwszy upolował większe zwierzę. Gdziekolwiek Tata zawędrował podczas Podróży Śmierci, byłby teraz z niego zadowolony.

Torak odwrócił się do Wilka i przekrzywił głowę na bok, marszcząc nos i odsłaniając zęby w wilczym uśmiechu. Dobra robota, dziękuję.

Wilk skoczył na Toraka, niemal zwalając go z nóg. Ten roześmiał się i podał mu garść jagód z sakwy. Wilk zmiotł je natychmiast.

Minęło już siedem dni od chwili, kiedy wyruszyli znad Wartkiej Wody, i wciąż nigdzie nie było śladów obecności niedźwiedzia. Żadnych odcisków łap. Sierści pozostawionej na cierniach. Ani wstrząsających Lasem ryków.

A jednak coś było nie tak. O tej porze roku Las zwykle rozbrzmiewał echem nawoływań godowych płowych jeleni, trzaskiem rogów samców rywalizujących o samice. Tymczasem wokół panowała cisza. Jak gdyby Las pustoszał powoli; jakby zwierzyna uchodziła zeń przed niedostrzegalnym zagrożeniem.

Przez owe siedem dni Torak napotkał jedynie ptaki i myszy polne – i raz, tak niespodziewanie, że aż mu zapało dech – drużynę łowiecką: trzech mężczyzn i dwie kobiety z psem. Szczęśliwie udało mu się prześliznąć niepostrzeżenie. Trzymaj się z dala od ludzi, ostrzegął Tata. Gdyby się dowiedzieli, co potrafisz...

Torak nie rozumiał, co znaczą te słowa, ale czuł, że Tata miał rację. Wychowywał go z dala od ludzi i Torak nie chciał mieć z nimi nic wspólnego. Poza tym miał teraz Wilka. Z każdym upływającym dniem rozumieli się nawzajem coraz lepiej.

Torak zaczął rozumieć, że wilcza mowa jest mieszaniną gestów, spojrzeń, zapachów i dźwięków. Gestów wykonywanych niekiedy pyskiem, kiedy indziej uszami, łapami, ogonem, łopatkami, sierścią lub całym ciałem. Gestów często niezwykle subtelnych: najlżejszych ruchów czy drgnięć. Większość z nich była bezgłówna. Torak zdążył już poznać wiele z nich, choć nie miał wrażenia, by się ich uczył. Raczej przypominał je sobie.

Wciąż jednak pozostawała jedna rzecz, której nie był w stanie opanować, gdyż nie był wilkiem. Tego mianowicie, co zaczął nazywać „wilczym zmysłem” – niesamowitego talentu szczenięcia do odgadywania myśli i nastrojów przewodnika stada.

Wilk również bywał w różnym nastroju. Czasami był zwykłym szczeniakiem, który lubił jagody i nie potrafił usiedzieć w miejscu, jak wówczas, kiedy Torak odprawiał rytuał nadania imienia, po którym Wilk bezzwłocznie zlizał cały sok owoców olszyny, rozsmarowany na łapach. W przeciwieństwie do Toraka, który denerwował się podczas odprawiania tak ważnego obrzędu, na Wilku nie zrobił on wyrażnie

wielkiego wrażenia: szczeniak nie mógł się doczekać, kiedy Torak skończy.

Atoli niekiedy był przewodnikiem: w tajemniczy sposób przekonany, który kierunek powinni obrać. Lecz gdy Torak próbował pytać, skąd to wie, nie otrzymywał nigdy żadnej rozsądnej odpowiedzi. Po prostu wiem. Tyle.

W tej chwili Wilk nie był przewodnikiem. Był szczeniakiem. Stał z pyskiem umazanym sokiem z jagód i natarczywym skomleniem domagał się dokładki.

Torak roześmiał się i poklepał go.

–Wystarczy! Mam coś do zrobienia.

Wilk otrząsnął się i uśmiechnął, po czym odszedł kawałek, by położyć się spać.

Torak sprawiał zabite zwierzę przez całe dwa dni. Złożył jeleniowi obietnicę i musiał jej dotrzymać, nie marnując ani kawałeczka. Był to prastary pakt zawarty pomiędzy myśliwymi a Duchem Świata. Myśliwy musi traktować zwierzynę z szacunkiem, a Duch Świata będzie zsyłał jej w zamian więcej.

Szło bardzo opornie. Potrzeba wielu lat praktyki, by nauczyć się odpowiednio obchodzić ze zwierzyną. Choć Torak sprawił jelenia najlepiej, jak umiał, nie wyszło mu to zbyt dobrze.

Najpierw rozciął brzuch zwierzęcia i odkroił kawałek wątroby dla opiekuna klanu. Resztę wątroby pociął w paski i zostawił do wysuszenia. Potem dał się ubłagać i odciął kawałeczek dla Wilka, który spałaszował mięso w okamgnieniu.

Następnie Torak zdjął skórę z upolowanego zwierzęcia i oskrobał ją do czysta z resztek mięsa skrobaczką z rogu. Skórę wymył w wodzie wymieszanej z rozkruszoną korą dębową, aby rozmiękczyć sierść, i powiesił, rozciągając pomiędzy dwoma drzewkami – na tyle wysoko, aby Wilk nie mógł jej w żaden sposób dosięgnąć. Wtedy zabrał się do usuwania sierści – bardzo niezręcznie, robiąc przy okazji kilka dziur. Wreszcie zmiękczył skórę, nacierając ją rozgniecionym mózgiem jelenia. Po ostatnim płukaniu i suszeniu otrzyma znośny surowiec na liny oraz wędki.

Skóra się suszyła, a on pokroił mięso w cienkie paski i rozwiesił nad kopcącym ogniskiem z brzoźowego drewna. Po wysuszeniu utłukł je między dwoma kamieniami, aby zrobiły się jeszcze cieńsze, następnie pozwijał w małe, ciasne zawiniątka. Mięso było pyszne. Jeden mały kawałek mógł dostarczyć energii na pół dnia.

Umył wnętrzności, wyplukał je w wodzie z dodatkiem dębowej kory i porozwieszał na krzaku jałowca do wyschnięcia. Z żołądka zrobi bukłak, z pęcherza moczowego zapasowy woreczek na hubkę, a w jelitach będzie mógł przechowywać orzechy. Płuca przypadną Wilkowi, ale nie od razu. Torak będzie je żuł podczas porannych i wieczornych posiłków, i dopiero potem wypluwał dla niego. Natomiast racice mógł mu dać od razu, gdyż nie miał skórzanego garnka do gotowania i nie mógł przyrządzić kleju. Szczeniak bawił się nimi niezmordowanie, aż wreszcie zmiażdżył w zębach na kawałeczki.

W następnej kolejności Torak umył długie ścięgna odcięte z karku zwierzęcia, które zachował z jatki, rozpląszczył kamieniem i podzielił na cienkie włókna. Potem wysuszył i natarł tłuszczem, by zmiękły. W gładkości było im, co prawda, daleko do włókien, które sporządzał niegdyś Tata, ale nadawały się do użytku. Poza tym były tak mocne, że z pewnością przetrwają każdy strój, który nimi pozszywa.

Wreszcie oskrobał rogi i długie kości do czysta, i związał razem, aby później sporządzić z nich haczyki na ryby, igły i groty strzał.

Pracę skończył drugiego dnia wieczorem. Usiadł przy ogniu, z żołądkiem przyjemnie wypełnionym mięsem, strugając gwizdek z kawałka kości głuszca. Potrzebował czegoś, czym mógłby przywołać szczeniaka, gdy ten wybierze się w jedną ze swych samotnych wycieczek, a gwizdek robił znacznie mniej hałasu niż skowyt. Drużyna łowiecka mogła być ciągle w okolicy. Nie chciał ryzykować.

Skończył strugać i wypróbował gwizdek. Ku jego rozczarowaniu nie wydał żadnego dźwięku. Tata robił niezliczone gwizdki jak ten, i zawsze wydawały one czysty dźwięk przypominający ptasi trel. Dlaczego ten nie działał?

Spróbował jeszcze raz. Sfrustrowany, dmuchnął najmocniej, jak umiał. Wciąż nic, lecz, ku zaskoczeniu Toraka, Wilk skoczył na równe nogi, jakby go szerszeń użądlił.

Torak obrzucił zaalarmowanego szczeniaka spojrzeniem sponad gwizdka. Zagwizdał raz jeszcze.

Znów nic nie usłyszał. Ale Wilk wydał z siebie krótkie warknięcie, po czym zaskomlał, by pokazać, że jest niezadowolony, choć nie chce posuwać się za daleko i obrażać Toraka.

Torak przeprosił, delikatnie drapiąc Wilka pod brodą, szczeniak klapnął na ziemię. Było jasne, co chciał dać do zrozumienia. Torak nie powinien go wzywać, jeżeli nie ma po temu żadnego powodu.

Zaświtał kolejny dzień, pogodny i jasny. Znowu ruszyli i powoli rosła nadzieja Toraka. Minęło dwanaście dni od śmierci Taty. Podczas tych dni Torak wygrał z głodem i zwalczył gorączkę, odnalazł Wilka i po raz pierwszy upolował duże zwierzę. Zrobił też mnóstwo błędów. Ale wciąż żył.

Wyobrażał sobie ojca podczas podróży do Krainy Śmierci – tam, gdzie kołczan nigdy nie jest pusty, a polowanie zawsze się udaje. Przynajmniej, myślał Torak, Tata ma ze sobą broń, no i mój nóż dla towarzystwa. I całe suszone mięso, które zostawiłem.

Żał po stracie odrobinę stępsiał.

Torak zdawał sobie sprawę, że strata ojca nigdy nie przestanie mu doskwierać – będzie ją nosił w piersiach przez całe życie, jak głąz. Tego poranka głąz nie był tak ciężki, jak zwykle. Jak dotąd, udało mu się przetrwać i ojciec byłby z niego dumny.

Przedzierając się przez krzaki porastające upstrzoną plamami słońca leśną ścieżynę, Torak czuł się niemal szczęśliwy. Usłyszał parę drozdów toczącą nieopodal zażartą kłótnię. Tłusty, radosny szczeniak trzymał się blisko, idąc z zadartym wysoko krzaczastym ogonem.

Tłusty, radosny i nieostrożny.

Torak usłyszał za sobą trzask pękającej gałązki dokładnie w chwili, gdy wielka dłoń chwyciła go za kaftan i rzuciła na ziemię.

Troje myśliwych. Trzy śmiercionośne łuki ze strzałami na cięciwach. Ostre groty z krzemienia. Wszystkie wymierzone w niego. Torak osłupiał. Nie mógł się ruszyć. Nigdzie nie widział Wilka.

Ogromny mężczyzna trzymał go za kołnierz. Jego brunatna broda była splątana

jak ptasie gniazdo; jeden z policzków ciągnęła w dół paskudna blizna, a cokolwiek go ugryzło, odjęło mu jedno ucho. W wolnej ręce trzymał nóż z krzemienną klingą, przytknięty do brody Toraka.

Obok stał drugi mężczyzna, młody i wysoki, oraz dziewczyna, mniej więcej w wieku Toraka. Oboje mieli ciemnorude czupryny, gładkie, bezlitosne twarze, oboje w każdej chwili mogli zatopić krzemienne groty w jego sercu.

Torak przełknął z trudem ślinę. Miał nadzieję, że nie pokazywał po sobie, jak bardzo jest przerażony.

–Puść mnie – wydyszał. Zamachnął się na wielkiego mężczyznę, lecz nie trafił. Ten tylko mruknął groźnie.

–Mamy naszego złodziejaska! – podniósł Toraka wyżej. Zbyt wysoko, by łatwo było oddychać.

–Nie jestem... złodziejem – wykaszał Torak, sięgając rękoma do szyi.

–Kłamie – powiedział zimno młody mężczyzna.

–Ukradłeś naszego jelenia – powiedziała dziewczyna, po czym zwróciła się do tego wielkiego. – Oslak, chyba go zaraz udusisz.

Oslak postawił Toraka na ziemi. Ale nie rozluźnił chwytu, a nóż trzymał ciągle przy szyi chłopca.

Dziewczyna ostrożnie schowała strzałę do kołczana, a łuk przewiesiła przez ramię. Młody mierzył nadal. Widać było, że się dobrze bawi. Nie zawahałby się strzelić.

Torak zakaszał i roztarł szyję, starając się niepostrzeżenie sięgnąć po nóż.

–Ja się tym zajmę – powiedział Oslak. Nie puszczając Toraka, odebrał mu broń i rzucił dziewczynie.

Przyjrzała się uważnie nożowi, który Torak dostał od Taty.

–To też ukradłeś?

–Nie! – powiedział Torak. – Należał do mojego ojca.

Było jasne, że mu nie uwierzyli. Torak spojrzał na dziewczynę.

–Powiedziałaś, że to wasz jelen. Jak to wasz?

–To jest nasza część Lasu – rzekł młody mężczyzna.

Jego słowa stropiły Toraka.

–Jak to wasz? Las nie należy do nikogo...

–Teraz jest inaczej – krzyknął młody. – Tak uzgodniono na zgromadzeniu klanów. Dlatego że... – Przerwał z jękiem zniecierpliwienia. – Ukradłeś naszą zwierzynę. Tyle. Czeka cię za to śmierć.

Torak spłynął potem od stóp do głów. Śmierć? Jak to możliwe, że chcą go zabić za to, że upolował jelenia?

Zrobiło mu się tak sucho w ustach, że prawie nie mógł mówić.

–Je... jeżeli tropiliście tego jelenia – wychrypiał – weźcie go i wypuście mnie. Jest w plecaku. Nie zjadłem dużo.

Oslak i dziewczyna spojrzeli po sobie, ale młody kiwnął pogardliwie głową.

–To nie takie proste. Jesteś moim jeńcem. Zwiąż mu ręce, Oslak. Zabieramy go do Fin-Kedinna.

–Gdzie to jest? – spytał Torak.

–To nie jest miejsce – powiedział Oslak. – To imię człowieka.

–Fin-Kedinn to mój wuj – powiedział młody i wyprostował się. – Jest wodzem naszego klanu. Jestem Hord, syn jego brata.

–Co to za klan? Gdzie chcecie mnie zabrać?

Nie odpowiedzieli.

Oslak pchnął Toraka, aż ten upadł na kolana. Podnosząc się, zerknął przez ramię i ku swemu przerażeniu zobaczył, że Wilk przyszedł go szukać. Stał niepewnie jakieś dwadzieścia kroków od Toraka i wciągał do nozdrzy obcy zapach.

Nie zauważyli go. A gdyby nawet, to co? Zapewne nawet oni przestrzegali prastarego prawa, które zabrania zabijania innych myśliwych. Ale jeśli go przepędzą? Torak wyobraził sobie szczeniaka zagubionego w Lesie. Głodnego. Wyjącego.

Chcąc ostrzec Wilka, by trzymał się z dala, wydał z siebie niskie, głuche warknięcie. Niebezpieczeństwo!

Oslak prawie wpadł na niego ze zdziwienia.

–Co powiedziałaś?

Torak ponownie warknął. Ku jego rozczarowaniu Wilk nie odszedł. Zamiast tego postawił uszy i ruszył wprost do niego.

–Co jest? – mruknął Oslak.

Opuścił rękę i chwycił Wilka za kark.

Wilk wyrwał się i skomlił, zwisając z wielkiej, czerwonej dłoni.

–Puść go! – krzyknął Torak, szarpiąc się. – Puszczaj, albo cię zabiję!

Oslak i dziewczyna wybuchnęli śmiechem.

–Wypuść go! Nie zrobił wam nic złego.

–Przepędź go i chodźmy wreszcie – odezwał się z irytacją Hord.

–Nie! – wrzasnął Torak. – To mój prze... nie!

Dziewczyna obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

–Twój co...?

–Jest ze mną – mruknął Torak.

Nie mógł wyjawić, że poszukuje Góry i że potrafi rozmawiać z Wilkiem.

–Rusz się, Renn – parsknął Hord. – Tracimy tylko czas. Lecz Renn wciąż wpatrywała się w jeńca. Po chwili odwróciła się do Oslaka.

–Daj mi go! – Wyjęła z plecaka torbę z jeleniej skóry, wrzuciła szczeniaka do środka i mocno zacisnęła węzeł.

–Lepiej się nie odzywaj, bo walnę tym o drzewo! – rzuciła, zakładając na ramię szarpiącą się i skowyczącą torbę.

Torak popatrzył na nią ze wściekłością. Pewnie by tego nie zrobiła, ale i tak zapewniła sobie w ten sposób jego posłuszeństwo dużo skuteczniej niż Oslak czy Hord.

Oslak pchnął go znowu, i ruszyli wąską jelenią ścieżką na północny zachód.

Prześladowcy zacisnęli skórzane więzy bardzo mocno, Torak czuł, że zaczynają go boleć nadgarstki. Więc przestań je szarpać, pomyślał. Był na siebie wściekły. Oglądaj się za siebie, mówił ojciec. Nie obejrzał się i teraz za to płaci – podobnie jak

Wilk. Z torby przestały już dochodzić stłumione popiskiwanie. Może Wilk się dusić? Może już jest martwy?

Zaczął błagać Renn, by otworzyła torbę i wpuściła do środka trochę powietrza.

–Nie ma takiej potrzeby – powiedziała, nie odwracając się. – Przed chwilą się wiercił.

Torak zacisnął zęby i szedł chwiejnie dalej. Musiał wymyślić jakiś sposób ucieczki.

Oslak szedł za nim, a Hord z przodu po prawej. Miał jakieś dziewiętnaście lat, był dobrze zbudowany i przystojny. Sprawiał wrażenie aroganta niespokojnego o swój status – wszędzie pchał się pierwszy, w przeświadczeniu, że zawsze jest drugi. Ubranie, które miał na sobie, było kolorowe i uszyte z wprawą: kaftan i spodnie zszyte na okrętkę, zafarbowane na czerwono, wykończone zaś zabarwioną na zielono skórą jakiegoś ptaka. Na piersi nosił imponujący naszyjnik z zębów płowego jelenia.

Był dla Toraka zagadką. Dlaczego myśliwy ubiera się tak kolorowo? Dlaczego nosi naszyjnik, który klekocze, powodując co najmniej zbędny hałas?

Choć Renn była młodsza o cztery czy pięć lat, miała podobne rysy twarzy, i Torak zastanawiał się, czy są rodzeństwem. Klanowe tatuaże, które nosiła na skórze – trzy wyraźne niebiesko-czarne paski na policzkach – odcinały się mocno na tle jasnej cery, przydając dziewczynie surowego wyglądu, który nie wzbudzał zaufania. Torak uznał, że lepiej nie prosić jej o pomoc.

Nosiła dość parszywy kaftan i spodnie z jeleniej skóry, ale jej łuk i kołczan były przepiękne, a strzały zgrabnie wykończone piórami sowy dla cichego lotu. Na kciuku i palcu wskazującym lewej dłoni miała skórzane ochraniacze, do prawego nadgarstka przywiązany był zaś jeszcze jeden, z wypolerowanego zielonego łupka. Torak zgadywał, że ochraniacz tego typu noszą ludzie, którzy żyją ze swego łuku. To właśnie się dla niej liczy, pomyślał. Nie kolorowe ubranka, jak dla Horda.

Lecz do jakiego klanu należała? W lewy rękaw jej kaftana – tak jak u Horda i Oslaka – wszyto kawałek skóry zwierzęcia klanowego: pasek z czarnymi piórami. Czy były to pióra łabędzia? Orła? Były zbyt zszargane, by Torak mógł wiedzieć na pewno.

Szli cały ranek, nie zatrzymując się, by coś zjeść i ugasić pragnienie; pokonywali błotniste doliny porośnięte drżącymi osikami; wspinali się na pagórki skryte pod ciemnym płaszczem nieznających snu sosen. Gdy Torak przechodził pod nimi, słyszał, jak wzdychają żałośnie, jakby zaczęły już oplakiwać jego śmierć.

Chmury przysłoniły słońce, a nadzieja Toraka upadła. Dotarli do jakiegoś zbocza, Las usiany był tutaj sięgającymi do piersi kopcami mrówek drzewnych. Mrówki drzewne budują swoje mrowiska zawsze na południe od drzew. Torak zdał sobie sprawę, że zmierzają na zachód.

Wreszcie przystanęli przy jakimś strumieniu.

–Idziemy o wiele za wolno – warknął Hord. – Musimy jeszcze pokonać całą dolinę, zanim dotrzemy do Wietrznej Rzeki.

Torak nastawił uszu. Może dowie się czegoś, co się przyda...

Renn wyczuła, że nasłuchuje.

–Wietrzna Rzeka – powiedziała powoli, jakby mówiła do małego dziecka – płynie na zachód stąd, przez następną dolinę. Jesienią tam obozujemy. Kilka dni drogi na północ znajduje się Szeroka Rzeka, gdzie zatrzymujemy się latem. Łowimy w niej łososie. To takie ryby. Może o nich słyszałeś.

Torak poczuł, że się czerwieni. Ale dowiedział się, dokąd zmierzają: do jesiennego obozu jego prześladowców. To nie wróżyło dobrze. W obozie będzie więcej ludzi i mniej okazji do ucieczki.

Słońce obniżyło się znacznie podczas długiego marszu. Ludzie, którzy go pojмали, stali się nerwowi. Często przystawali, nasłuchiwali i rozglądali się wokół. Odgadł, że boją się niedźwiedzia. Może właśnie z jego powodu wprowadzili to niesłychane prawo „własności” zwierzyny. Pojawiała się coraz rzadziej; niedźwiedź ją odstraszał.

Zeszli w rozległą, porośniętą dębami, jesionami i sosnami dolinę, i wkrótce dotarli do szerokiej rzeki o srebrzystych wodach. Wietrzna Rzeka.

Raptem Torak poczuł w nozdrzach zapach dymu. Zbliżali się do obozu.

Kiedy cała czwórka pokonywała przerzuconą nad rzeką drewnianą kładkę, Torak patrzył na wodę przepływającą w dole i zastanawiał się, czy skoczyć. Miał związane ręce, utonąłby. No i nie mógł zostawić Wilka. Jakieś dziesięć kroków dalej w dół rzeki, pomiędzy drzewami jaśniała polana. Torak poczuł woń sosnowego dymu i świeżej krwi. Zobaczył cztery obszerne, kryte skórą renifera szałas, niepodobne do żadnych, jakie dotąd widział. Dostrzegł też przerażającą liczbę ludzi: wszyscy byli pochłonięci pracą, i – jak dotąd – nieświadomi jego obecności. Strach sprawił, że Torak widział każdy szczegół z niespotykaną wyrazistością. Dwóch mężczyzn zdejmowało skórę z knura zawieszzonego na drzewie, które rosło na brzegu rzeki. Rozplatali już podbrzusze zwierzęciu, a teraz, schowawszy noże do pochew, zdzierali skórę gołymi rękoma, aby jej nie podrzeć. Byli nadzy od pasa w górę, na spodniach nosili ochraniacze z rybiej skóry. Wyglądali na przerażająco silnych, ich muskularne ramiona pokrywała płatanina żył. Krew zwierzęcia płynęła powoli do skopka z kory brzozonej. Dwie dziewczyny odziane w tuniki płukały na płyciźnie wnętrza knura i chichotały. Nieopodal troje małych dzieci pieczołowicie stawiało babki z piasku, wtykając w nie skrzydełka nasion jawora. Dwie smukłe, obciążone skórą łódki leżały wyciągnięte ponad poziom wody. Piasek wokół nich mienił się od rybich łusek. Kilka dużych psów węszyło za resztkami.

Na środku polany, przy wiecznym ogniu – płonącym stosie drewna sosnowego, na matach wplecionych z wierzbowych witek siedziała grupa kobiet pogrążonych w cichej rozmowie. Łupały orzechy laskowe i przebierały jagody jałowca w koszu. Żadna z kobiet nie była podobna do Horda czy Renn i Torak zastanawiał się przez chwilę, czy oni również, tak jak on, stracili rodziców.

Nieco dalej stara kobieta przytwierdzała groty do strzał. Ostre jak igła płatki krzemienia nakładała na drzewce, przyklejając je pastą z żywicy sosnowej i pszczelego wosku. Okrągły kościany amulet ze żłobieniami w kształcie spirali, który nosiła na piersi, pozwolił Torakowi zgadnąć, że kobieta jest Czarownikiem klanu. Tata opowiadał mu o Czarownikach: ludziach, którzy potrafią leczyć choroby, dowiedzieć się we śnie, gdzie szukać zwierzyny, przepowiadać pogodę. Stara kobieta

wyglądała na taką, co potrafi robić rzeczy o wiele niebezpieczniejsze.

Nad skórzanym garnkiem zawieszonym nad ogniem pochylała się ładna dziewczyna. Rozdwojonym patykiem wrzucała do środka węgle rozżarzone do czerwoności. Jej włosy falowały pod wpływem buchającej z naczynia pary. Aromat gotowanego mięsa sprawił, że Torak przełknął ślinę.

Obok dziewczyny klęczał starszy od niej mężczyzna, oprawiając dwa zające. Jego włosy i broda były rudobrunatne, podobnie jak u Horda, lecz na tym kończyło się wszelkie podobieństwo. Uderzająco opanowaną twarz o nieruchomych rysach znamionowała siła, która przywodziła Torakowi na myśl rzeźbiony piaskowiec. Zapach strawy umknął z jego pamięci. Nikt mu nie musiał mówić, że to właśnie ten mężczyzna dzierży tutaj władzę.

Oslak rozwiązał ręce Toraka i pchnął go w kierunku polany. Psy doskoczyły do niego, ujadając wściekle. Stara kobieta klasnęła. Szczekanie ucichło, zastąpiły je pojedyncze warknięcia. Wszystkie oczy zwrócone były na Toraka. Wszystkie, nie licząc oczu mężczyzny przy ognisku, który nadal spokojnie sprawiał zające. Kiedy skończył, wytarł dłonie o piasek i podniósłszy się, czekał w milczeniu, aż się zbliżą.

Urodziwa dziewczyna zerknęła na Horda i uśmiechnęła się nieśmiało.

–Zostawiłam dla ciebie trochę bulionu – powiedziała.

Torak odgadł, że albo jest kobietą Horda, albo chce nią zostać.

Renn odwróciła się i obrzuciła Horda znaczącym spojrzeniem.

–Dyrati zostawiła dla ciebie trochę bulionu – powiedziała kpiąco.

Siostra, bez dwóch zdań, pomyślał Torak.

Hord zignorował obie i zaczął rozmawiać z mężczyzną przy ogniu. W krótkich słowach zrelacjonował, co się zdarzyło. Torak zauważył, że Hord przedstawił rzecz tak, jakby to on, a nie Oslak, schwytał „złodzieja”. Oslak nie zwrócił na to uwagi, natomiast Renn spojrzała na brata cierpko.

Tymczasem psy zwietrzyły Wilka. Z odsłoniętymi zębami zaczęły podchodzić do Renn.

–Precz! – rozkazała.

Usłuchały.

Renn zanurkowała do najbliższego szałas i pojawiła się za chwilę znowu, niosąc zwój liny wyplatanej z łyka. Jednym końcem obwiązała torbę z Wilkiem w środku, drugi przerzuciła przez gałąź dębu i podciągnęła torbę w górę – znacznie wyżej, niż mogły doskoczyć psy.

I ja, uświadomił sobie Torak. Nawet gdyby pojawiła się teraz okazja ucieczki, nie mógłby z niej skorzystać. Nie mógł uciec bez Wilka.

Renn podchwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się złośliwie.

Spojrzał na nią spode łba. Było mu niedobrze ze strachu.

Hord skończył opowiadać. Mężczyzna, który stał przy ogniu, skinął głową i czekał. Oslak popchnął Toraka w jego kierunku. Mężczyzna wwiercił się weń spojrzeniem błękitnych oczu. Nie mrugnął ani razu. Jego oczy wydawały się nadzwyczaj żywe na tle nieruchomej twarzy. Torak nie mógł w nie patrzeć długo – choć jeszcze trudniej było mu odwrócić wzrok.

–Jak się nazywasz? – odezwał się mężczyzna. Mówił cicho, co w jakiś sposób było bardziej przerażające.

Torak oblizał wargi.

–Torak. A ty? – zapytał, chociaż i tak znał odpowiedź.

Odpowiedział Hord.

–To Fin-Kedinn. Wódz klanu Kruka. A ty, nieszczęsny karzełku, powinienes nauczyć się szacunku...

Fin-Kedinn uciszył Horda spojrzeniem i odwrócił się do Toraka.

–Do jakiego klanu należysz?

Torak potarł brodę.

–Do klanu Wilka.

–Cóż za niespodzianka! – zauważyła Renn, a kilka osób się roześmiało.

Jednakże nie Fin-Kedinn. Nie spuszczał płonących, błękitnych oczu z Toraka.

–Co robisz w tej części Lasu?

–Szedłem na północ – powiedział Torak.

–Mówiłem mu, że ta część Lasu należy teraz do nas – wtrącił pospiesznie Hord.

–Skąd miałem to wiedzieć? – powiedział Torak. – Nie byłem na zgromadzeniu klanów.

–Dlaczego? – zapytał Fin-Kedinn.

Torak nie odpowiedział.

Wódz klanu Kruka przewiercił go spojrzeniem.

–Gdzie są ludzie z twojego klanu?

–Nie wiem – odpowiedział szczerze Torak. – Nie żyjemy razem. Żyję... żyłem... z ojcem.

–Gdzie on jest?

–Nie żyje. Zabił go... niedźwiedź.

Wśród przysłuchujących się rozmowie rozszedł się syk. Niektórzy obejrzeli się nerwowo za siebie, inni dotknęli skór zwierząt klanowych lub uczynili dłonią gest, który miał odegnać złe moce. Stara kobieta zostawiła strzały i ruszyła ku nim.

Na twarzy Fin-Kedinna nie malowały się żadne emocje.

–Kim był twój ojciec?

Torak przełknął ślinę. Wiedział – musiał to również wiedzieć Fin-Kedinn – że nie wolno wymawiać imienia martwej osoby przez pięć lat od jej śmierci. Można jedynie wymieniać imiona jej rodziców. Tata prawie nigdy nie wspominał o swojej rodzinie, ale Torak znał imiona jego rodziców, i wiedział, skąd pochodzili oboje. Matka Taty należała do klanu Foki, a ojciec do klanu Wilka. Torak wymienił ich.

Rozpoznanie jest jednym z uczuć, które najtrudniej ukryć. Nie udało się to nawet Fin-Kedinnowi.

Znał Tatę, pomyślał Torak w osłupieniu. Ale skąd? Tata nigdy o nim nie wspominał, podobnie jak o klanie Kruka. Co to znaczy?

Fin-Kedinn przesunął powoli kciukiem po dolnej wardze. Nie sposób było powiedzieć, czy ojciec Toraka był jego najlepszym przyjacielem, czy raczej śmiertelnym wrogiem.

Wreszcie przemówił.

–Rozdzielcie pomiędzy wszystkich rzeczy chłopaka – powiedział Oslakowi. – A potem zabierzcie go w dół rzeki i zabijcie.

Torak poczuł, że kolana się pod nim uginają. C... co? – wydyszał. – Przecież nie wiedziałem nawet, że jeleń należy do was! Jak możecie uznać mnie za winnego, skoro o tym nie wiedziałem?-Takie jest prawo – powiedział Fin-Kedinn.

–Dlaczego? Dlaczego? Dlatego że ty tak mówisz?

–Dlatego że tak mówią klany.

Ciężka dłoń Oslaka spoczęła na ramieniu Toraka.

–Nie! – krzyknął Torak. – Posłuchaj! Mówisz, że takie jest prawo, ale... jest przecież inne prawo – odetchnął – prawo walki. Będziemy... będziemy walczyć!

Torak nie był pewien, czy ma rację. Tata wspominał mu o tym tylko raz, kiedy uczył go prawa klanowego. Oczy Fin-Kedinna zwężyły się w szparki.

–Mam rację, prawda? – nie ustępował Torak, usiłując odpowiadać wodzowi Kruków spojrzeniem za spojrzeniem.

–Nie macie pewności, czy jestem winny, bo nie wiecie na pewno, czy wiedziałem, że jeleń należy do was. Walczmy więc. Ty i ja – przełknął ślinę. – Jeśli zwyciężę, jestem niewinny. Będę żył. To znaczy ja i Wilk. Jeśli zostanę pokonany, umrzemy.

Kilku mężczyzn chrząknęło. Kobieta potarła brew i pokręciła głową.

–Nie walczę z chłopcami – powiedział Fin-Kedinn.

–Ale on ma rację, prawda? – wtrąciła się Renn. – To najstarsze prawo ze wszystkich. Ma prawo do walki.

Hord wystąpił naprzód.

–Ja będę z nim walczył. Nie dzieli nas duża różnica wieku. Tak będzie sprawiedliwiej.

–Niewiele sprawiedliwiej – rzekła sucho Renn. Dziewczyna opierała się o drzewo, na którym zawiesiła torbę z Wilkiem. Wcześniej rozluźniła nieco zaciskający ją sznur i Wilk wytknął głowę na zewnątrz. Był nieco sponiewierany, przypatrywał się z niepokojem dwóm psom śliniącym się w dole.

–Co ty na to, Fin-Kedinnie? – spytała Czarownica.

–Chłopak ma rację. Pozwól mu walczyć.

Wzrok Fin-Kedinna spotkał się ze wzrokiem starej kobiety, przez chwilę dało się wyczuć, że toczą pojedynek woli. Wreszcie Fin-Kedinn powoli pokiwał głową.

Torak odetchnął z ulgą.

Wszyscy byli chyba podekscytowani perspektywą zbliżającej się walki. Dyskutowali w grupkach, dreptali w miejscu, obłoki oddechów unosiły się w mroźnym wieczornym powietrzu.

Oslak rzucił Torakowi nóż jego ojca.

–Będzie ci potrzebny. Dostaniesz też włócznię i ochraniacz na ramię.

–Jak to? – spytał Torak.

Wielki mężczyzna podrapał bliznę, jedyną pozostałość po uchu.

–Wiesz, jak wygląda taka walka?

–Nie – powiedział Torak.

Oslak przewrócił oczami. Oddalił się w stronę najbliższego szałas i powrócił z jesionową włócznią zakończoną groźnym, bazaltowym ostrzem oraz czymś, co wyglądało na pasek potrójnie zszytej skóry renifera.

Torak ujął nieśmiało włócznię i przypatrywał się niepewnie, jak Oslak obwiązuje mu prawe przedramię. Skóra była ciężka i nieporęczna niczym kawał jeleniego mięsa. Zastanawiał się, do czego ma mu się przydać.

Oslak wskazał głową na bandaż na drugiej ręce Toraka i skrzywił się.

–Zdaje się, że los ci niezbyt sprzyja.

Niezbyt, pomyślał Torak.

Gdy proponował walkę, miał na myśli zapasy, być może rzucanie nożem do celu, co często ćwiczyli z Tatą dla zabawy. Bez wątpienia dla Kruków walka oznaczała coś innego. Torak zastanawiał się, czy mają jakieś specjalne zasady i czy dopytywanie się o nie uznane będzie za słabość.

Fin-Kedinn kopnął ognisko, posyłając w górę chmurę iskier. Torak przypatrywał mu się przez ścianę rozgrzanego powietrza.

–Jest tylko jedna zasada – powiedział Fin-Kedinn, jakby w odpowiedzi na myśli Toraka. – Nie wolno używać ognia. Rozumiesz? – Jego wzrok podchwycił i uwięził spojrzenie Toraka.

Torak pokiwał ze zniecierpliwieniem głową. Zakaz używania ognia był najmniejszym z jego problemów. Widział, jak stojący za Fin-Kedinnem Hord obwiązuje sobie ramię. Mężczyzna zdjął kaftan. Wydawał się ogromny i przerażająco silny. Torak postanowił nie zdejmować kaftana. Po co podkreślać kontrast?

Odwiązał wszystkie rzeczy od pasa i położył na ziemi. Potem założył na czoło wyplataną z trawy opaskę, aby włosy nie wpadały mu do oczu. Ręce lepiły mu się od potu. Kucnął i wytarł je w piach.

Podskoczył, kiedy ktoś dotknął jego ramienia.

Renn.

Podala mu brzozowy skopek. Przyjął go z wdzięcznością i wypił. Ku jego zdumieniu był to sok z owoców czarnego bzu. Cierpki i krzepiący.

Renn spostrzegła jego zaskoczenie i wzruszyła ramionami.

–Hord też się napił. Tak jest sprawiedliwie. – Wskazała na naczynie stojące przy ogniu. – Tam jest woda, gdybyś potrzebował.

Torak oddał jej skopek.

–Nie wydaje mi się, żeby to potrwało aż tak długo.

Renn zawahała się.

–Kto wie...

Zapadła cisza. Pozostali uformowali krąg wokół polany, zamykając w środku Toraka i Horda, oraz ognisko. Nie było żadnych formalności. Walka się rozpoczęła.

Torak i Hord zaczęli ostrożnie krążyć wokół siebie. Pomimo swego wzrostu Hord poruszał się ze zwinnością rysia, uginając kolana, zmieniając położenie palców na nożu i włóczni. Jego twarz była napięta, ale mały uśmieszek błędził w kącikach ust. Uwielbiał być w centrum uwagi.

W przeciwieństwie do Toraka, któremu serce tłukło o żebra. Dobiegały doń głosy

zgrupowanych wokół, zagrzewające Horda do walki. Stłumione, jakby spod wody.

Włócznia Horda pomknęła ku piersi Toraka, ten odskoczył w ostatniej chwili. Pot wystąpił mu na czoło.

Torak spróbował tego samego, pragnąc w duchu, żeby nie wyglądało to jak naśladowanie.

–Naśladując, niewiele działasz – zawołała Renn.

Twarz Toraka spłonęła rumieńcem.

On i Hord poruszali się teraz szybciej. Tu i ówdzie ziemia była śliska od krwi knura. Torak pośliznął się i prawie upadł.

Zdawał sobie sprawę, że nie ma szans zwyciężyć siłą. Będzie musiał użyć sprytu. Problem w tym, że znał tylko dwie sztuczki, których mógł użyć podczas walki, a każdą ćwiczył jedynie kilka razy.

Teraz, pomyślał nierozważnie. Pchnął włócznię w kierunku szyi Horda. Tamten zgodnie z oczekiwaniem podniósł ramię, aby zablokować cios ochroniaczem. Torak szybkim dźgnięciem próbował dosięgnąć jego brzucha, lecz Hord odparował cios z przerażającą łatwością – włócznia Toraka ześliznęła się po naramienniku, nie czyniąc Hordowi szkody.

Znał tę sztuczkę, pomyślał Torak. Z każdą chwilą przekonywał się coraz mocniej, że Hord jest zaprawionym wojownikiem.

–No dalej, Hord! – wrzasnął jakiś mężczyzna. – Zafarbuje mu skórę na czerwono!

–Chwileczkę – zawołał w odpowiedzi Hord, wykrzywiając kącik ust.

Grupę przebiegł dreszcz śmiechu.

Torak spróbował drugiego triku. Udając całkowitą nieporadność, co nie było trudne, uderzył wściekle, kuszając Horda odsłoniętą klatką piersiową. Hord chwycił przynętę, lecz kiedy jego włócznia pomknęła naprzód, Torak ukośnym ruchem ramienia z ochroniaczem odparował cios. Grot włóczni Horda zagłębił się w grubej skórzanej osłonie, niemal zwalając Toraka z nóg, lecz on zdołał wykonać do końca swój plan, przekręcając ramię gwałtownie ku górze. Drzewce włóczni Horda pękły na pół. Widzowie zaszemrali z podziwu. Hord zatoczył się w tył, pozbawiony włóczni.

Torak był zdumiony. Nie spodziewał się, że trik zadziała.

Hord szybko się otrząsnął. Rzucił się naprzód i dźgnął nożem dłoń, w której Torak trzymał włócznię. Torak krzyknął, gdy krzemień wgrzył się między jego palec wskazujący a kciuk. Stracił równowagę i upuścił włócznię. Hord natarł ponownie. Torak zdołał jedynie przetoczyć się na bok i wstać.

Teraz żaden z nich nie miał włóczni. Czekala ich walka na noże.

Torak odskoczył za ognisko, by złapać oddech. Dyszał ciężko, ból szarpał zranioną dłoń. Pot lał się Torakowi po bokach. Gorzko żałował, że nie poszedł za przykładem Horda i nie zdjął kaftana.

–Pospiesz się, Hord – krzyknęła jakaś kobieta. – Skończ z nim!

–Rusz się, Hord – zawołał jeden z mężczyzn. – Czy tylko tyle nauczyli cię w Głębokim Lesie?

Teraz już nie wszystkie głosy zagrzewały do walki Horda. Można było usłyszeć również nieznacznym doping dla Toraka, choć on sądził, że to wsparcie raczej z

uprzejmości niż rezultat przyjemnego zaskoczenia, że udało mu się wytrwać dłużej, niż oczekiwano.

Wiedział bowiem, że długo już nie wytrzyma. Siły opuszczały go gwałtownie i nie miał żadnych sztuczek w zanadrzu. Teraz warunki dyktował Hord.

Wybacz, Wilku, powiedział bezgłośnie do szczeniaka. Nie sądzę, byśmy się wykaraskali.

Kątem oka dostrzegł Wilka wysoko na drzewie. Szczenię wierciło się i skamlało w mgiełce gorącego oddechu. Co się dzieje? – pytało. Dlaczego nie przychodzisz, żeby mnie uwolnić?

Torak uskoczył na bok, by uniknąć pchnięcia nożem, które miało dosięgnąć jego gardła. Skup się, powiedział sobie ponuro. Zapomnij o Wilku.

A jednak coś nie dawało mu spokoju. Coś, co miało związek z Wilkiem. Co to mogło być?

Ponownie zerknął na popiskującego szczeniaka... Obłoczek oddechu...

„Nie wolno użyć ognia”, powiedział Fin-Kedinn.

Raptem Torakowi rozjaśniło się w głowie i wiedział już, co robić. Trzymając Horda na dystans za pomocą noża, przesuwiał się bokiem tak, by przedzieliło ich ognisko.

–Znowu się chowasz? – zadrwił Hord.

Torak spojrział na wypełniony wodą skopek z brzozy kory.

–Muszę się napić. Mogę?

–Skoro musisz. Chłopaczku.

Nie spuszczał Horda z oka, Torak kucnął i podniósł naczynie. Pił powoli, by Hord myślał, że zamierza coś zrobić z naczyniem, oraz by odwrócić uwagę od wypełnionego buzującym płynem skórzanego garnka.

Poskutkowało. Hord podszedł do ogniska i pochylił się, chcąc przestraszyć Toraka.

–Też chcesz się napić? – zapytał Torak, wciąż kucając.

Hord parsknął z pogardą.

W jednej chwili Torak uderzył – lecz w garnek. Wbił nóż w twardą skórę, dźwignął garnek w górę i wylał wrzący rosół na rozżarzone do białości węgle. Twarz Horda spowiły syczące kłęby pary.

Wśród przypatrujących się rozszedł się szmer podziwu. Torak skorzystał z okazji i pchnął przeciwnika nożem w nadgarstek. Oślepiony parą Hord zawył z bólu i upuścił nóż. Torak kopnął go daleko i rzucił się na Horda, powalając go na ziemię.

Hord legł bez tchu, a Torak usiadł okrakiem na jego piersi, klękając na rękach mężczyzny, by je unieruchomić. Przez jedną, krótką jak uderzenie serca chwilę wzrok zaszedł mu czerwienią i poczuł pokusę, by zabić. Chwycił w garść ciemnorudą czuprynę Horda i uderzył jego głową o ziemię.

Poczuł czyjeś silne ręce na swych ramionach. Ktoś go odciągał.

–Już po wszystkim – odezwał się zza jego pleców Fin-Kedinn.

Torak usiłował wyrwać się z jego uścisku. Hord poderwał się na nogi i rzucił po nóż. Dyszeli ciężko, spoglądając po sobie z nienawiścią.

–Powiedziałem, że już po wszystkim – krzyknął Fin-Kedinn.

Wśród zgromadzonych wybuchł chaos. Mieli inne zdanie.

–Oszukiwał! Użył ognia!

–Nie, walczył uczciwie!

–Kto ma to rozstrzygnąć? Niech dalej walczą!

Torak i Hord nie wyglądali na zachwyconych tym pomysłem.

–Zwyciężył chłopak – powiedział Fin-Kedinn, uwalniając Toraka z uścisku.

Torak otrząsnął się i otarł pot z twarzy, przypatrując się, jak Hord chowa nóż do pochwy. Hord był wściekły, lecz nie sposób było powiedzieć, czy bardziej na siebie, czy na Toraka. Dyrati położyła mu dłoń na ramieniu, lecz strząsnął ją ze złością, przepchnął się przez grupę i zniknął w jednym z szałasów.

Żądza krwi opuściła już Toraka. Czuł się słaby i był roztrzęsiony. Schował nóż i rozejrzał się wokół za swoimi rzeczami. Zobaczył, że Fin-Kedinn nadal mu się przygląda.

–Złamałeś zasadę – odezwał się spokojnym głosem wódz Kruków. – Użyłeś ognia.

–Nieprawda – odrzekł Torak. Zabrzmiało to daleko bardziej pewnie, niż się czuł. – Nie ognia, lecz pary.

–Wolałbym – ciągnął Fin-Kedinn – żebyś użył wody zamiast bulionu. To marnotrawstwo dobrego pożywienia.

Torak nie odpowiedział.

Fin-Kedinn przypatrywał mu się bacznie, przez jedną chwilę w jego błękitnych oczach zagościł ognek rozbawienia.

Przepchnął się do nich Oslak z Wilkiem w torbie.

–Trzymaj swojego szczeniaka! – wybuchnął, rzucając torbę w Toraka z taką siłą, że ten się zachwiał.

Wilk zwinął się z bólu i polizał Toraka po twarzy, mówiąc, jak było mu źle – wszystko naraz. Torak chciał mu powiedzieć coś na uspokojenie, ale powstrzymał się. Nie byłoby mądrze ujawnić się teraz.

–Prawo jest prawem – powiedział Fin-Kedinn. – Zwyciężyłeś. Możesz odejść.

–Nie! – rozległ się kobiecy głos. Wszystkie głowy się odwróciły. To była Renn. – Nie możesz go wypuścić! – wołała w biegu.

–Właśnie to zrobił – odrzekł Torak. – Sama słyszałaś. Jestem wolny.

Renn zwróciła się do wuja.

–Nie możemy go puścić wolno. To zbyt ważne. Może on jest... – Odciągnęła Fin-Kedinna na stronę, szepcząc coś z ożywieniem.

Torak nie był w stanie usłyszeć, co mówiła, ale ku jego niezadowoleniu inni przysunęli się bliżej, by słuchać. Czarownica jęknęła i pokiwała głową. Nawet Hord wynurzył się z namiotu, a kiedy usłyszał, co mówią tamci, obrzucił Toraka dziwnym, badawczym spojrzeniem.

Fin-Kedinn przypatrywał się Renn w zamyśleniu.

–Jesteś tego pewna?

–Nie wiem – odpowiedziała. – Może nim jest, a może nie jest. Potrzebujemy czasu, by się przekonać.

Fin-Kedinn pogładził się po brodzie.

–Dlaczego przypuszczasz...

–Chodzi o to, jak pokonał Horda. A w jego rzeczach znalazłam to. – Wyciągnęła dłoń, na której Torak zobaczył swój gwizdek z kości głuszca. – Do czego ci to potrzebne? – spytała.

–Przywołuję tym szczeniaka – odpowiedział Torak. Dmuchnęła, a Wilk zakręcił się niespokojnie w jego ramionach. Zgromadzonych przebiegł szmer niepokoju. Renn i Fin-Kedinn spojrzeli sobie w oczy.

–Nie wydaje żadnego dźwięku – rzekła oskarżycielskim tonem.

Torak nie odpowiedział. Właśnie zdał sobie gwałtownie sprawę, że jej oczy nie były jasnoniebieskie, jak oczy brata, lecz czarne – czarne niczym dół z torfem. Zastanawiał się, czy ona także jest Czarownicą.

Dziewczyna odwróciła się do Fin-Kedinna.

–Nie możemy go wypuścić, dopóki nie będziemy wiedzieć na pewno.

–Ma rację – odezwała się Czarownica. – Wiesz równie dobrze jak ja, o czym to świadczy. Wszyscy wiemy.

–O czym co świadczy? – wtrącił Torak błagalnym głosem. – Fin-Kedinnie, zawarliśmy umowę! Miałem stąd odejść razem z Wilkiem, jeśli wygram!

–Nie – powiedział Fin-Kedinn. – Umówiliśmy się, że będziesz żył, jeśli wygrasz. I będziesz. Przynajmniej przez jakiś czas. Oslak, zwiąż go.

–Nie! – krzyknął Torak. Renn podniosła głowę.

–Powiedziałeś, że twojego ojca zabił niedźwiedź. Wiemy o tym niedźwiedziu. Niektórzy z nas nawet go widzieli.

Stojący obok niej Hord wzdrygnął się i zaczął obgryzać paznokieć kciuka.

–Pojawił się jakiś miesiąc temu – ciągnęła cichym głosem Renn. – Jak cień spowił Las mrokiem, zabijając bez powodu, nawet innych myśliwych. Wilki. Rysie. Jakby... jakby czegoś szukał. – Urwała. – Potem, trzynaście dni temu, zniknął. Tropiciel z klanu Knura dowiedział się, że ruszył na południe. Myśleliśmy, że już nie wróci. Wznosiliśmy modły do naszego klanowego opiekuna – przełknęła ślinę. – Ale wrócił. Teraz. Wczoraj przyszli z zachodu nasi zwiadowcy. Znaleźli wiele sztuk martwej zwierzyny, usłana nią była cała droga do Morza. Ludzie z klanu Wieloryba powiedzieli im, że trzy dni temu zabił dziecko.

Torak oblizwał wargi.

–A co to ma ze mną wspólnego?

–W naszym klanie mamy Przepowiednię – powiedziała Renn, jakby go nie usłyszała. – Na Las naciera mrok. Nie oprze mu się nikt – przerwała i zmarszczyła czoło.

Czarownica dokończyła za nią:

–Przybywa Słuchający. Walczy powietrzem, przemawia ciszą. – Jej spojrzenie spoczęło na gwizdku w dłoni Toraka.

Wszyscy przyglądali się Torakowi bez słowa.

–Nie jestem waszym Słuchającym – powiedział.

–Sądzimy, że możesz nim być – odpowiedziała Czarownica.

Torak rozważył słowa Przepowiedni. Słuchający walczy powietrzem... Przecież

właśnie to zrobić: użył pary w walce.

–Co... się z nim dzieje? – zapytał niskim głosem. – Co dzieje się ze Słuchającym z Przepowiedni? – Miał okropne uczucie, że zna odpowiedź.

Cisza panująca na polanie zagęściła się. Torak powiódł spojrzeniem po przestraszonych twarzach i zatrzymał wzrok na krzemiennym nożu u pasa Oslaka. Popatrzył na połyskującego, zabitego knura zwieszającego się z drzewa; na ciemną krew sączącą się do naczynia pod spodem. Poczul na sobie wzrok Fin-Kedinna i płonące błękitne oczy znów przykuły jego wzrok.

–Słuchający – zakończył Fin-Kedinn – napoi Górę krwią swego serca. Cień będzie zgładzony.

Krew jego serca.

Lepka ciecz skapywała wolno do naczynia pod drzewem.

Kap, kap, kap.

Co chcecie ze mną zrobić? – zapytał Torak, gdy Oslak skrępował mu ręce na plecach i przywiązywał je do pala podtrzymującego dach szałas. – Co macie zamiar zrobić?-Dowiesz się już niedługo – powiedział Oslak. – Fin-Kedinn chce, by decyzja zapadła do świtu.

Do świtu, pomyślał Torak.

Patrzył z ukosa, jak Oslak usiłuje przywiązać opierającego się Wilka do pala za pomocą krótkiej skórzanej smyczy.

Poczul, że zaczyna szczekać zębami.

–Kto zadecyduje, co się ze mną stanie? Dlaczego nie mogę tam być, sam się bronić? Kim są ci wszyscy ludzie przy ogniu?

–Au! – krzyknął Oslak i zaczął ssać ugryziony kciuk. – Fin-Kedinn posłał kurierów, by wezwali ludzi na zgromadzenie klanów w sprawie niedźwiedzia. Rozstrzygną również o twoim losie.

Torak przypatrywał się przygarbionym postaciom stłoczonym wokół ogniska: twarzom dwudziestu czy trzydziestu mężczyzn i kobiet rozjaśnionym migotliwym blaskiem płomieni. Nie dawał sobie dużych szans.

Do świtu. Do świtu będzie musiał znaleźć jakiś sposób ucieczki.

Ale jaki? Siedział w szałasie, przywiązany do pala, bez broni i plecaka, i nawet gdyby się stąd wydostał, obóz był silnie strzeżony. Wraz z zapadnięciem ciemności obozowisko otoczono pierścieniem ognisk, przy których pełnili wartę mężczyźni z włóczniami i rogami z brzozy kory. Fin-Kedinn zrobił wszystko, by nie dać się zaskoczyć niedźwiedziowi.

Oslak ściągnął Torakowi buty i związał mu razem kostki. Potem wyszedł, zabierając buty ze sobą.

Torak nie słyszał, co mówią ludzie na zgromadzeniu klanów, ale przynajmniej ich widział – pozwalała na to dziwaczna konstrukcja szałasów Kruków. Dach ze skóry renifera opadał stromo za jego plecami, natomiast od frontu ściany nie było w ogóle: jedynie poprzeczny pal, który nie pozwalał, by do wnętrza wtargnął dym z małego ogniska przed wejściem, a zarazem utrzymywał ciepło w środku.

Torak wykręcał się, jak umiał, by się dowiedzieć, co się dzieje. Widział, że ludzie

przy ogniu wstają kolejno i przemawiają. Najpierw barczysty mężczyzna z ogromnym toporem do rzucania w dłoni. Potem kobieta o orzechowych włosach, z puklem na jednej skroni ufarbowanym czerwoną ochrą. Dziewczyna o dzikim spojrzeniu, z czaszką oblepioną dziwnie żółtą gliną, która nadawała jej twardość kory dębu.

Nie mógł dostrzec Fin-Kedinna, widział natomiast, że w pewnej odległości od innych przykucnęła w pyle Czarownica. Przypatrywała się dużemu krukowi o połyskliwych piórach. Ptak przechadzał się przed nią bez strachu, wydając od czasu do czasu z siebie ostre „Krra!”

Torak zastanawiał się, czy to opiekun ich klanu. Co ptak mówił kobiecie? W jaki sposób złożyć Toraka w ofierze? Wypatroszyć jak łososa czy obedrzeć ze skóry jak zająca? Nie słyszał, by klany kiedykolwiek składały ofiary z ludzi, jeśli nie liczyć bardzo odległej przeszłości, złych czasów zaraz po Wielkiej Fali. Ale nie słyszał też nigdy wcześniej o klanie Kruka.

„Fin-Kedinn chce, by decyzja zapadła do świtu... Słuchający napoi Górę krwią swego serca...”

Czy Tata wiedział o Przepowiedni? Nie mógł wiedzieć. Nie wysłałby własnego syna na śmierć.

A jednak – wymógł na Toraku przysięgę, że chłopak odnajdzie Górę. I powiedział: mam nadzieję, że nie zniechęcisz mnie później za to.

Później. Kiedy się dowiesz.

Dotknięcie szorstkiego języka na nadgarstku przywołało go do rzeczywistości. Wilk lizał więzy. Torak poczuł isierkę nadziei. Gdyby Wilk zaczął gryźć...

Gdy Torak zastanawiał się, jak dać mu to do zrozumienia w wilczej mowie, jakiś mężczyzna siedzący przy ogniu podniósł się i ruszył przez polanę w jego kierunku. Był to Hord.

Torak warknął na Wilka gwałtownie, aby przestał. Ale szczeniak był zbyt głodny, nie usłyszał i wciąż lizał więzy.

Hord jednakże nie interesował się wcale Wilkiem. Stał przy niewielkim ognisku u wejścia, obgryzając paznokcie kciuka i wpatrując się ze wściekłością w Toraka.

–Nie jesteś Słuchającym – burknął. – To niemożliwe.

–Powiedz to innym – odrzekł Torak.

–Aby zabić niedźwiedzia, nie potrzeba nam jakiegoś „chłopaczka”. Sami damy radę. Ja mogę go zabić. Ocalić klan.

–Nie miałbyś żadnych szans – powiedział Torak. Poczuł, że Wilk zaczyna skubać rzemień jednym zębem i znieruchomiał, by go nie zniechęcać. Modlił się, by Hordowi nie przyszło do głowy się przekonać, co Wilk robi za jego plecami.

Lecz Hord był najwyraźniej nazbyt podekscytowany, by cokolwiek zauważyć. Przeszedł się kilkakrotnie tam i z powrotem. Potem stanął i znów spojrzał na Toraka.

–Widziałeś go, tak? Widziałeś niedźwiedzia?

–Oczywiście, że widziałem – odparł Torak zaskoczony. – Zabił mojego ojca.

Hord spojrzał ukradkiem za siebie. – Ja też go widziałem.

–Gdzie? Kiedy?

Hord cofnął się, jakby chciał uniknąć jakiegoś ciosu.

–Na południu. Przebywałem w klanie Płowego Jelenia. Uczyłem się Magii. Saeunn – tu skinął głową w kierunku starej kobiety, która nadal rozmawiała z krukiem – nasza Czarownica, chciała, bym do nich pojechał. – Ponownie wgrzył się w paznokiec, który zaczynał już krwawić. – Tam pochwycono niedźwiedzia. Widziałem, jak powstawał.

Torak wybałuszył na niego oczy.

–Powstawał? Co masz na myśli? Ale Hord już odszedł.

Minęła północ, wzeszedł blady księżyc, a zgromadzenie wciąż trwało. Wilk nie przestawał lizać i szarpać rzemieni. Oslak zacisnął jednak węzły mocno i pewnie, Wilk nie był chyba w stanie zacisnąć na nich szczęk. Nie przestawaj, błagał go Torak milcząco, proszę, nie przestawaj. Nie czuł głodu. Był zbyt przestraszony, potłuczony i sztywny po walce z Hordem, a ramiona bolały go od długiego przebywania w tej samej pozycji. Nawet gdyby Wilk zdołał przegryźć więzy, nie było pewności, że Torak zbierze w sobie dość sił, by uciec i przemknąć się cichcem obok strażników.

Rozmyślał usilnie nad słowami Horda. „Widziałem, jak powstawał...”

Było coś jeszcze. Hord przebywał przez jakiś czas z ludźmi z klanu Płowego Jelenia, do którego należała też matka Toraka. Nigdy jej nie poznał – umarła, kiedy był jeszcze bardzo mały, ale jeśli ludzie z klanu Kruka żyli z jej klanem w przyjaźni, być może uda się ich przekonać, by go wypuścili.

Rozległ się odgłos szurania butami po piachu. Prędko! Nie mogą przyłapać Wilka przy jego nadgarstkach.

Torak miał akurat tyle czasu, by wydać z siebie krótkie, ostrzegawcze „Urrf!”. Wilk na szczęście usłuchał, a przy wejściu pojawiła się Renn, zajęta obgryzaniem nogi pieczonego zająca.

Jej bystre oczy dostrzegły Wilka siedzącego niewinnie za Torakiem, a potem spoczęły na chłopcu, który odpowiedział spojrzeniem, nie chcąc, by podchodziła bliżej.

Zrobił ruch głową w kierunku zgromadzonych, po czym zapytał, czy w spotkaniu bierze udział ktoś z klanu Wilka.

Potrząsnęła głową.

–Niewielu ludzi z klanu Wilka przetrwało do dzisiaj. Oni cię nie uratują, jeśli o tym myślałeś.

Torak nie odpowiedział. Właśnie bowiem naciągnął nieco więzy na nadgarstkach i poczuł, że odrobinę puściły. Zaczynały się rozciągać, jak to się dzieje ze skórą, gdy namoknie. Gdyby tylko Renn poszła sobie...

Nie ruszała się z miejsca.

–Z klanu Wilka nikogo – powiedziała z pełnymi ustami. – Lecz mnóstwo ludzi z innych klanów. Ta z żółtą głową należy do klanu Tura. To ludzie z Puszczy, wiele się modlą. Sądzą, że właśnie w ten sposób mamy stawić czoło niedźwiedziowi, wznosząc modły do Ducha Świata. Mężczyzna z toporem należy do klanu Knura. Chce za pomocą ściany ognia odeprzeć niedźwiedzia w stronę Morza. Kobieta z krwią ziemi we włosach należy do klanu Płowego Jelenia. Nie jestem pewna, co myśli. Jeśli o nich idzie, trudno powiedzieć.

Torak zastanawiał się, czemu dziewczyna tak dużo mówi. Chciała czegoś od niego?

Niezależnie od tego, czego chciała, postanowił wyjść jej naprzeciw, by odwrócić uwagę od Wilka.

–Moja matka należała do klanu Płowego Jelenia – powiedział. – Ta kobieta może być moją krewną. Może...

–Mówi, że nie. Nie ma zamiaru ci pomagać.

Torak myślał przez moment.

–Jesteście z klanem Płowego Jelenia w przyjaznych stosunkach, prawda? Twój brat powiedział, że uczył się u nich Magii.

–I co z tego?

–Powiedział... że widział, jak niedźwiedź „powstawał”. Co to znaczy?

Spojrzała na niego nieufnie, zwężonymi oczyma.

–Muszę wiedzieć – powiedział Torak. – Niedźwiedź zabił mojego ojca.

Renn obejrzała zajęczką nogę.

–Hord był u nich w ramach wymiany między klanami. Wiesz coś o tym? – W jej głosie pojawiła się nutka szyderstwa. – Zostaje się w innym klanie przez jakiś czas, by zdobyć przyjaciół i może partnera.

–Słyszałem – potwierdził Torak. Poczul, że Wilk ponownie dobiera się do jego nadgarstków za plecami. Usiłował odegnać go ruchem palców, ale nie podziałało. Nie teraz, pomyślał. Błagam, nie teraz!

–Był u nich przez dziewięć miesięcy – powiedziała Renn, odgryzając kolejny kęs. – Z całego Lasu oni najlepiej opanowali sztukę Magii. – Wykrzywiła usta w pozbawionym humoru grymasie. – A Hord zawsze chce być najlepszy. – Raptem zmarszczyła brwi. – Co robi twój szczeniak?

–Nic – odpowiedział Torak zbyt szybko. Odejdź, odejdź, odezwał się do Wilka nie swoim głosem.

Wilk, rzecz jasna, zignorował go. Torak odwrócił się do Renn.

–Co się wtedy stało?

Kolejne spojrzenie.

–A dlaczego pytasz?

–A dlaczego ze mną rozmawiasz?

Twarz dziewczyny stała się nieprzenikniona. Potrafiła ukryć uczucia tak samo sprawnie, jak Fin-Kedinn.

W zamyśleniu wydłubała skrawek zajęczego mięsa spomiędzy zębów.

–Niedługo po tym, jak Hord trafił do klanu Płowego Jelenia – zaczęła – zjawił się w ich obozie nieznajomy. Wędrowiec z klanu Wierzby, okulawiony podczas jakiegoś polowania. A przynajmniej tak twierdził. Ci z klanu Płowego Jelenia przyjęli go. On jednak... – zawahała się i nagle wydała się Torakowi znacznie młodsza i bardziej niepokojąca – zdradził ich. Nie był zwyczajnym wędrowcem, znał Magię. Przygotował w lesie sekretne miejsce i przywołał demona. Przywołał i uwięził w ciele niedźwiedzia – umilkła na chwilę. – Hord dowiedział się o tym. Lecz wtedy było już za późno.

Cienie na zewnątrz robiły się coraz głębsze. Gdzieś w lesie odezwał się lis.

–Dlaczego? – zapytał Torak. – Dlaczego ten... wędrowiec to zrobił?

Renn potrząsnęła głową.

–Któż to wie? Może ten stwór miał coś dla niego zrobić? Ale stał się zły. – Jej ciemne oczy zapłonęły. – Gdy demon znalazł się w niedźwiedziu, stał się zbyt silny. Wyrwał się na wolność. Zabił trzech ludzi, nim ci z klanu Płowego Jelenia zdolali go odegnąć. Tymczasem kulawy wędrowiec zniknął.

Torak milczał. Jedynym rozlegającym się w ciszy dźwiękiem był szept drzew wśród nocnej bryzy i skrobanie wilczego języka na rzemieniu.

Zwierzak chwycił niechcący Toraka zębami za skórę. Nie zastanawiając się, Torak odwrócił się i wydał z siebie ostre, ostrzegawcze warknięcie.

Wilk natychmiast odskoczył i przeprosił uśmiechem.

Renn westchnęła ze zdziwienia.

–Potrafisz z nim rozmawiać!

–Nie! – krzyknął Torak. – Mylisz się...

–Widziałam! – Jej twarz była jeszcze bledsza niż zwykle.

–A zatem to prawda. Przepowiednia mówi prawdę. Jesteś Słuchającym.

–Nie!

–Co mu powiedziałaś? Co razem knuliście?

–Już ci mówiłem, nie potrafię...

–Nie mam zamiaru dawać ci okazji – szepnęła. – Nie pozwolę, byś spiskował przeciwko nam. Ani ja, ani Fin-Kedinn. – Wyjęła nóż, odcięła smycz, wzięła szczeniaka na rękę i pobiegła przez polanę w stronę zgromadzonych przy ognisku ludzi.

–Wracaj! – wrzasnął Torak. Z furią szarpnął więzami, ale trzymały mocno. Wilk nie miał dość czasu, by je poprzegryzać.

Ogarnęła go zgroza. Wszystkie nadzieje pokładał w Wilku, którego teraz nie było. Zbliżał się świt. Ptaki już nawoływały wśród listowia drzew.

Raz jeszcze zmierzył się z więzami wokół nadgarstków. Nic.

Fin-Kedinn i stara kobieta o imieniu Saeunn podnieśli się po drugiej stronie polany i ruszyli w jego kierunku.

Co wiesz? – zapytał Fin-Kedinn. – Nie wiem nic – powiedział Torak, wpatrując się w ząbkowany, kościany nóż u pasa wodza Kruków. – Chcecie mnie złożyć w ofierze?

Fin-Kedinn nie odpowiedział. Przykucnęli wraz z Saeunn po obu stronach wejścia i przyglądali mu się. Poczuli się jak zwierzyna.

Palcami rąk zawiązanych na plecach szukał czegokolwiek, co pomogłoby mu przeciąć rzemienie. Jego palce napotkały jedynie matę z witek wierzbowych – gładką i bezużyteczną.

–Co wiesz? – powtórzył Fin-Kedinn.

Torak zaczerpnął głęboko powietrza.

–Nie jestem waszym Słuchającym – powiedział tak pewnie, jak umiał. – Nie mogę nim być. Nigdy przedtem nie słyszałem Przepowiedni. – A jednak, myślał, dlaczego Renn była o tym przekonana? Czy miało z tym coś wspólnego to, że znał wilczą mowę?

Fin-Kedinn odwrócił się. Z jego twarzy nie sposób było jak zwykle nic wyczytać, ale Torak zauważył, że dłoń mężczyzny zacisnęła się na nożu.

Saeunn pochylała się ku niemu i wpatrzyła w oczy Toraka. Widział ją bardzo wyraźnie w świetle ogniska. Nigdy nie zetknął się z kimś tak starym. Pod rzednącymi siwymi włosami jej czaszka połyskiwała niczym wypolerowana kość. Rysy twarzy były ostre jak u ptaka. Wiek wygnał z niej wszystkie ciepłe uczucia, pozostawiając jedynie srogą kruczą esencję.

–Zdaniem Renn – odezwała się szorstko – potrafisz rozmawiać z wilkiem. To też część Przepowiedni. Nie powiedzieliśmy ci o tym.

Torak popatrzył na nią.

–Renn się myli – powiedział. – Nie potrafię...

–Nie kłam – rzucił Fin-Kedinn, nie odwracając się.

Torak przełknął ślinę.

Raz jeszcze zaczął macać ziemię za sobą. Tym razem – tak! Wyczuł maleńki płatek krzemienia, nie większy niż paznokieć kciuka: zapewne upuszczony przez kogoś, kto ostrzył tu nóż. Zacisnął na nim palce. Jeśli tylko Fin-Kedinn i Saeunn wrócą na zgromadzenie, może uda mu się uwolnić. Potem znajdzie Wilka, przemknie się obok strażników i...

Opadły go czarne myśli. Trzeba będzie wiele szczęścia, by się to wszystko udało.

–Czy chcesz wiedzieć – zapytała Saeunn – dlaczego potrafisz rozmawiać z wilkiem?

–Co nam z tego przyjdzie, Saeunn? – wtrącił Fin-Kedinn. – Tracimy czas...

–On musi wiedzieć – powiedziała stara kobieta i umilkła. Potem żółtym, przypominającym szpon palcem dotknęła amuletu na piersi i zaczęła wodzić po spirali.

Torak patrzył na zataczający kręgi pazur. Zakręciło mu się w głowie.

–Wiele lat temu – odezwała się Czarownica Kruków – twój ojciec i matka opuścili swój klan. Odeszli, by ukryć się przed wrogami. Daleko, daleko, w głębi Puszczy, pośród zielonych dusz mówiących drzew. – Jej palec wciąż podążał za spiralą, spychając Toraka w przeszłość. – Trzy miesiące po twoich narodzinach – ciągnęła Saeunn – twoja matka umarła.

Fin-Kedinn wstał, skrzyżował ręce na piersi i wpatrzył się w ciemność.

Torak zamrugał oczyma, jakby przebudzony ze snu.

Saeunn nie spojrzała nawet na Fin-Kedinna. Całą uwagę skupiła na Toraku.

–Byłeś niemowlęciem – mówiła. – Twój ojciec nie mógł cię wykarmić. Zazwyczaj, gdy tak się dzieje, ojciec dusi dziecko, by uchronić je przed powolną śmiercią z głodu.

Twój ojciec znalazł inny sposób. Wilczycę z małymi. Podrzucił cię do jej legowiska.

Torak bronił się przed przyjęciem jej słów.

–Byłeś z wilkami przez trzy miesiące. Miałeś trzy miesiące, by nauczyć się wilczej mowy.

Chłopak ścisnął odłamek krzemienia tak mocno, że wbił mu się w dłoń. Wyczuwał,

że Saeunn mówi prawdę. Dlatego potrafił rozmawiać z Wilkiem. Dlatego przyszła ta wizja, gdy natrafił na jego legowisko. Baraszkujące szczenięta. Ciepłe, gęste mleko...

Skąd Saeunn mogła to wiedzieć?

–Nie – powiedział. – To tylko sztuczki. Nie możesz tego wiedzieć. Nie było cię tam.

–Powiedział mi twój ojciec – odrzekła Saeunn.

–Nie mógł tego zrobić. Nie zbliżał się do ludzi...

–Och, ale raz się do nich zbliżyliście. Pięć lat temu. Nie pamiętasz? Zgromadzenie klanów nad Morzem.

Serce załomotało Torakowi w piersi.

–Twój ojciec przyszedł tam, by mnie odnaleźć. Opowiedzieć mi o tobie. – Jej szpon zatrzymał się w samym środku spirali. – Jesteś inny niż wszyscy – zaskrzeczała jak kruk. – Jesteś Słuchającym.

Torak zacisnął dłoń na odłamku jeszcze mocniej.

–To... niemożliwe. Nie... rozumiem.

–A dlaczego miałby rozumieć? – rzucił Fin-Kedinn przez ramię, po czym odwrócił się do Toraka. – Ojciec nic ci nie mówił o tym, kim jesteś. Mam rację?

Torak pokiwał głową.

Wódz Kruków milczał przez chwilę. Jego twarz była nieruchoma, lecz Torak wyczuł walkę toczącą się pod tą nieprzeniknioną maską.

–Powinieneś wiedzieć tylko jedno – powiedział Fin-Kedinn. – Niedźwiedź nie zaatakował twojego ojca przez przypadek. To właśnie dlatego się pojawił.

Serce Toraka zamarło.

–Z powodu mojego ojca?

–Fin-Kedinn... – ostrzegła Saeunn.

Wódz Kruków spojrzał na nią ostro.

–Mówiłaś, że ma się dowiedzieć. Więc mu mówię.

–Ale – powiedział Torak – to przecież kulawy wędrowiec...

–Kulawy wędrowiec – przerwał Fin-Kedinn – był śmiertelnym wrogiem twojego ojca.

Torak oparł się plecami o pal.

–Mój ojciec nie miał wrogów.

Oczy wodza Kruków błysnęły groźnie.

–Twój ojciec nie był jakimś tam myśliwym z klanu Wilka. Był Czarownikiem klanu.

Torak poczuł, że zapiera mu dech.

–Tego też ci nie powiedział? – zapytał Fin-Kedinn. – Tak, był Czarownikiem Wilków. I właśnie z jego powodu to „stworzenie” sieje spustoszenie w lesie.

–Nie – szepnął Torak. – To nieprawda.

–O niczym ci nie mówił?

–Fin-Kedinn – powiedziała Saeunn. – On próbował chronić...

–O tak! I popatrz na rezultat. – Fin-Kedinn odwrócił się do kobiety. – Młody chłopiec, który o niczym nie wie. A ty prosisz mnie, bym uwierzył, że to jedyna osoba, która... – Urwał i potrząsnął głową.

Zapadła pełna napięcia cisza. Fin-Kedinn zaczerpnął głęboko tchu.

–Człowiek, który stworzył niedźwiedzia – odezwał się cicho do Toraka – zrobił to z określonego powodu. Stworzył go, by niedźwiedź zabił twojego ojca.

Kiedy Torakowi udało się w końcu przeciąć kawałkiem krzemienia więzy na nadgarstkach, niebo przejaśniało się już na wschodzie. Fin-Kedinn i Saeunn dołączyli właśnie do zgromadzonych i wdali się z nimi w gorący spór. W każdej chwili mogli podjąć decyzję i przyjść po Toraka. Przepiłowanie więzów wokół kostek kosztowało go sporo wysiłku. Wirowało mu w głowie. „Twój ojciec podrzucił cię wilczycy... Był Czarownikiem klanu... Został zamordowany.”

Krzemień był śliski od potu. Wpadł Torakowi z rąk. Podniósł go. Wreszcie więzy puściły. Torak zgiął kostki – i niemal krzyknął. Nogi bolały po długim bezruchu.

Bardziej doskwierał jednak ból w sercu. Tatego zamordowano. Mordercą był kulawy wędrowiec, który stworzył niedźwiedziego demona w jednym tylko celu – by bestia dopadła Tatego.

Niemożliwe. Ktoś musiał się pomylić.

A jednak w głębi ducha Torak wiedział, że to prawda. Przypominał sobie ponurą groźbę malującą się na twarzy ojca w chwili konania. Wkrótce po mnie przyjdzie, powiedział. Ojciec wiedział, co zrobił jego wróg. Wiedział, w jakim celu niedźwiedź został stworzony.

To było zbyt wiele. Torak czuł, że wszystko, w co dotąd wierzył, rozsypało się w gruzy, jakby stał na jednodniowym lodzie, patrząc, jak od jego stóp rozchodzi się pajęczyna pęknięć.

Ból w nogach przywołał go brutalnie do teraźniejszości. Próbował je rozmasować, by wróciło nieco czucia. Nie zdołał zobaczyć, gdzie Oslak zabrał jego buty.

Będzie musiał niezauważony wymknąć się z szalasu i przedostać do leszczynowej gęstwiny na skraju polany. Jakimś sposobem będzie musiał ominąć strażę.

Nie uda mu się. Zauważą. Gdyby tylko udało mu się jakoś odwrócić ich uwagę!

W mglistym porannym powietrzu, po drugiej stronie obozu rozlegał się skowyt samotności. Gdzie jesteś? – wołał Wilk. Dlaczego znowu mnie zostawiłeś?

Torak zamarł. Usłyszał, jak obozowe psy przyłączają się do wycia. Zobaczył, jak zgromadzeni zrywają się z ziemi i pędzą sprawdzić, co się stało. Zrozumiał, że Wilk dał mu szansę.

Teraz szybko! Bez zwłoki wypełził z namiotu i skoczył w mrok leszczynowej gęstwiny. Wiedział, co musi zrobić, i nienawidził się za to.

Musiał zostawić Wilka.

Lodowate powietrze piekło w gardle, gdy Torak przedzierał się przez gęstwinę wierzb ku rzece. Kamienie okrwawiały jego bosa stopy. Ledwo to zauważał. Dzięki Wilkowi udało mu się wymknąć z obozu niepostrzeżenie, ale wkrótce na pewno zauważą jego zniknięcie. Z tyłu rozległ się głęboki, odbijający się echem sygnał. Ogłoszono alarm, dmąc w rogi z brzoźowej kory. Torak posłyszał krzyki mężczyźni i ujadanie psów. Kruki ruszały w pościg.

Ciernie szarpały go za spodnie, gdy zsuwał się z boczem rzeki. Wpadł z pluskiem w wysokie trzciny. Tkwiąc po kolana w lodowatym, czarnym błocie, zakrył dłonią usta, by nie zdradziła go para własnego oddechu.

Wiatr wiał na szczęście od strony prześladowców, ale pot lał się z Toraka strumieniami, i chłopak wciąż ścisnął w dłoni rzemień, którym skrępowano mu stopy. Psy chwycą trop bez trudu. Nie mógł się zdecydować, czy wyrzucić sznur, czy zachować go na wypadek, gdyby mógł się przydać.

W głowie miał chaos, który pieniał się niczym wściekła rzeka. Był bez butów, plecaka, broni – niczego, by je zrobić, prócz wiedzy, którą posiadał i zręcznych dłoni. Jeśli nawet umknie pogoni, co robi dalej?

Wtem ponad dźwięk rogów wzniósł się skowyt. Gdzie jesteś?

Gdy go usłyszał, wątpliwości zniknęły. Nie mógł zostawić Wilka. Musiał go uratować.

Bardzo pragnął odpowiedzieć na wołanie: Idę po ciebie. Nie bój się. Nie zostawiłem cię. Lecz oczywiście nie było sposobu. Skowyt trwał.

Torak poczuł, że marzną mu stopy. Musi wyjść z rzeki, zanim będzie zbyt odrętwiała, by biec. Zaczął szybko myśleć.

Kruki uznają, że będzie zmierzać na północ, bo gdy go schwytano, powiedział, że tam właśnie idzie. Postanowił robić dokładnie to, czego się spodziewają – przynajmniej przez jakiś czas – a potem zawrócić do obozu, wydostać jakoś Wilka i mieć nadzieję, że Kruki nadal będą iść na północ.

Niedaleko w dole rzeki trzasnęła gałązka. Torak odwrócił się.

Nieznaczny plusk. Stłumione przekleństwo. Wyjrzał spomiędzy trzciny.

Jakieś pięćdziesiąt kroków od niego dwóch mężczyzn skradało się po zboczu w stronę kępy trzciny. Przemieszczali się ostrożnie, chcieli go zaskoczyć. Jeden z nich miał łuk większy od Toraka, ze strzałą założoną na cięciwę; drugi bazaltowy topór do rzucania.

Zrobił błąd, kryjąc się wśród trzciny. Jeżeli zostanie na miejscu, znajdą go; jeśli spróbuje popłynąć, zobaczą i naszpikują strzałami. Trzeba wrócić i ukryć się w Lesie.

Zaczął się wspinać po zboczu, najciszej jak potrafił. Było bardzo strome, ale gęsto porośnięte wierzbami, które dawały dobre schronienie. Czerwona ziemia osunęła mu się spod stóp. Jeśli Torak wpadnie do rzeki, usłyszą plusk.

Kamyki staczały się do wody, gdy się wspinał, wbijając paznokcie w pył. Na szczęście głos rogów z brzozy kory zagłuszył plusk, mężczyźni nie usłyszeli.

Dyszząc ciężko, dotarł na szczyt zbocza. Teraz na północ. Niebo było zachmurzone, więc nie mógł się kierować słońcem, wiedział jednak, że rzeka płynie na zachód, czyli wystarczyło odwrócić się do niej plecami i iść przed siebie.

Wyruszył. Zagłębił się w gęsty zagajnik topoli i buków, uważnie ciągnąc za sobą rzemień, aby zostawić wyraźny ślad.

Z tyłu, zatrważająco blisko, wybuchło zaciekle ujadanie. Zaczął zostawiać ślad zbyt wcześnie. Psy od razu wpadły na trop.

W panice wdrapał się na najbliższe drzewo – wrzecionowatą topolę. Zdążył jeszcze zwinąć rzemień w kulkę i rzucić najdalej, jak się dało, w stronę rzeki, kiedy wielki, rudy pies wypadł z gęstwiny.

Zaczął węszyć pod drzewem Toraka, szczęki ociekały mu śliną. W jednej chwili zwietrzył rzemień i pomknął w jego kierunku.

–Tutaj! – wołał ktoś z miejsca położonego kawałek dalej w dół rzeki. – Pies złapał trop!

Pod topolą przebiegło trzech mężczyzn. Dyszeli ciężko, usiłując dotrzymać psu kroku. Torak przywarł do pnia. Jeżeli któryś podniesie głowę...

Przyspieszyli i zniknęli. Kilka chwil później do uszu chłopca dobiegł nikły plusk. Przeszukiwali trzciny.

Odczekał chwilę na wypadek, gdyby pojawiło się więcej ludzi, i zeskoczył z drzewa.

Pomknął na północ przez topole, oddalając się nieco od rzeki, po czym zatrzymał gwałtownie. Teraz powinien skręcić na wschód i ruszyć z powrotem do obozu – pod warunkiem że znajdzie coś, co pozwoli mu zamaskować własny zapach. Odchody łosia? Na nic, psy i tak pójda za nim. Liście krwawnika? Może. Ich silna, orzechowa woń powinna ukryć zapach jego potu.

U stóp jakiegoś buka Torak natknął się na kopczyk odchodów rosomaka: poskręcanych, pełnych włosów i tak cuchnących, że aż oczy zaszyły mu łzami. Znacznie lepsze. Wstrzymując oddech, wysmarował stopy, łydki i ręce.

Rosomaki osiągają rozmiary borsuków, atakują wszystko, co się rusza, i zazwyczaj wychodzą z tej walki zwycięsko. Nagle rogi umilkły gwałtownie.

Cisza zadźwięczała Torakowi w uszach. Z przerażeniem skonstatował, że skomlenie Wilka również ucichło. Czy nic mu się nie stało? Czy... czy na pewno Kruki nie odważyłyby się go skrzywdzić?

Torak przedzierał się przez poszycie w stronę obozowiska. Teren wznosił się, rzeka płynęła wartko między rozrzuconymi w nieładzie, porośniętymi mchem głazami. Kucnąwszy, nasłuchiwał odgłosów pogoni wśród szumu płynącej wody. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć brzęk cięciwy i poczuć strzałę między łopatkami.

Nic. Może nabrali się na jego sztuczkę i ruszyli na północ?

Pomiędzy drzewami pojawiło się w polu widzenia coś dużego i zaokrąglonego. Torak gwałtownie przystanął. Odgadł, co widzi, choć miał nadzieję, że się myli.

Niczym ogromna ropucha piętrzył się przed nim wielki kopiec. Zdarzało się, że razem z Tatą napotykali kopce tego rodzaju. Najwidoczniej znalazł się na cmentarzu klanu Kruków – miejscu, w którym składają kości swych Zmarłych.

Droga do obozu – do Wilka – wiodła przez cmentarz. Czy się odważy? Nie należy do klanu Kruka. Nie może wtargnąć na cmentarz innego klanu, nie ściągając na siebie gniewu ich przodków.

Mgła snuła się w zagłębieniach pomiędzy kopcami. Trupio blade, przypominające szkielety krzaki pietrasznika wyrastały ponad jego głowę, fioletowe łodygi usychającej wierzbówki wiły się po ziemi. Wszystko wokół spowite było w mroku, drzewa nasłuchiwały; drzewa wiecznie zielone, drzewa, które nigdy nie zasypiają. Z gałęzi najwyższego cisu spozierały na Toraka trzy kruki. Zastanawiał się, czy któryś z nich nie jest opiekunem klanu.

Za nim rozległ się jazgot psów.

Dał się złapać w pułapkę. Bardzo mądrze ze strony Fin-Kedinna – zarzucił sieć niezwykle szeroko, a następnie zacieśniał ją wokół ofiary.

Nie miał gdzie uciec. Nurt rzeki był zbyt gwałtowny, by dało się płynąć, a jeśli by wspiął się na drzewo, kruki powiedziałyby myśliwym, gdzie się schronił, i strąciłiby go jak wiewiórkę. Gdyby się zaszył w gęstwinie, psy wyciągnęłyby go stamtąd jak łasicę.

Odwrócił się w stronę ścigających. Nie miał przy sobie niczego do obrony, nawet kamienia.

Powoli zaczął się cofać – prosto do największego kopca. Stłumił jęk. Był uwięziony pomiędzy życiem a śmiercią.

Coś pochwyciło go z tyłu i pociągnęło w ciemność.

Nie ruszaj się – usłyszał szept w swoim uchu. – Bądź cicho i nie waż się tknąć kości! Torak ich nawet nie widział, nie widział nic. Wciągnięto go w cuchnącą zgnilizną ciemność i przyciśnięto nóż do krtani.

Zacisnął zęby, aby nimi nie szczekać. Wyczuwał wokół siebie chłodną, ciężką ziemię oraz nagromadzone, rozsypujące się w pył kości Zmarłych Kruków. Modlił się, by wszystkie ich dusze były gdzieś daleko, u kresu Podróży Śmierci. Ale jeśli któraś została z tyłu...

Musiał wydostać się z tego miejsca. Gdy minął pierwszy szok po pochwyceniu, Torak usłyszał chrobot kamienia. Człowiek, który go pochwycił, zastawił wejście do kopca.

Oczy Toraka przyzwyczyły się do mroku, dostrzegł słabą poświatę przy wejściu. Czymkolwiek je zasłonięto, nie pasowało dokładnie.

Zastanawiał się, czy nie spróbować szczęścia i nie pobiec do wyjścia, ale usłyszał głosy na zewnątrz. Były stłumione, lecz przybliżały się ku niemu.

Torak znieruchomiał. Podobnie jak człowiek, który go schwytał.

Chrzęst i szelest stawały się coraz głośniejsze, aż zatrzymały się jakieś trzy kroki od kopca.

–Nie odważyłby się tędy przejść – odezwał się jakiś mężczyzna zduszonym, przestraszonym głosem.

–Nie wiadomo – szepnęła w odpowiedzi kobieta. – On jest inny. Widziałeś, jak wygrał z Hordem. Kto wie, do czego jest zdolny?

Torak usłyszał szelest mchu. Drgnęła mu noga – coś zadzwoniło w ciemności. Skrzywił się.

–Sza! – powiedziała kobieta. – Coś słyszałam!

Torak wstrzymał oddech. Prześladowca przycisnął nóż mocniej.

–Krra! – rozległ się krzyk kruka pośród drzew.

–Opiekun chce, żebyśmy stąd poszli – wymruczała kobieta. – Powinniśmy. Masz rację. Chłopak nie odważyłby się.

Osłabły z ulgi Torak słuchał, jak się oddalają. Po chwili spróbował zmienić pozycję, lecz nóż powstrzymał go.

–Nie ruszaj się! – syknął prześladowca.

Rozpoznał głos. To była Renn. Renn?

–Cuchniesz – szepnęła.

Usiłował odwrócić głowę, ale nóż powstrzymał go ponownie.

–To żeby psy mnie nie wywęszyły – szepnął w odpowiedzi.

–I tak by tu nie weszły. Nie wolno im.

Torak zastanawiał się przez chwilę.

–Skąd wiedziałaś, że tędy pójdę? I dlaczego...

–Nie wiedziałam. A teraz bądź cicho. Mogą jeszcze wrócić.

Po chwili oczekiwania w chłodzie i niewygodnej pozycji, która wydawała się trwać wiecznie, Renn dała mu kopniaka i kazała się ruszyć. Zastanawiał się, czy nie spróbować jej obezwładnić, ale postanowił tego nie robić. Zamiast tego odsunął na bok płytę z łupka, która zagradyła wejście, i wyczołgał się na światło dzienne. Kopce były opustoszałe. Nawet kruki odleciały.

Renn szła za nim, wycofując się na czworakach i ciągnąc za sobą dwa plecaki z leszczynowych witek – z których jeden należał do Toraka.

Zdumiony, wpelźł pomiędzy wierzbówki i przypatrywał się, jak Renn wraca do środka i wychodzi z dwoma zwiniętymi śpiworami, dwoma kołczanami i łukami – zawiniętymi w skórę łososa dla ochrony przed wilgocią – i wiercącą się torbą ze skóry jelenia.

–Wilk! – krzyknął Torak.

–Cicho! – Renn spojrzała z napięciem w kierunku obozu.

Torak rozsznurował torbę i Wilk wystrzelił na zewnątrz, spocony i wymiętoszony. Pociągnął nosem i byłby uciekł, gdyby go Torak nie chwycił i nie zapewnił niskimi półszczeknięciami, że to naprawdę on, nie żaden morderczy rosomak. Szczeniak wyszczerzył się w wielkim wilczym uśmiechu, machając zadkiem i entuzjastycznie szturchając Toraka pod brodą.

–Pospiesz się – odezwała się z tyłu Renn.

–Idę – krzyknął Torak.

Zerwał pełną garść nasiąkniętego wilgocią mchu i wytarł z siebie większą część łajna, po czym wciągnął na nogi buty. Renn była na tyle przewidująca, że przyniosła je ze sobą.

Odwracając się, by sięgnąć po plecak, ku swemu zdumieniu zobaczył, że Renn założyła strzałę na cięciwę i wymierzyła w niego. Jego łuk i kołczan przewiesiła sobie przez ramię, a toporek i nóż przytroczyła do paska.

–Co robisz? – zapytał. – Myślałem, że chcesz mi pomóc.

Popatrzyła na niego z niesmakiem.

–Niby dlaczego miałabym ci pomagać? Pomagam jedynie swojemu klanowi.

–Więc czemu pomogłaś mi uciec przed pogonią?

–Bo chcę mieć pewność, że pójdziesz na Górę Ducha Świata. Gdybym cię nie zmusiła, nie spróbowałbyś nawet. Podwinąłbyś ogon pod siebie i zwał. Bo jesteś tchórzem.

Toraka zatkało.

–Tchórzem?

–Tchórzem, kłamcą i złodziejem. Ukradłeś naszego jelenia, podstępem wygrałeś walkę z Hordem i skłamałeś, że nie jesteś Słuchającym. A potem uciekłeś. Mówię po raz ostatni: ruszaj!

Z Renn mierzącą z łuku w jego plecy i oskarżeniem płonącym w uszach, Torak ruszył w dół rzeki na zachód, trzymając się osłony wierzb. Niósł Wilka na rękach, aby psy nie poszły śladem jego łap. Zdumiewające było jednak to, że nie dostrzegali żadnych oznak pogoni. Torakowi wydawało się to znacznie bardziej niepokojące niż natarczywy dźwięk rogów.

Renn narzuciła szybkie tempo, Torak często się potykał. Był zmęczony i głodny, a ona miała czas na odpoczynek i posiłek – co jeszcze bardziej utrudniało ewentualną ucieczkę. Ale była mniejsza od niego i sądził, że prawdopodobnie zdołałby ją obezwładnić, zanim wyrządziłaby swoim łukiem zbyt wiele szkody.

Pytanie brzmiało: kiedy? Jak na razie wydawało się, że sama najchętniej uniknęłaby spotkania z Krukami: wiodła ich wąskimi, krętymi ścieżkami łosiów, najbardziej osłoniętymi przed niepożądanym obserwatorem. Postanowił zaczekać, aż oddalą się bardziej od obozu. Zniewaga nie przestała go dręczyć.

–Nie jestem tchórzem – odezwał się przez ramię, gdy idąc wzdłuż rzeki, zagłębili się w ocieniony las dębowy i zagrożenie ze strony ścigających wydało się mniej realne.

–Więc dlaczego uciekłeś z naszego obozu?

–Chcieli mnie złożyć w ofierze!

–Nie podjęli jeszcze decyzji. O to się właśnie spierali.

–Więc co niby miałem zrobić? Czekać, żeby się przekonać?

–Przepowiednia może oznaczać dwie rzeczy – rzekła Renn zimno. – Gdybyś nie uciekł, dowiedziałbyś się jakie.

–Jak sądzę, zaraz mi o tym powiesz – stwierdził Torak. – Skoro wszystko wiesz. Westchnęła ciężko.

–Przepowiednia może mówić tyle, że mamy cię złożyć w ofierze i napić Górę twoją krwią, a gdy to zrobimy, niedźwiedź ulegnie zagładzie. Właśnie tak myśli Hord. Chce cię zabić, żeby osobiście zanieść krew na Górę. – Umilkła na moment. – Saeunn sądzi, że Przepowiednia ma inne znaczenie: twierdzi, że tylko ty możesz odnaleźć Górę i zniszczyć niedźwiedzia.

Torak odwrócił się i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

–Ja. Zniszczyć niedźwiedzia.

Obejrzała go od stóp do głów.

–Wiem, raczej trudno w to uwierzyć. Ale Saeunn jest przekonana. Podobnie jak ja. Słuchający musi odnaleźć Górę Ducha Świata, a potem, z Jego pomocą, unicestwić niedźwiedzia.

Torak zamrugał powiekami. Niemożliwe. Musieli się pomylić.

–Czemu wciąż musisz temu zaprzeczać – powiedziała Renn ze złością. – Jesteś Słuchającym. Dobrze o tym wiesz. Walczysz powietrzem, jak głosi Przepowiednia. Przemawiasz ciszą, za pomocą tego gwizdka. A pierwsze słowa Przepowiedni mówią, że Słuchający potrafi rozmawiać z innymi myślivymi Lasu i ty to potrafisz, bo twój ojciec podrzucił cię wilczyca, gdy byłeś mały.

Torak zmrużył oczy.

–Skąd o tym wiesz?

–Słuchałam, co mówili – odrzekła.

Wciąż podążali wzdłuż rzeki na zachód. Torak słyszał delikatne ćwierkanie gili objadających krzaki jagód; kowaliki postukiwały w gałązki w poszukiwaniu pędraków. Skoro wokół było tyle ptaków, niedźwiedź nie mógł być blisko...

Nagle Wilk postawił uszy, wąsy drgnęły mu nerwowo.

–Na ziemię – syknął Torak, pociągając za sobą Renn. Kilka chwil później dwie drażone łódki przepłynęły obok. Torak widział dobrze tę, która była bliżej. Wiosłujący mężczyzna miał krótkie, brązowe włosy, przycięte na linii brwi. Na szerokie ramiona zarzucił sztywną skórzaną opończę, z jego piersi zwieszał się na rzemieniu kiel knura. Topór do rzucania z czarnego łupka spoczywał na kolanach. Podobnie jak towarzysz w sąsiedniej łódce, mężczyzna przeczesywał wybrzeże, zagarniając wodę potężnymi uderzeniami. Było aż nazbyt jasne, czego wypatruje.

–Klan Knura – szepnęła Torakowi do ucha Renn. – Fin-Kedinn musiał ich skłonić do pomocy przy poszukiwaniach.

Ogarnęły go nagle podejrzenia.

–Skąd wiedzieli, że będziemy tędy przechodzić? Zostawiłaś im jakiś trop?

Przewróciła oczami.

–Po co miałabym to robić?

–Z tego, co mi wiadomo, możesz równie dobrze prowadzić mnie do jakiegoś innego klanu, żeby mnie tam złożono w ofierze.

–A może – odrzekła znużona – ci z klanu Knura przepływali tędy, bo ich jesienny obóz leży gdzieś w dole rzeki, i... – Urwała. – Skąd wiedziałeś, że nadpływają?

–Nie wiedziałem. Wilk mi powiedział.

Wydała się najpierw poruszona, a potem – przestraszona.

–Naprawdę potrafisz z nim rozmawiać...

Nie odpowiedział.

Wstała, starając się zwalczyć niepokój.

–Popłynęli. Czas skręcić na północ.

Schowała strzałę do kołczana i przewiesiła łuk przez ramię, i przez krótką chwilę Torak myślał, że przytrafiła mu się okazja jedna na milion. Ona jednak wyjęła nóż i szturchnęła go, by szedł dalej.

Dotarli do strumyczka wypływającego gwałtownie z kamienistego zbocza, i ruszyli pod górę. Torak nie spał poprzedniej nocy i nie jadł od poprzedniego dnia.

W końcu nie był już w stanie zrobić ani kroku i opadł na kolana. Wilk zeskoczył mu z ramion i pobiegł łapczywie chleptać wodę.

–Co ty wyrabiasz? – krzyknęła Renn. – Nie możemy zatrzymać się tutaj.

–Właśnie to zrobiliśmy – zadrwił Torak.

Zerwał garść liści mydlnicy, zanurzył w wodzie, i starł z siebie resztki odchodów rosomaka. Potem schylił się i ugasił pragnienie.

Poczuł się znacznie lepiej i zaczął przetrząsać plecak w poszukiwaniu jednego z zawiniątek suszonego jeleniego mięsa, które przygotował – jak się mu zdawało – wiele miesięcy wcześniej. Najpierw odgryzł kawałek i cisnął go Wilkowi, a potem sam zabrał się do jedzenia. Smakowało cudownie. Od razu poczuł, jak w jego ciele zaczęły

krążyć jelenie siły.

Renn wahała się przez moment, po czym zdjęła plecak i uklękła, trzymając nóż ciągle wymierzony w Toraka. Zagłębiwszy jedną rękę w plecaku, wyjęła trzy cienkie, czerwono-brązowe ciastka. Podała jedno Torakowi.

Przyjął i odgryzł mały kawałek. Ciastko było smakowite, słone i aromatyczne.

–Suszony łosoś – wyjaśniła Renn z pełnymi ustami. – Ucieramy go z tłuszczem łosia i jagodami jałowca. Nie psuje się przez całą zimę.

Ku jego zaskoczeniu próbowała podać ciastko Wilkowi.

Ten po prostu ją zignorował.

Renn zawahała się, po czym wręczyła ciastko Torakowi. On zaś potarł je w dłoniach, by przykryć jej zapach swoim, i podał Wilkowi, który natychmiast je przełknął.

Renn starała się nie pokazywać po sobie, że ją to zraniło.

–No i co? – powiedziała, wzruszając ramionami. – Wiem, że on mnie nie lubi.

–Może dlatego, że ciągle nosisz go w torbach – mruknął Torak.

–Dla jego własnego dobra.

–On o tym nie wie.

–Nie możesz mu powiedzieć?

–Nie ma sposobu, żeby powiedzieć coś takiego w wilczej mowie. – Odgryzł kolejny kawałek łososiowego ciastka. A potem zadał pytanie, które nurtowało go już od dawna: – Dlaczego wzięłaś go ze sobą?

–Co takiego?

–Czemu go przyniosłaś. Wykradłaś z obozu. To nie mogło być łatwe. Dlaczego?

Milczała przez chwilę.

–Wydaje mi się, że go potrzebujesz. Nie wiem do czego. Pomyślałam, że może być ważny.

Torak poczuł pokusę, by jej powiedzieć, że Wilk jest przewodnikiem, ale rozmyślił się. Nie ufał Renn. Pomagała mu co prawda uniknąć pogoni Kruków, ale to nie zmieniało faktu, że zabrała mu broń i nazwała tchórzem. Poza tym, jej nóż ciągle groził mu ostrzem.

Skarpa zrobiła się bardziej stroma. Torak uznał, że bezpieczniej będzie puścić Wilka samopas. Szczeniak ruszył przed nim z opuszczonym ogonem. Nie lubił się wspinać, tak samo jak Torak. Około południa dotarli do grzbietu, z którego rozciągał się widok na rozległą, porośniętą lasem dolinę. Torak dostrzegł pomiędzy drzewami migotanie odległej rzeki.

–Szeroka Rzeka – powiedziała Renn. – Największa w tej części Lasu. Swój początek bierze z pokrytych lodem rzek w Wysokich Górach, rozlewa się w jezioro Ostrze Topora, przepływa przez Wodogrzmoty, i dalej do Morza. Wczesnym latem rozbijamy tam obóz i łowimy łososie. Chwilami, kiedy wiatr powieje ze wschodu, słyhać stąd odgłos Wodogrzmotów... – Jej głos załamał się.

Torak odgadł, że dziewczyna zastanawia się, w jaki sposób klan ukarze ją za to, że pomogła w ucieczce więźniowi. Gdyby go wcześniej nie nazwała tchórzem, być może teraz byłoby mu jej nawet żal.

–Przejdziemy przez dolinę – podjęła rzeczowym tonem. – Myślę, że łatwiej będzie przeprawić się przez rzekę w pobliżu tamtych łąk. Potem skręcimy na północ.

–Nie – przerwał jej Torak, wskazując na Wilka.

Szczeniak natknął się właśnie na ścieżkę łośiów, która prowadziła do lasu rosnących świerków obrosniętych mchem. Odwrócił się i czekał, aż za nim pójda.

–Pójdziemy tędy – powiedział Torak. – Ponad doliną, nie przez nią.

–Ale to na wschód. Jeżeli pójdziemy na wschód, dotrzemy do Wysokich Gór zbyt wcześnie. Wtedy dużo trudniej będzie iść na północ.

–Którędy pójdzie Fin-Kedinn? – spytał Torak.

–Przez jakiś czas po śladach na zachód, a potem na północ.

–Czyli podróż na wschód jest dobrym pomysłem.

Zmarszczyła brwi.

–Czy to jakaś kolejna sztuczka?

–Zrozum – powiedział. – Pójdziemy na wschód, bo Wilk mówi, że tam powinniśmy pójść. On zna drogę.

–Co takiego? O czym ty mówisz?

–Mówię – rzekł cicho – że Wilk zna drogę do Góry.

Renn popatrzyła na niego. A potem parsknęła.

–Ten szczeniak?

Torak pokiwał głową.

–Nie wierzę ci.

–Nieważne.

Wilk nienawidził samicy Bezogona. Znienawidził ją, po raz pierwszy czując jej zapach, kiedy wymierzyła Długi-Latający-Szpon w brata ze stada. Jak można robić coś takiego? Jakby Wysoki Bezogon był jakąś zwierzyną.

Potem samica Bezogona robiła jeszcze dużo okropnych rzeczy. Odebrała Wilka Wysokiemu Bezogonowi, wepchnęła do dziwnej, dusznej Nory, która tak się trzęsła, że Wilkowi zrobiło się niedobrze.

Jeszcze gorsze było to, w jaki sposób odnosiła się do Wysokiego Bezogona. Czy nie wiedziała, że on jest przewodnikiem stada? Tak ostro i bez szacunku, poszczekując na niego w mowie bezogonów. Dlaczego Wysoki po prostu nie warknął i nie odegnał jej?

Wilk dreptał ścieżką, słysząc ze znaczną ulgą, że dzieli ją od nich ładnych parę kroków. Dobrze. Niech się trzyma z dala.

Zatrzymał się, żeby przeżuć kilka owoców bażyny, której krzaki rosły obok ścieżki, wypluł zepsutą, i ruszył dalej, czując pod łapami suchą ziemię, i ciepło Gorącego Jasnego Oka na grzbiecie. Podniósł pysk, by wciągnąć w nozdrza zapachy doliny: wyczuł sójki i trochę zleżałych odchodów łośia, kilka świerków powalonych wiatrem, mnóstwo wierzbowki i uschniętych krzaków borówek. Same dobre, interesujące zapachy, choć za nimi unosił się zimny, przerażających zapach Szybkiej Wilgoci.

Strach sprawił, że Wilk stał się czujny. On i Wysoki Bezogon muszą się jakoś przedostać na drugą stronę Szybkiej Wilgoci. Od miejsca, w którym się przeprawia,

dzieliło ich jeszcze wiele susów, ale do uszu Wilka dobiegał już jego ryk. Był tak głośny, że nawet jego biedny, prawie głuchy brat ze stada mógł go słyszeć.

Zmierzali ku niebezpieczeństwu, i Wilk bardzo chciał zawrócić, ale wiedział, że nie może. Zew był coraz silniejszy – ten zew, który przypominał zew Legowiska, choć nim nie był.

Raptem Wilk wywęszył nowy zapach. Rozszerzył nozdrza. Uszy powędrowały do tyłu. Zły zapach. Zły, zły, zły.

Wilk zawrócił i pomknął w stronę Wysokiego Bezogona.

Co się dzieje? – wyszeptła Renn, wpatrując się w przerażonego szczeniaka. – Nie wiem – mruknął Torak. Dostał gęziej skórki. Ptaki umilkły.

Renn wyjęła zza pasa jego nóż i rzuciła mu. Chwycił i podziękował skinieniem głowy.

–Powinniśmy zawrócić – powiedziała.

–Nie możemy. Tędy prowadzi droga do Góry.

Bursztynowe oczy Wilka pociemniały ze strachu. Posuwał się naprzód wolnymi krokami – z głową przy ziemi i odsłoniętymi zębami.

Torak i Renn podążyli za nim najciszej, jak potrafili. Gałązki jałowca smagały ich po butach. Mech wyciągał cienkie, krzaczaste palce ku twarzom. Drzewa znieruchomiały zupełnie; jakby oczekiwały na to, co się wydarzy.

–Może to nie jest... – powiedziała Renn. – To znaczy, to może być ryś. Albo rosomak.

Torak nie wierzył w to bardziej niż ona.

Pokonali zakręt i stanęli przed zwaloną brzozą, krwawiącą z głębokich cięć po pazurach w korze.

Nie odezwali się. Oboje wiedzieli, że niedźwiedzie niekiedy zostawiają na drzewach ślady pazurów. Żeby oznaczyć terytorium albo odstraszyć innych myśliwych.

Wilk zbliżył się do drzewa, żeby je dokładnie obwąchać. Torak ruszył za nim – i westchnął z ulgą.

–Borsuk.

–Jesteś pewien? – spytała Renn.

–Zadrapania są mniejsze od tych, które zostawiają niedźwiedzie, a na korze jest błoto. – Obszedł drzewo dookoła. – Przednie łapy miał ubrudzone ziemią, widać wcześniej kopał, szukając robaków. Zatrzymał się tutaj, żeby oczyścić pazury. I poszedł. Tamtędy. – Torak machnął ręką w kierunku wschodnim.

–Skąd to wszystko wiesz? – zapytała Renn. – Wilk ci powiedział?

–Nie, Las. – Podchwycił jej zaskoczone spojrzenie. – Przed chwilą widziałem drozda z kilkoma włosami borsuczej sierści w dziobie. Nadleciał ze wchodu. – Torak wzruszył ramionami.

–Potrafisz dobrze tropić, zgadłam?

–Tata umiał lepiej.

–Tak czy inaczej, robisz to lepiej niż ja – orzekła Renn. Nie wydawała się o to zazdrosna. Po prostu stwierdziła fakt. – Ale dlaczego borsuk tak bardzo wystraszył

Wilka?

–Nie sędę, żeby to borsuk go wystraszył – powiedział Torak. – Wydaje mi się, że wystraszyło go co innego.

Renn podała Torakowi jego toporek, kołczan i łuk.

–Trzymaj. Mogą ci się przydać.

Skradali się ścieżką dalej. Pierwszy szedł Wilk, za nim Torak, rozglądając się za wszelkimi śladami, a Renn na końcu, wypatrując, co się dzieje za drzewami.

Przeszli kolejne pięćdziesiąt kroków i Torak zatrzymał się tak gwałtownie, że Renn wpadła na niego.

Młody buk wciąż jeszcze pojękiwał, ale nie miał już wiele życia przed sobą.

Niedźwiedź stanął na tylnych łapach, by wyładować swą furię: oderwał całą koronę drzewa, po zdartych płatach kory pozostały długie, krwawiące pasma, zrobił głębokie szramy wysoko na pniu. Przerazająco wysoko. Gdyby Renn stanęła Torakowi na ramionach, nie udałoby się jej dosięgnąć nawet tych położonych najniżej.

–Żaden niedźwiedź nie może być tak ogromny – szepnęła.

Torak nie odpowiedział. Myślami powrócił do błękitnego, jesiennego zmierzchu, kiedy po raz ostatni pomagał Tacie rozbijać obóz. Torak powiedział coś zabawnego, a Tata się roześmiał. Potem Las eksplodował. Wrzask kruków. Trzask sosen. Z ciemności pomiędzy drzewami wypadło na nich coś jeszcze od niej czarniejszego...

–Nie są świeże – stwierdziła Renn.

–Co takiego?

Wskazała na pień.

–Krew drzewa zdążyła stężeć. Popatrz, jest prawie czarna.

Chłopak przyjrzał się drzewu uważnie. Dziewczyna miała rację. Niedźwiedź rozorał korę pazurami przynajmniej dwa dni temu.

Torak nie mógł jednak podzielać ulgi, jaką odczuwała Renn. Nie wiedziała jeszcze o najgorszym.

Zabijając, powiedział Tata, robi się coraz silniejszy... Kiedy czerwone oko osiągnie szczyt... niedźwiedź będzie niepokonany.

Oto mieli dowód. Tej nocy, której niedźwiedź zaatakował ich obóz, był już ogromny. Ale nie aż tak.

–On rośnie – powiedział Torak.

–Co takiego? – spytała Renn. Torak powtórzył jej słowa Taty.

–Ale... to już za niecały miesiąc.

–Wiem.

Kilka kroków na bok od ścieżki znalazł trzy długie, czarne włosy uczepione gałązki wyrastającej na wysokości głowy. Wrócił pospiesznie.

–Poszedł tędy – wskazał na dolinę. – Przyjrzyj się. Gałęzie układają się tutaj w nieco inny wzór.

Nie poczuł się jednak bezpieczniej. Niedźwiedź mógł wrócić inną ścieżką.

Raptem, gdzieś z trzewi leśnego poszycia, dobiegło ich ostre „pak, pak” strzyżyka. Torak odetchnął.

–Nie może być blisko. Inaczej strzyżyk by się nie odezwał.

Gdy zapadł zmierzch, zbudowali szałas z powyginanych leszczynowych drzewek i uszczelnili go kompostem z błotnistej strumienia. Gałęzie ostrokrzewu dawały złudzenie kryjówek. Rozniecili mały ogień i zjedli po parę kawałków suszonego mięsa. Nie chcieli ryzykować z łososiowymi ciastkami, gdyż niedźwiedź mógłby wyczuć je z odległości wielu dni drogi. Noc była chłodna, Torak skulił się w śpiworze, wsłuchując w słaby, odległy pomruk dochodzący od Wodogrzmotów, jak mówiła Renn.

Dlaczego Tata nie opowiedział mu nigdy o Przepowiedni? Dlaczego to właśnie on, Torak, był Słuchającym? Co to znaczy?

Wilk spał obok, strzygąc uszami. Renn siedziała i przypatrywała się żukowi podróżującemu po głowni w dół.

Torak wiedział już, że może jej zaufać. Dużo ryzykowała, żeby mu pomóc i nie uciekłyby, gdyby nie ona. Nowe uczucie, gdy ktoś jest obok.

–Muszę ci coś powiedzieć – zaczął.

Renn sięgnęła po gałązkę i pomogła zejść żukowi.

–Zanim mój ojciec umarł – mówił Torak – kazał mi złożyć przysięgę, że odnajdę Górę lub zginę. Nie wiem, dlaczego zmusił mnie do tego. Ale przysięgłem. I teraz muszę zrobić, co tylko w mojej mocy.

Skinęła i po raz pierwszy Torak zobaczył, że naprawdę mu wierzy.

–Jest też coś, o czym ja muszę ci powiedzieć – powiedziała. – To dotyczy Przepowiedni. – Obracała gałązkę w palcach ze zmarszczonym czołem. – Kiedy... jeśli odnajdziesz Górę, nie będziesz mógł tak po prostu prosić Ducha o pomoc. Będziesz musiał udowodnić, że jesteś jej wart. Saeunn powiedziała mi to ostatniej nocy. Powiedziała, że kulawy wędrowiec, powołując niedźwiedzia do życia, zerwał odwieczny pakt, gdyż stworzył istotę zabijającą bez powodu. Wywołało to gniew Ducha Świata. Bardzo trudno będzie go teraz przebłagać.

Torak spróbował przełknąć ślinę.

–Jak trudno?

Spojrzała mu w oczy.

–Musisz przynieść mu trzy najsilniejsze elementy Nanuak.

Torak patrzył na nią, nie rozumiejąc.

–Saeunn mówi, że Nanuak jest jak wielka rzeka bez końca. Każda żywa istota nosi w sobie jakąś jej część. Myśliwi, zwierzyna, skały, drzewa. Czasem jakiś niezwykły jej element wyłania się, jak piana na rzece. Gdy tak się dzieje, Nanuak staje się niezwykle potężna – Zawahała się. – Te właśnie elementy masz odnaleźć. Jeśli tego nie zrobisz, Duch Świata ci nie pomoże. Nigdy nie pokonasz niedźwiedzia.

Torak odetchnął głęboko.

–Trzy elementy Nanuak – powiedział chrapliwie. – Czym one są? Jak je odnajdę?

–Nikt tego nie wie. Znamy jedynie zagadkę. – Renn przymknęła oczy i wyrecytowała:

Spojrzenie zatopione w głębinie największej. Najstarszy ze wszystkich kamień, który kąsa. Najciemniejsze światło – tym, co najzimniejsze.

Zerwał się lekki wiatr. Ostrokrzew wydał kłujący szmer.

–Co to znaczy? – spytał Torak.

Renn otworzyła oczy.

–Nikt nie wie.

Oparł brodę na kolanach.

–Więc muszę odnaleźć Górę, której nikt nigdy nie widział. Rozwiązać zagadkę, której nikt nigdy nie rozwiązał. Pokonać niedźwiedzia, którego nikt nie jest w stanie pokonać.

–Musisz spróbować – westchnęła Renn.

Torak siedział w milczeniu. Po chwili odezwał się znowu.

–Dlaczego Saeunn powiedziała to wszystko tobie?

–Nie prosiłam jej, po prostu mi powiedziała. Ona uważa, że powinnam zostać Czarownicą, kiedy dorosnę.

–A ty nie chcesz?

–Nie! Ale myślę, że może jest w tym wszystkim jakiś sens. Bo gdyby nie opowiedziała mi tego wszystkiego, nie mogłabym powiedzieć tego tobie.

Znowu zapadło milczenie. Potem Renn wyslizgnęła się ze śpiwora.

–Zaniosę nasze rzeczy na zewnątrz. Nie chcemy przecież, żeby zapach jedzenia ściągnął niedźwiedzia.

Poszła. Torak skulił się po swojej stronie szałas i zatopił spojrzenie w żarzących się węglach. Uśpiony Las poskrzypywał wokół niego, śniąc swe głębokie, zielone sny. Torak pomyślał o setkach tysięcy drzew-dusz stłoczonych w ciemnościach; czekających na niego, właśnie na niego, aby je wyzwolił od niedźwiedzia.

Myślał o złocistej brzozie i szkarłatnej jarzębinie, o olśniewających zielonych dębach. Myślał o obfitości zwierzyny; o rzekach i jeziorach pełnych ryb; o wszystkich rodzajach drewna, kory i kamieni, które czekają na tego, kto wie, gdzie ich szukać. W Lesie było wszystko, czego potrzeba. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go kochał.

Jeśli niedźwiedź nie zostanie zgładzony, wszystko to przepadnie.

Wilk poderwał się i ruszył na zwyczajową nocną przechadzkę. Wróciła Renn i bez słowa weszła do śpiwora. Torak dalej wpatrywał się w ogień.

–Jest w tym wszystkim jakiś sens, powiedziała Renn i dziwnym sposobem dodało mu to siły. – Słuchającym.

Przysiągł, że odnajdzie Górę. Las go potrzebował. Zrobi wszystko, co w jego mocy.

Spał niespokojnie. Śnił, że Tata jest znów żywy, lecz zamiast twarzy ma gładki biały kamień. Nie jestem Tata. Jestem Czarownikiem Wilków.

Obudził się gwałtownie.

Poczuł oddech Wilka na twarzy; potem puszystą szczotkę szczenięcych wąsów na powiekach i drobne igielki pieszczotliwych zębów na policzkach i szyi.

Polizał szczeniaka po pysku, a Wilk wetknął mu nos pod brodę, po czym ułożył się obok z westchnieniem.

–Powinniśmy byli przeprowadzić się w dolnym biegu – powiedziała Renn, kiedy przypatrywali się z dołu Wodogrzmotom. Torak wytarł z twarzy drobne krople wody, dumając, jak to możliwe, że cokolwiek w Lesie może być wypełnione taką

wściekłością.

Cały dzień podążali w górę spokojnej, zielonkawej Szerokiej Rzeki. Lecz tutaj, gdzie z hukiem spadała z pionowej skalistej ściany, nie była już spokojna – przerażała swą furią. Las stał i przyglądał się niemo.

–Powinniśmy byli przeprowić się w dolnym biegu – powtórzyła Renn.

–Zauważyliby nas – rzekł Torak. – Łąki są zbyt odsłonięte. Poza tym Wilk wolał zostać po tej stronie.

Renn zacisnęła wargi.

–Skoro jest przewodnikiem, gdzie w takim razie się podziewa?

–On nie znosi Wartkiej Wody. Jego rodzina utonęła w powodzi. Wróci, kiedy znajdziemy drogę nad Wodogrzmotami.

–Mhm – mruknęła Renn, nieprzekonana. Podobnie jak Torak, nie spała za dobrze i przez cały poranek była w kiepskim nastroju. Żadne z nich nie wspominało o zagadce.

Wreszcie odkryli ścieżkę jeleni wiodącą w górę, ku wodospadowi. Była stroma i błotnista, więc gdy dotarli na szczyt, byli wyczerpani i przemoczeni perlistą mgłą rozbryzgiwaną przez wodospad wody. Wilk czekał na nich: siedział pod brzozą w bezpiecznej odległości od Szerokiej Rzeki, trzęsąc się ze strachu.

–Gdzie teraz? – wydyszała Renn. Torak obserwował Wilka.

–Dalej wzdłuż rzeki, dopóki nam nie powie, gdzie się przeprowić.

–Umiesz pływać? – spytała Renn.

–A ty? – zapytał, kiwając głową.

–Tak. No a Wilk?

–Nie sędzę.

Ruszyli w górę rzeki, przedzierając się przez jeżyny, splątane jarzębiny i brzozy. Dzień był zimny i pochmurny, wiatr strząsał brzozowe listki do rzeki. Wyglądały jak małe, bursztynowe groty strzał. Wilk truchtał z uszami po sobie. Rzeka płynęła wartko, zmierzając ku Wodogrzmotom.

Nie uszli daleko, gdy nagle Wilk zaczął zataczać koła nad brzegiem i skamleć. Torak wyczuwał jego strach. Zwrócił się do Renn:

–On chce się przeprowić na drugą stronę, ale jest przerażony.

–Jeżyny są tutaj za gęste – orzekła Renn. – Może tam dalej, po kamieniach?

Kamienie były gładkie i pokryte zdradzieckim mchem, lecz wystawały dobry łokieć ponad wodę. Można się było po nich przeprowić na drugą stronę.

Torak skinął głową.

–Pójdę pierwsza – powiedziała Renn, ściągając buty i przywiązując je do plecaka.

Podwinęła nogawki. Znalazła jakąś gałąź do utrzymywania równowagi i przewiesiła plecak przez jedno ramię, aby w razie czego nie pociągnął jej w dół. Kołczan i łuk niosła w drugiej ręce, wysoko ponad głową.

Nie wyglądała na pewną siebie, gdy zbliżała się do rzeki. Jednak przeprowiła się bez wahania – do ostatniego głazu, z którego musiała wykonać skok na brzeg. Skoczyła, osunęła się i chwyciła wierzbowej witki, aby się podciągnąć.

Torak położył swoje rzeczy i broń na brzegu, i zdjął buty. Miał zamiar przenieść

Wilka na drugą stronę, a potem wrócić po bagaż.

–Chodź, Wilku – zawołał zachęcająco. Potem kucnął i powiedział to samo w mowie wilków, wydając niskie, uspokajające skomlenie.

Wilk wystrzelił jak z procy i ukrył się pod krzakami jałowca, nie zamierzając wychodzić.

–Włóż go do plecaka – zawołała z drugiego brzegu Renn. – To jedyny sposób, żeby go przenieść na tę stronę.

–Jeśli tak zrobię – krzyknął Torak – nigdy już mi nie zaufa.

Usiadł na mchu porastającym ziemię w pobliżu brzegu rzeki. Ziewnął i przeciągnął się, żeby pokazać Wilkowi, jak bardzo jest rozluźniony.

Po chwili Wilk wynurzył się z krzaków jałowca, podszedł i usiadł obok niego.

Torak ziewnął ponownie.

Wilk zerknął na niego i sam rozdziawił paszczę do ziewnięcia, kończąc je z cichym, przeciągłym skamleniem.

Torak wstał powoli i wziął Wilka na ręce, pomrukując miękko w wilczej mowie.

Poczuł pod bosymi stopami lodowate i śliskie głazy. Wilk zaczął dygotać z przerażenia w jego ramionach.

Na przeciwległym brzegu Renn chwyciła się młodej brzozy jedną ręką, drugą zaś wyciągnęła w ich stronę.

–Dobrze wam idzie! – wołała, przekrzykując huk pobliskich Wodogrzmotów. – Jesteście już bardzo blisko.

Wilk wczepił pazury w kaftan Toraka.

–To już ostatni kamień! – krzyknęła Renn. – Ja złapię Wilka...

Fala oblała kamień, zalewając ich lodowatą wodą. Wilk nie wytrzymał. Wyrwał się z objęć Toraka i skoczył w stronę brzegu, lądując tylnymi łapami w wodzie, a przednimi drapiąc nabrzeżną ziemię.

Renn pochyliła się i chwyciła go za kark.

–Mam go – zawołała.

W tej samej chwili Torak stracił równowagę i runął do wody.

Wynurzył się, parskając z zimna, i rozpoczął walkę z rzeką. Był dobrym pływakiem, więc sytuacja nie zmartwiła go bardzo. Wystarczy chwycić tę gałąź sterczącą z brzegu...Może następną.

Usłyszał, jak gdzieś z tyłu Renn woła go po imieniu, przedzierając się przez krzewy jeżynowe, a Wilk poszczekuje ostrzegawczo. Przyszło mu na myśl, że jeżyny muszą być bardzo gęste, skoro Renn i Wilk zostali tak daleko za nim.

Rzeka uderzyła go w plecy, z łatwością łamiąc go w pół, jakby był mokrym liściemmiotanym o skały. Poszedł pod wodę.

Gdy się ponownie wynurzył, przeżył szok, zauważając, jak daleko uniosła go woda. Nie słyszał już Wilka i Renn, Wodogrzmoty pędziły ku niemu z zawrotną prędkością, zagłuszając swym rykiem wszystkie inne dźwięki.

Kaftan i spodnie ciągnęły go w dół. Jego członki zdrętwiały pod wpływem zimna, zmieniając się w patyki z kości i mięśni, pracujące bez czucia dla utrzymania jego głowy ponad powierzchnią.

Nie widział nic poza rozmazanymi wierzbami i białą pianą fal. Nagle i to zniknęło, gdyż znów się znalazł pod wodą.

Dotarło do niego z przerażającą jasnością, że za chwilę zostanie zmieciony przez wodospad i zginie.

Lecz nie bał się. Czuł jedynie narastający gniew, że wszystko kończy się w ten sposób. Biedny Wilk. Kto się teraz nim zajmie? Biedna Renn. Miał nadzieję, że nie znajdzie ciała, na pewno będzie wyglądało paskudnie.

Śmierć zagrzmiała nad nim. Tęcza zamigotała wśród piany i mgławicy kropelek... Potem fale wygładziły się jak sukno, nie było już rzeki przed nim i nie sposób było oddychać, gdyż znów był pod wodą. Śmierć pochwyciła go i ciągnęła w dół – świetliste i łagodne doznanie, jak przy zapadaniu w sen.

Opadał i opadał, a woda wypełniła mu usta, nos i uszy. Rzeka połknęła go w całości: był w jej trzewiach, a ona szumiała w nim, dudniąca potęga wody. Jakimś cudem wypłynął i złapał haust powietrza. Wtedy jednak rzeka wciągnęła go z powrotem w skłębioną, zieloną kipieli.

Jej ryk zaczynał cichnąć. Światła tańczyły w głowie Toraka. Tonął. Kolor wody przechodził z niebieskiego w ciemnozielony, aż do czarnego. Był ociążał i stracił czucie z zimna. Pragnął już tylko poddać się i zasnąć.

Do jego świadomości przebił się niewyraźny, chlupoczący śmiech. Włosy przywodzące na myśl wodorosty owinęły się wokół jego szyi. Okrutne twarze zwróciły na niego obłudne spojrzenia bezlitosnych białych oczu.

–Chodź do nas! – wołali Przyczajeni rzeki. – Pozwól swym duszom unosić się swobodnie, bez tego nudnego, ociążałego ciała.

Poczuł się tak, jakby jego wnętrzości miały zaraz wystrzelić.

–Patrzcie, patrzcie! – radowali się Przyczajeni. – Jakże skore jego dusze do wolności! Jak ochoczo ku nam zdążają!

Torak obracał się w kółko jak zdechła ryba. Przyczajeni mieli rację. Tak łatwo byłoby opuścić to ciało i oddać się na zawsze w ich chłodne objęcia.

Nagle usłyszał rozpaczliwy skowyt Wilka.

Otworzył oczy. Przyczajeni pierzchli, zostawiając po sobie w ciemności chmurę srebrzystych bąbelków.

Wilk znów go zawołał.

Wilk go potrzebował. Mieli jeszcze coś do zrobienia. Młóćąc odrętwiałymi kończynami, rozpoczął walkę o każdy palec drogi na powierzchni. Głęboka zieleń zaczęła się rozjaśniać. Płynął ku światłu...

Już prawie dotarł, gdy coś kazało mu spojrzeć w dół i zobaczył. Daleko pod nim para ślepych, białych oczu spoglądała na niego.

Co to takiego? Perły rzeczne? Oczy Przyczajonego? Przepowiednia. Zagadka. Spojrzenie zatopione w głębinie największej.

Rozsadzało mu pierś. Umrze, jeśli nie zaczerpnie zaraz powietrza. Ale jeśli nie popłynie teraz na dno, żeby schwycić te oczy – czymkolwiek były – straci je na zawsze.

Zgiął się wpół, wierzgnął z całych sił nogami i popłynął w dół.

Chłód sprawił, że rozboleły go oczy, jednak nie śmiał ich zamknąć. Blisko, coraz bliżej... wyciągnięta ręka dotknęła dna i chwyciła garść lodowatego mułu. Miał je! Nie był pewien – muł kłębił się wokół niego i Torak nie mógł ryzykować rozwarcia dłoni, żeby się nie wyslizgnęły – ale czuł ciężar ciągnący go w dół. Przekręcił się i ruszył z powrotem w stronę światła.

Jednak siły już go opuściły prawie całkiem i wznosił się śmiertelnie powoli, skrępowany nasiąkniętymi ubraniami. Coraz więcej światła rozbłyskiwało mu w głowie. Słyszał coraz głośniejszy, mokry śmiech.

– Za późno – szeptali Przyczajeni. – Już nigdy nie dotrzesz do światła! Zostań z nami, chłopcze, uwolnij swe dusze. Zostań z nami na zawsze...

Coś chwyciło go za nogę i szarpnęło w dół.

Kopnął. Nie mógł się wyrwać. Coś przytrzymało go za spodnie tuż nad kostką. Wił się, chcąc wyszarpnąć nogę, ale uścisk nie zelżał. Spróbował wyciągnąć nóż z pochwy, lecz nim zaczął się przeprawiać przez rzekę, zawiązał rzemień mocno wokół rękojeści i teraz nie mógł go poluzować.

Zagotował się z gniewu. Zostawcie mnie! – krzyczał w myślach. Nie dostaniecie ani mnie, ani Nanuak!

Wściekłość dodała mu nieco sił i kopnął dziko. Uwolnił się z uścisku. Coś z bulgoczącym jękiem zatoneło w ciemności. Torak wyrwał się do góry.

Wystrzelił z wody, wciągając do płuc ogromne hausty powietrza. W oślepiającym świetle słońca zobaczył zielonkawą taflę rzeki i zbliżającą się szybko w jego kierunku gałąź. Wyciągnął ku niej wolną rękę, chybił. Ból eksplodował mu w głowie.

Wiedział, że nie stracił przytomności. Nadal czuł nurt rzeki i słyszał swój chrapliwy oddech – jednakże jego oczy – choć otwarte i wyteżone, nie widziały nic.

Ogarnęła go panika. Jestem ślepy, pomyślał. Tylko nie to, błagam, tylko nie to.

Samica Bezogona skomliła i przebierała przednimi łapami w ziemi, więc Wilk zostawił ją i popędził ścieżką w dół. Kiedy wyczuł Wysokiego Bezogona pomiędzy wierzbami, również zaczął skomlić. Jego brat ze stada zwisał bezwładnie z kłody, do połowy zanurzony w Wilgoci. Pachniał krwią i w ogóle się nie poruszał.

Wilk polizał zimny policzek, lecz Wysoki Bezogon nie obudził się. Czyżby był Bez Oddechu? Wilk podniósł pysk i zawył.

Dźwięki niezdarnego przedzierania się przez krzaki poprzedziły pojawienie się samicy Bezogona. Wilk rzucił się, by bronić swego brata ze stada, lecz ona odepchnęła go, włożyła swoje przednie łapy pod ramiona Wysokiego Bezogona i wyciągnęła go z Wilgoci.

Wilk patrzył zaskoczony, z podziwem.

Przypatrywał się, jak samica kładzie swoje przednie łapy na piersi Wysokiego Bezogona i naciska mocno. Wysoki Bezogon zaczął kaszleć! Wysoki Bezogon miał znowu oddech!

Lecz kiedy Wilk skoczył na swego brata ze stada, aby wylizać mu pysk, znów został odtrącony. Nie zważając na jego ostrzegawcze warknięcia, samica podciągnęła Wysokiego Bezogona i postawiła na tylnych łapach, po czym zataczając się, zaczęli się oddalać od brzegu. Wysoki Bezogon wpadał ciągle na leszczyny,

jakby ich nie widział.

Wilk zaczął iść czujnie obok niego. Uspokoił się nieco dopiero wówczas, gdy dotarli do Nory położonej w bezpiecznej odległości od Szybkiej Wilgoci; porządnej Nory, nie takiej małej i dusznej.

Samica wciąż nie chciała dopuścić go do brata ze stada. Warcząc, naparł na nią całym ciałem. Zamiast się odsunąć, wyciągnęła patyk z Nory i rzuciła, patrząc to na Wilka, to na patyk.

Wilk zignorował ją i odwrócił się znowu w stronę Wysokiego Bezogona, który starał się ściągnąć z siebie futro. Wreszcie miał na sobie już tylko długie futro na głowie. Położył się z boku Nory, z zamkniętymi oczami, trzęsąc się z zimna. Jego żałosna, bezwłosa skóra była naprawdę do niczego.

Wilk ułożył się obok, żeby go ogrzać, podczas gdy samica pospiesznie powołała do życia Jasną-Bestię-Która-Kąsa-Gorąco. Wysoki Bezogon przysunął się w stronę ciepła, a Wilk obserwował go z niepokojem. Bał się, że Jasna Bestia pogryzie jego brata.

Wtedy Wilk zauważył, że Wysoki Bezogon trzyma coś w przednich łapach. Świeciło dziwnie.

Wilk powąchał i cofnął się gwałtownie. Pachniało myśliwym i zwierzyną, Szybką Wilgocią i drzewem, wszystkim jednocześnie; i brzęczało cicho: tak wysoko, że tylko Wilk mógł ten dźwięk usłyszeć.

Wilk poczuł lęk. Zrozumiał, że znalazł się w obecności czegoś bardzo, bardzo potężnego.

Torak miotał się w śpiworze, nie mogąc opanować drżenia. Jego głowę spowijał płomień, całe ciało wyglądało jak jeden wielki siniec, ale najgorsze ze wszystkiego było to, że nie widział. Ślepy, ślepy, ślepy, ślepy, zdawało się łomotać serce.

Poprzez trzaskanie ognia usłyszał gniewne mamrotanie Renn.

–Dlaczego właściwie usiłowałaś się zabić?

–Co? – zapytał bełkotliwie, gdyż usta miał zlepione słonawą słodkością krwi.

–Prawie wydostałaś się na powierzchnię – powiedziała Renn, przyciskając mu do czoła coś, co chyba było pajęczyną. – A potem zawróciłaś i popłynęłaś rozmyślnie z powrotem w dół!

Zorientował się, że ona nie wie o Nanuak. Lecz jego pięść była tak skostniała z zimna, że nie mógł jej rozewrzeć i pokazać, co kryje.

Poczuł gorący język Wilka na twarzy. Zobaczył świetlistą szczelinę. Potem wielki czarny nos. Nadzieja wstąpiła w Toraka.

–Jafice – wybełkotał.

–Co? – prychnęła Renn. – Oczywiście, że widzisz! Rozciąłeś sobie czoło o gałąź i krew zalała ci oczy. Rany głowy krwawią obficie. Nie wiedziałeś o tym?

Torak poczuł ulgę tak wielką, że roześmiałyby się, gdyby zęby nie szczękały mu tak gwałtownie.

Zauważył, że znajdują się w niewielkiej jamie w ziemi. Brzozowy stosik palił się energicznie, a przemoczone ubranie Toraka, zawieszona na korzeniach wyrastających ze sklepienia, już zaczynało parować. Grzmot wodospadu był głośny,

jego dźwięk oraz widok koron drzew przed wejściem do jamy pozwoliły mu zgadnąć, że znajdują się gdzieś w górnej części doliny. Nie przypominał sobie, jak tutaj trafili. Renn musiała go przytaszczyć. Zastanawiał się, jak tego dokonała.

Kłęczała przy nim, wyglądała na wstrząśniętą.

–Miałeś bardzo dużo szczęścia – powiedziała. – A teraz, nie ruszaj się.

Ze swojej torby na lekarstwa wyciągnęła trochę suszonych liści krwawnika i rozkruszyła je w dłoni. Potem zdjęła pajęczynę i przycisnęła liście krwawnika do jego czoła. Przyłgnęły ciasno do rany, zasklepiając ją.

Torak zamknął oczy i wsłuchał się w wiecznie narastającą wściekłość Wodogrzmotów. Wilk wpełzł do śpiwora i wiercił się, dopóki nie znalazł wygodnego miejsca. Czuł się wspaniale puszysty i ciepły, kiedy lizał ramię Toraka. W odpowiedzi Torak liznął go po pysku.

Gdy Torak się zbudził, nie trząśił się, choć wciąż ścisnął w dłoni Nanuak. Czuł jej ciężar w dłoni.

Wilk węszył po jamie, a Renn segregowała zioła na podolku. Jego plecak, buty, kołczan i łuk leżały schludnie ułożone za nim. Zorientował się, że aby je odzyskać, Renn musiała znów przeprowić się przez rzekę. Dwa razy.

–Renn – zaczął.

–Co? – spytała, nie podnosząc głowy.

Z jej tonu mógł wywnioskować, że nadal jest zagniewana.

–Wyciągnęłaś mnie z rzeki. Przeprowadziłaś tu. I jeszcze przyniosłaś moje rzeczy. Nie mieści mi się... To znaczy, to było bardzo odważne.

Nie odpowiedziała.

–Renn? – powtórzył. – Co?

–Ja musiałem popłynąć w dół. Musiałem.

–Dlaczego?

Niezdarnie wyciągnął rękę, w której trzymał Nanuak, i rozluźnił palce.

Gdy to zrobił, ogień jakby przygasł. Cienie urosły na ścianach jamy. Powietrze zatrzeszczało, jak po uderzeniu pioruna.

Wilk przestał węszyć i wydał ostrzegawcze warknięcie. Renn znieruchomiała. Na dłoni Toraka w gnieździe z zielonego mułu spoczywały, świecąc blado, jak księżyc w mglistą noc, oczy rzeki.

Wpatrując się w nie, Torak poczuł echo tamtych mdłości, które napadły go na dnie.

–To właśnie to, prawda? – rzekł. – Spojrzenie zatopione w głębinie największej, pierwszy element Nanuak.

Renn zbladła.

–Nie ruszaj się – rzuciła i wygramoliła się z jamy. Wróciła prędko z garścią jarzębinowych liści. – Masz szczęście, że rękę masz całą w mule – powiedziała. – Nie wolno ci ich dotykać. Mogą wyssać z ciebie twoją duszę świata.

–Czy to właśnie mi się przytrafiło? – wymamrotał. – Tam w rzece poczułem się... oszołomiony. – Opowiedział jej o Przyczajonych.

Wyglądała na przerażoną.

–Odważyłeś się? Gdyby cię złapali... – Wykonała ręką gest dla odegnania złych mocy. – Nie mogę uwierzyć, że spałeś sobie spokojnie z tym w dłoni. Nie ma chwili do stracenia.

Wyjęła z kaftana mały, czarny woreczek, który wypełniła liśćmi jarzębiny.

–Liście powinny nas ochronić – rzekła. – Woreczek też może coś działać, jest ze skóry kruka.

Złapała Toraka za nadgarstek i pomogła oczom rzeki sturlać się do woreczka, po czym zaciągnęła mocno rzemyk.

Gdy tylko Nanuak zniknęła, płomienie strzeliły w górę, a cienie skurczyły się. Powietrze w jamie przestało trzeszczeć.

Torak poczuł się tak, jakby zdjęto z niego jakiś ciężar. Patrzył na Wilka, który wymościł sobie miejsce obok Renn, a potem, z pyskiem między łapami, postękiwał, wpatrując się w leżący na jej kolanach woreczek.

–Myślisz, że wyczuwa jej zapach? – zapytała.

–A może słyszy jej głos – powiedział Torak. – Nie wiem.

Renn zadrżała.

–Ja też nie wiem. Przynajmniej dopóki tylko on to słyszy.

Torak zbudził się o świcie cały obolały i sztywny. Mógł jednak poruszać wszystkimi czterema kończynami, więc raczej nie były połamane. Uznał, że ma się lepiej. Renn klęczała przy wejściu do jamy, usiłując nakarmić Wilka garścią owoców bażyny. Marszczyła w skupieniu czoło, wyciągając rękę przed siebie. Wilk zbliżył się ostrożnie – lecz zaraz znów odskoczył. W końcu jednak uznał, że może jej zaufać i pochłonął garść jagód.

Renn zaśmiała się, kiedy wąsy połaskotały ją w dłoń. Uchwyciła spojrzenie Toraka i przestała się śmiać, speszona, że przyłapał ją na próbie zaprzyjaźnienia się ze szczeniakiem.

–Jak się czujesz? – zapytała.

–Lepiej.

–Nie wyglądasz lepiej. Musisz odpocząć przynajmniej jeden dzień. – Podniosła się. – Idę na polowanie. Powinniśmy oszczędzać suszone mięso, będziemy go jeszcze potrzebować.

Torak usiadł z grymasem bólu.

–Idę z tobą.

–Nie, nie idziesz. Masz odpoczywać.

–Ale moje rzeczy już wyschły i chcę się trochę rozruszać. – Nie podał jej prawdziwej przyczyny, a była ona taka, że nienawidził jam. Zdarzało się, że razem z Tatą nocowali w jamach, lecz ostatecznie Torak zawsze lądował na zewnątrz. Uważał za coś niewłaściwego sypianie w zamkniętej, odgradzonej przestrzeni, odciętej od wiatru i Lasu. Jakby dać się połknąć.

Renn westchnęła.

–Ale obiecaj mi, że jak tylko cokolwiek upolujemy, wrócisz tu i odpoczniesz.

Torak obiecał.

Ubieranie okazało się bardziej bolesne, niż się spodziewał, i zanim skończył, oczy mu się zaszklily. Z ulgą stwierdził, że Renn tego nie spostrzegła, zaprzągnięta przygotowaniami do łowów.

Uczesała się jesionowym grzebieniem wygiętym na kształt kruczego szponu, po czym związała włosy w koński ogon i wetknęła w nie swoje pióro, by przyniosło jej pomyślność w polowaniu. Następnie wysmarowała skórę popiołem, aby zgubić swój zapach, i nacierając łuk olejem ze zgniecionych orzechów laskowych, zaintonowała:

–Niechaj opiekun klanu szybuje u mego boku i przyniesie pomyślność podczas łowów.

Torak był zdumiony.

–Przygotowujemy się do polowania w ten sam sposób. Tyle tylko, że mówimy: „Niechaj opiekun klanu biegnie u mego boku”. No i nie nacieramy łuków za każdym razem.

–To jest akurat coś, co ja robię zawsze – rzekła Renn. Z czułością uniosła łuk, natłuszczone drewno zaśniło. – Fin-Kedinn zrobił go dla mnie, kiedy miałam siedem lat, tuż po śmierci Taty. To cis hartowany przez cztery wiosny. Biel pod spodem, dla elastyczności, a twardej z wierzchu dla mocy. Zrobił także kołczan. Uplótł koszyk i pozwolił mi wybrać ornament. Ten zygzak z czerwonej i białej wikliny.

Zamilkła i na jej twarzy pojawił się cień, jakby coś sobie przypomniała.

–Nie znałam matki. Tata był dla mnie wszystkim. Kiedy zginął, bardzo płakałam. Wtedy przyszedł Fin-Kedinn, a ja zaczęłam go tłuc pięściami. Nie poruszył się. Tylko stał jak dąb i pozwalał, żebym go okładała. Potem powiedział: „Był moim bratem. Ja się tobą zaopiekuję”. Wiedziałam, że robi to dobrze. – Przygryzła wargi, patrząc ze smutkiem przed siebie.

Torak zrozumiał, że Renn tęskni za wujkiem i pewnie martwi się o niego, teraz, kiedy tropi ją w nękanym przez niedźwiedzia Lesie. Chcąc dać jej chwilę samotności, zajął się przygotowaniami i zebrał broń. Wreszcie powiedział:

–Chodź. Zapolujemy.

Skinęła głową i zarzuciła kołczan na ramię.

Był jasny, chłodny poranek. Las nigdy chyba nie wyglądał tak pięknie. Szkarłatne jarzębiny i złociste brzozy płonęły jak ogień wśród ciemnozielonych świerków. Krzaczki jagód migotały tysiącem maleńkich, posrebrzonych mrozem pajęczyn. Zamarznięty mech chrzęścił pod stopami. Para wścibskich srok towarzyszyła im od drzewa do drzewa, sprzecząc się krzykliwie. Niedźwiedź musiał być daleko.

Niestety, Torak nie cieszył się Lasem długo. Około południa Wilk spłoszył

grupkę głuszców, które wystrzeliły w niebo, obrzucając ich gulgoczącymi obelgami. Ptaki leciały szybko i pod słońce, więc Torak nie zadał sobie nawet trudu wziąć je na cel. Wiedział, że i tak nie trafi. Ku jego niepomiernemu zdziwieniu Renn wypuściła strzałę i jeden ptak spadł z głuchym odgłosem w mech.

Torak rozdziawił usta.

–Jak ty to zrobiłaś?

Dziewczyna zarumieniła się.

–No wiesz, dużo ćwiczę.

–Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak strzelał. Jesteś najlepsza w klanie? –

Wyglądała na zakłopotaną. – Jest ktoś lepszy?

–Hmm. No, nie. – Wciąż zakłopotana, zaczęła torować sobie drogę przez krzaki jagód, żeby przynieść upolowane zwierzę. – Proszę. – Jej ostre zęby zaśniły bielą w szerokim uśmiechu. – Pamiętasz, co mi obiecałeś? Teraz musisz wrócić i odpocząć.

Torak chwycił głuszca. Gdyby wiedział, że Renn jest tak dobrym strzelcem, nigdy by nie składał podobnej obietnicy.

Kiedy Renn wróciła do jamy, urządzili sobie ucztę. Pohukiwanie młodej sowy mówiło, że niedźwiedź jest daleko, Renn zaś stwierdziła, że oddalili się wystarczająco na wschód, by ujść Krukowi. Potrzebowali ciepłego posiłku.

Dziewczyna zawijała małe kawałki mięsa w liście szczawiu dla opiekunów klanów, podczas gdy Torak przeniósł ognisko w stronę wylotu jamy, gdyż nie chciał spędzać kolejnej nocy w środku. Wypełnił skórzany garnek do połowy wodą i powiesił nad ogniem, potem wrzucił do środka rozgrzane do czerwoności kamienie, żeby się zagotowała, i włożył oskubanego i poćwiartowanego głuszca. Wkrótce mieszał już aromatyczną potrawę, doprawioną dzikim czosnkiem i dużymi, mięsistymi grzybami.

Większość mięsa zjedli od razu, odrobinę zostawiając na później, a zagryzali je pieczonymi w żarze i umaczanymi w sosie korzeniami orlicy. Potem przyszła pora na wspaniały deser, który przygotowała Renn. Ugniecione z owocami bażyny orzechy laskowe smakowały wybornie. Podobnie jak bukwie, które pękały nad ogniem i łatwo było je obrać, by dostać się do małych, tłustych orzeszków.

Kiedy Torak skończył, poczuł, że chyba już nigdy nie będzie głodny. Usiadł przy ogniu, żeby zaszyć spodnie, które rozdarli Przyczajeni. Renn usiadła nieopodal i zajęła się przycinaniem lotek swych strzał, a Wilk ułożył się pomiędzy nimi i wylizywał do czysta łapy, gdyż właśnie skończył pałaszować kawałek mięsa, który zostawił dla niego Torak.

Przez jakiś czas panowała spokojna cisza i Torak poczuł zadowolenie, a nawet nadzieję. Znalazł w końcu pierwszy element Nanuak. To było coś.

Nagle Wilk zerwał się i wyskoczył poza zasięg światła. Za chwilę wrócił i zaczął krążyć wokół ogniska, wydając krótkie, podniecone pomruki i skomlenia.

–Co się dzieje? – wyszeptała Renn.

Torak stał, wpatrując się w Wilka. Pokręcił głową.

–Nie do końca rozumiem. „Martwa zwierzyna. Dawno martwa zwierzyna.

Trzeba ruszać.” Coś takiego.

Wpatrzyli się w ciemność.

–Nie powinniśmy byli rozpalać ogniska – powiedziała Renn.

–Za późno – odparł Torak.

Wilk ucichł, podniósł łeb i wpatrzył się w niebo.

Torak spojrzał w górę i jego dobry nastrój pierzchnął ostatecznie. Ze wschodu, ponad odległym czarnym cieniem Wysokich Gór, spozierało na nich czerwone oko Wielkiego Tura. Nie mogło być mowy o pomyłce: okrutny karmazyn pulsujący nienawiścią. Torak nie mógł oderwać od niego wzroku. Czuł potęgę: wysysającą i niweczącą całą nadzieję, a wzmacniającą niedźwiedzia.

–Czy my mamy w ogóle jakieś szanse w starciu z niedźwiedziem? – spytał. – Jakiegokolwiek?

–Nie wiem – odparła Renn

–Jak odnajdziemy pozostałe elementy Nanuak? Najstarszy ze wszystkich kamień, który kąsa. Najciemniejsze światło – tym, co najzimniejsze. Co to w ogóle znaczy?

Renn nie odpowiedziała.

W końcu Torak oderwał wzrok od nieba i usiadł przy ogniu. Czerwone oko zdawało się śledzić go nawet spomiędzy żarzących się polan.

Za jego plecami Renn zawołała podniecona:

–Torak, patrz! To Pierwsze Drzewo!

Podniósł głowę.

Oko zamgliło się. Zamiast niego bezgłośna, płynna, mieniąca się łagodnie zielona poświata wypełniła niebo. W jednej chwili ogromna płachta światła załopotwała w podmuchu bezgłośnego wiatru; potem zniknęła i na niebo wypłynęło drżące, bladozielone falowanie, rozpraszające się pośród gwiazd. Pierwsze Drzewo rozrastało się po niebie w nieskończoność, oświetlając Las swym cudownym blaskiem.

Torak patrzył i ponownie poczuł w sobie isierkę nadziei. Uwielbiał oglądać Pierwsze Drzewo podczas tych mroźnych nocy, kiedy Tata opowiadał historię Początku. Pierwsze Drzewo przynosiło pomyślność w łowach; może więc i teraz

przyniesie mu szczęście.

–Sądzę, że to dobry znak – odezwała się Renn, jakby słyszała jego myśli. – Zastanawiam się, czy to naprawdę był szczęśliwy zbieg okoliczności, że znalazłeś Nanuak? Chodzi mi o to, że wpadłeś do rzeki akurat tam, gdzie leżały jej oczy. Nie wydaje mi się, żeby to się stało przez przypadek. Myślę, że ty miałeś ją znaleźć.

Rzucił jej pytające spojrzenie.

–Być może – mówiła wolno – Nanuak została umieszczona na twojej drodze, a od ciebie zależało tylko, czy po nią sięgniesz. Kiedy dojrzałeś ją na dnie rzeki, mogłeś uznać, że to zbyt niebezpieczne. Jednak stało się inaczej. Zaryzykowałeś życie, aby ją zdobyć. Może to była część próby.

To była dobra myśl i Torak poczuł się trochę lepiej. Zasypiał, spoglądając na ciche, zielone konary Pierwszego Drzewa, podczas gdy Wilk czmychnął z jaskini z jakichś sobie tylko znanych powodów.

Wilk opuścił Norę i podążył na grzbiet grani ponad doliną, aby węszyć silny zapach zepsutej zwierzyny, chyba od dawna martwej – tylko że ta zwierzyna się poruszała. Biegł, z radością czując, jak twardnieją mu poduszki łap, jak siła wypełnia coraz bardziej jego członki, z każdym mijającym Mrokiem. Uwielbiał biegać i miał nadzieję, że Wysoki Bezogon też. Niestety, czasem jego brat ze stada poruszał się koszmarnie wolno.

Kiedy Wilk zbliżył się do szczytu, posłyszał ryk Wodogrzmotów i odgłosy tupania zająca w sąsiedniej dolinie. Nad głową ujrzał Duże Białe Oko i jego liczne szczenięta. Wszystko było w należyтым porządku. Poza tym zapachem.

Gdy znalazł się na górze, uniósł pysk, aby schwytać w nozdrza niosące zapach podmuchy i znowu to poczuł: całkiem blisko, coraz bliżej. Popędził w dół, do doliny i wkrótce znalazł to dziwne, powłóczące nogami coś, co pachniało zgnilizną.

Zatrzymał się na tyle blisko, by obserwować to z ciemności, był jednak bardzo ostrożny i nie pozwolił, żeby zorientowało się, że jest śledzone. Ku jego zdumieniu nie była to wcale martwa zwierzyna. Miała bowiem oddech i pazury, poruszała się w dziwny, człapiący sposób, mrużąc do siebie i tocząc ślinę z pyska.

Najbardziej jednak zdumiało Wilka to, że nie mógł wyczuć emocji tej istoty. Jej dusze sprawiały wrażenie rozbitych na kawałki i wymieszanych ze sobą. Rozpadały się jak stare kości. Wilk nigdy nie czuł czegoś podobnego.

Obserwował, jak to coś gramoli się pod górę, ku Norze, gdzie spały Bezogony. Podkradało się coraz bliżej.

W chwili, gdy Wilk miał już zaatakować, otrząsnęło się i oddaliło, człapiąc.

Jednak w płątaniu pokawałkowanych myśli Wilk wyczytał zapowiedź powrotu.

Mgła zakradła się nad obóz jak nocny złodziej. Kiedy Torak wyczołgał się sztywno ze śpiwora, zobaczył, że dolina w dole zniknęła. Oddech Ducha Świata pochłonął ją w całości.

Ziewnął. Wilk budził go wielokrotnie w ciągu nocy, przybiegając i wydając z siebie ostrzegawcze półszczeknięcia: zapach śmierci – uwaga. To nie miało sensu. Za każdym razem, gdy Torak wychodził popatrzeć, czuł jedynie fetor padliny oraz, co niepokojące – wydawało mu się, że jest obserwowany.

–Może on po prostu nie cierpi mgły – zrzędziła Renn, zwijając swój śpiwór. – Ja też jej nie cierpię. We mgle wszystko wygląda obco.

–Nie wydaje mi się, żeby chodziło o mgłę – rzekł Torak, patrząc, jak Wilk węszy w powietrzu.

–A zatem o co?

–Nie wiem. To tak, jakby coś tam było. Nie niedźwiedź. Ani Kruki. Coś jeszcze innego.

–Co masz na myśli?

–Mówiłem ci już, nie wiem. Ale musimy zachować czujność. – W zamyśleniu dorzucił więcej drewna do ognia, aby podgrzać resztę gulaszu na posiłek.

Renn przeliczyła strzały, marszcząc z niepokojem czoło.

–Mamy razem dwadzieścia. Na pewno nie wystarczy. Potrafisz łupać krzemień?

Torak potrząsnął głową.

–Nie mam dość siły w rękach. Tata miał mnie nauczyć w przyszłym roku. A ty?

–Ja tak samo. Musimy być bardzo oszczędni. Nie sposób powiedzieć, ile drogi dzieli nas od Góry. Będziemy potrzebować więcej mięsa.

–Może upolujemy coś dzisiaj.

–W takiej mgle?

Miała rację. Mgła była tak gęsta, że nie byli w stanie dostrzec Wilka z odległości pięciu kroków. Był to ten rodzaj mgły, którą wśród klanów nazywa się mroźnym dymem: lodowaty dech, który schodzi z Wysokich Gór na początku zimy, czerniąc jagody i przepędzając wszystkie małe stworzenia do nor.

Wilk wiódł ich ścieżką turów, która skręcała ostro na północ, wspinając się na zbocze doliny: czekała ich mroźna wspinaczka wśród oszronionych paproci. Mgła tłumiała dźwięki, co utrudniało oszacowanie odległości. Drzewa wyrastały przed nimi jak spod ziemi. Raz oddali strzał do renifera tylko po to, by się przekonać, że trafili w pień. Trzeba było następnie podjąć mozolny wysiłek wydobywania grotu, na którego stratę nie mogli sobie pozwolić. Dwukrotnie

wydawało się Torakowi, że zobaczył jakąś postać wśród leśnego podszycia, lecz kiedy podbiegał zobaczyć, nikogo nie znajdował.

Wspinaczka na grzbiet zajęła im cały ranek, zejście zaś w kolejną dolinę, w której cichy sosnowy las strzegł pogrążonej we śnie rzeki – całe popołudnie.

–Zdajesz sobie sprawę, że nie widzieliśmy ani jednego renifera? – zapytała Renn, kiedy stłoczyli się w skleconym naprędcie szałasie, aby spożyć monotony posiłek. – A powinni być wszędzie.

–Też o tym myślałem – odparł Torak. Wiedział, podobnie jak Renn, że śnieg zalegający zbocza gór ściąga zwierzęta do Lasu, gdzie mogą się żywić mchem i grzybami. Niekiedy jadły tak wiele grzybów, że miały nawet ich smak.

–Co zrobią klany, jeśli nie przyjdą renifery?

Torak nie odpowiedział. Renifery oznaczały przetrwanie: mięso, schronienie i ubrania.

Zastanawiał się, co on pocznie bez ubrania na zimę. Renn była na tyle przewidująca, że włożyła swoje zimowe ubranie, zanim opuściła obóz Kruków, ale nie udało jej się zwędzić żadnego dla Toraka, więc musiał się zadowolić letnim strojem ze skóry jelenia: znacznie mniej ciepłym od futrzanych opończy i spodni, które przygotowywali z Tatą każdej jesieni.

Nawet jeśli natknęliby się na zwierzynę, nie będzie czasu, żeby uszyć ubrania. Za ścianą mgły czerwone oko Wielkiego Tura wznosiło się coraz wyżej na nieboskłonie.

Torak zacisnął powieki, żeby odegnąć od siebie takie myśli. Wreszcie zapadł w niespokojny sen. Lecz za każdym razem, gdy budził się pośród nocy, dochodził go niepokojący odór padliny.

Następny poranek był bardziej mroźny i mglisty niż wszystkie dotychczasowe. Nawet Wilk wyglądał na zniechęconego, prowadząc ich w górę rzeki. Dotarli do zwalonego dębu przerzuconego przez rzekę i przepętlili po nim na czworakach na drugi brzeg. Wkrótce potem stanęli na rozstaju. Ścieżka po lewej skręcała ku dolinie porośniętej skąpanymi we mgle brzozami; ta z prawej znikwała w ociekającym wilgocią parowie, kryjąc się pomiędzy stromymi zboczami, pośród rumowiska głazów porośniętych mchem.

Ku ich niezadowoleniu Wilk skręcił w prawo.

–Musiał się pomylić! – zawołała Renn. – Góra jest na północy! Czemu on ciągle idzie na wschód?

Torak potrząsnął głową.

–Mnie też się tak wydaje. Ale on jest chyba przekonany. Renn parsknęła. Było jasne, że znów ogarnęły ją wątpliwości.

Przypatrując się cierpliwie czekającemu na nich Wilkowi, Torak pomyślał w

poczuciu winy, że szczeniak nie skończył jeszcze nawet czterech miesięcy. W tym wieku powinien się bawić z innymi szczeniętami, nie pałętać wśród wzgórz.

–Myślę – powiedział – że powinniśmy mu zaufać.

Renn mruknęła coś pod nosem.

Podciągnęli plecaki na obolałych plecach i weszli do wąwozu.

Nie uszli nawet dziesięciu kroków, by się przekonać, że wąwóz ich nie zapraszał. Strzelające w niebo świerki zagradzały im drogę, szeroko rozstawiając ramiona. Tuż przed nimi spadł ze zbocza i roztrzaskał się głaz, zaraz potem kolejny upadł na dno wąwozu tuż za plecami Renn. Smród zgnilizny nasilał się. Ale jeśli dobiegał z miejsca, w którym leżało zabite zwierzę, musiało być to dziwne miejsce, gdyż nie słyszeli w ogóle kruków.

Mgła cały czas gęstniała, aż w końcu nie potrafili nic dojrzeć z odległości dwóch kroków. Słyszeli tylko nieustanne „kap, kap” skapującej z krzaków wilgoci oraz bulgot strumienia płynącego pośród porośniętych paprociami ścian. Torakowi zaczęło się wydawać, że mgła układa się w niedźwiedzie kształty. Przypatrywał się Wilkowi, oczekując najmniejszych oznak zagrożenia, ale szczeniak dreptał przed siebie bez strachu.

W południe – albo raczej: mniej więcej w południe – zatrzymali się na odpoczynek. Wilk legł na ziemi, dysząc, a Renn strząsnęła z siebie plecak. Twarz dziewczyny była napięta, jej włosy ociekały wilgocią.

–Widziałam trzciny. Wyplotę sobie kaptur. – Powiesiła ich kołczany i łuki na gałęzi, i ruszyła przez paprocie. Wilk dźwignął się z ziemi i podążył za nią.

Torak przykucnął na brzegu strumienia, żeby uzupełnić zapas wody w bukłakach. Nie minęło wiele czasu, nim Renn wróciła.

–Szybko poszło – stwierdziła.

–Precz! – rozległ się skowyt za plecami Toraka. – Precz z doliny Włóczęgi, albo Włóczęga poderżnie im gardła!

Torak odwrócił się i okazało się, że patrzy na górującego nad nim niewiarygodnie paskudnego mężczyznę, z nożem w dłoni. W jednej chwili odcisnął się w umyśle Toraka wyrazisty obraz pokiereszowanej, pooranej jak kora drzewa twarzy tamtego. Jego długie do pasa włosy były splątane z brudu, opończa poprzetykana zjełczoną papką obślizgłych żółtych paproci. Przynajmniej wszechogarniający smród padliny znalazł wyjaśnienie: mężczyzna zawiesił sobie u szyi rozkładające się ścierwo gołębia.

Prawdę mówiąc, wszystko w tym człowieku gniło: począwszy od pustego, ropiejącego oczodołu, a skończywszy na bezzębnych, czarnych ustach, i strzaskanym nosie. Z jednego z nozdrzy zwieszała się kapka zielonkawego śluzu.

–Precz! – ryknął, wymachując nożem z zielonego łupka.

–Narik i Włóczęga każą im iść precz!

Torak pospiesznie położył obie dłonie na sercu w geście przyjaźni.

–Proszę... jesteśmy przyjaciółmi. Nie mieliśmy zamiaru nikogo skrzywdzić...

–Ale już skrzywdzili! – ryknął mężczyzna. – Przynieśli ze sobą krzywdę do tej pięknej doliny! Włóczęga patrzył całą noc! Przez całą noc czekał, by się przekonać, czy przyniosą krzywdę do doliny!

–Jaką krzywdę? – przerwał Torak rozpaczliwie. – Nie mieliśmy zamiaru nikogo skrzywdzić!

Zakotłowało się w paprociach i Wilk rzucił się Torakowi na ręce. Torak przycisnął go mocno, czując, jak łomocze małe serce szczeniaka.

Mężczyzna nie zauważył. Usłyszał, jak Renn skrada się za jego plecami.

–Ona się zakrada! – zakpił, odwrócił na pięcie i machnął jej nożem przed twarzą.

Renn odskoczyła, ale to tylko bardziej go rozzłościło.

–Chce, żebym je wrzucił do wody? – krzyknął, zrywając ich kołczany i łuki z gałęzi i podnosząc nad wodą. – Czy chce zobaczyć, jak odpływają piękne strzały i lśniące, lśniące kołczany?

Renn niezdolna wydobyć z siebie głosu ze zgrozy pokręciła głową przecząco.

–Więc niech rzucą noże i topory szybko, bo inaczej – do wody!

Oboje wiedzieli, że nie mają wyboru, więc rzucili resztę broni u jego stóp, a on upchnął ją zręcznie pod opończę.

–Co mamy zrobić? – zapytał Torak.

Serce tłukło mu tak szybko, jak Wilkowi.

–Wynocha! – ryknął mężczyzna. – Włóczęga już im mówi! Narik im mówi! A gniew Narika jest straszny!

Renn i Torak rozejrzeli się wokoło w poszukiwaniu Narika, kimkolwiek był, lecz zobaczyli jedynie ociekające wilgocią drzewa i mgłę.

–Idziemy – powiedziała Renn, łypiąc na swój łuk w potężnej dłoni.

–Nie z powrotem do doliny! Tędy – wskazał na jedno ze zboczy wąwozu.

–Ale... my nie damy rady się tędy wspiąć – zaprotestowała dziewczyna. – Za stromo...

–Żadnych sztuczek więcej! – zawył Włóczęga i cisnął jej kołczan do strumienia.

Krzyknęła i skoczyła za nim, ale Torak chwycił ją za ramię.

–Za późno – rzucił. – Już po nim.

Strumień był głębszy i bardziej wartki, niż się wydawało. Ukochany kołczan

Renn zniknął. Odwróciła się do Włóczęgi.

–Przecież robiliśmy to, co nam kazałeś! Nie musiałeś go wyrzucać!

–Och tak, musiał – odezwał się Włóczęga z bezzębnym, czarnym uśmiechem. – Teraz już wiedzą, że nie żartowałem!

–Chodź, Renn – rzekł Torak. – Zróbmy tak, jak on mówi.

Dziewczyna ze wściekłością założyła plecak.

Jeżeli wcześniejsza podróż była ciężka i trudna, teraz była jeszcze gorsza. Włóczęga naciskał na nich z tyłu, zmuszając ich nieomal do biegu kamienistą ścieżką, którą chwilami musieli pokonywać na czworakach. Renn szła na przód, z kamienną twarzą, nie mogąc odżałować kołczanu. Wilk bardzo prędko został z tyłu.

Torak odwrócił się, żeby mu pomóc, ale Włóczęga przeciął nożem powietrze w odległości palca od jego twarzy.

–Dalej! – krzyknął.

–Chciałem tylko wziąć na ręce...

–Dalej!

–Jesteś z klanu Wydry, mam rację? Poznają twoje tatuaże – odezwała się Renn.

Włóczęga spojrział na nią ze złością.

Torak skorzystał z okazji i pochwycił słabnącego szczeniaka na ręce.

–Należał do klanu Wydry – mruknął Włóczęga, drapiąc się po szyi, gdzie na stwardniałej skórze widać było pofalowane, niebiesko-zielone linie.

–Dlaczego ich porzuciłeś? – spytała Renn, która usiłowała chyba robić wszystko, by zapomnieć o swoim kołczanie i obłaskawić mężczyznę, co mogło zadecydować o ich przeżyciu.

–Nie porzucił – powiedział Włóczęga. – Wydry go porzuciły. – Ukręcił nogę gołębia i wessał się w nią bezzębnymi ustami, połykając solidną ilość śluzu.

Torak poczuł, że kolana się pod nim uginają. Renn zrobiła się szarozielona na twarzy.

–Włóczęga robił groty do włóczni – powiedział przegniłymi wargami. – Krzemień skoczył i ugryzł go w głowę. – Zarechotał, opryskując oboje zawartością swoich ust.

–Kawałki głowy Włóczęgi rozsypały się. Zostały zszyte, znowu się rozpadły. A na końcu wyskoczyło mu oko i zjadł je kruk. Ha! Krukowi smakują oczy. – Skrzywił się, zaczął okładać pięścią po głowie. – Jak boli, jak boli! Te skowyczące głosy, wszystkie dusze walczące w jego głowie! Dlatego Wydry go wygnały!

Renn przełknęła ślinę.

–Człowiek z mojego klanu stracił w ten sam sposób oko – wtrąciła. – Mój klan przyjaźni się z Wydrami. Nie... nie chcemy cię skrzywdzić.

–Może – mruknął Włóczęga, wyjmując kość z ust i starannie chowając ją pod opończę. – Ale i tak przynoszą krzywdę ze sobą. – Ni z tego, ni z owego przystanął i zaczął przypatrywać się zboczom. – Ale Włóczęga zapomniał. Narik prosił go o orzechy laskowe! Gdzie się podziały leszczyny?

Torak poprawił sobie Wilka na rękach.

–Krzywda, którą sprowadziliśmy – zaczął. – To jest...

–Wiedzą dobrze, co to jest – przerwał mu Włóczęga.

–Niedźwiedzi demon, demon niedźwiedź. A Włóczęga im mówił, by go nie przywoływali!

Torak zatrzymał się.

–Mówił komu? Masz na myśli... kulawego wędrowca? Tego człowieka, który stworzył niedźwiedzia?

Ukłucie noża przypomniało Torakowi, że nie powinien się zatrzymywać.

–Kulawy! Tak, oczywiście! Ten mądry, zawsze z demonami za pan brat. – Znowu zarechotał. – Ale Wilczy Chłopiec nie wie nic o demonach, prawda? Nie wie nawet, że istnieją! Ach, Włóczęga mu może opowiedzieć!

Wyraz zaskoczenia odbił się na twarzy Renn. Torak unikał jej spojrzenia.

–Włóczęga wie o nich! – ciągnął mężczyzna, wciąż przeczesując jednym okiem zbocze w poszukiwaniu leszczyny. – O tak, zanim ugryzł go krzemień, sam był mądrym człowiekiem. Wiedział, że jeśli umrzesz i stracisz duszę imienia, stajesz się duchem i zapominasz, kim byłeś. Włóczędze zawsze żal było duchów. Ale jeśli stracisz duszę klanu, stajesz się demonem. – Nachylił się w stronę Toraka, owiewając go swym stęchłym oddechem. – Przemyśl to sobie, Wilczy Chłopcze. Tracisz duszę klanu, i stajesz się demonem. Pierwotną mocą Nanuak, bez więzi klanowych, by ją okiełznały; tylko szał, szał, że coś zostało ci zabrane. Dlatego nienawidzą wszystkiego, co żyje.

Torak czuł, że Włóczęga mówi prawdę. Widział tę nienawiść na własne oczy. To ona zabiła jego ojca.

–A co z tym kulawym? – zapytał chrapliwie. – Tym człowiekiem, który schwytał demona i uwięził go w niedźwiedziu? Jak się nazywa?

–Ach – parsknął Wędrowiec, gestem nakazując Torakowi iść dalej. – Taki mądry, taki sprytny. Żeby zacząć, potrzebował tylko pomniejszych demonów, strzyg i widm. Ale dla niego są zbyt słabe, chce zawsze więcej. Więc potem wzywa Kąsających i Polujących. Wciąż za mało. – Uśmiechnął się, ponownie rażąc Toraka swym cuchnącym oddechem. – Na samym końcu – szepnął – wezwie Żywiołaka.

Renn westchnęła.

–Co to takiego? – spytał Torak zdumiony.

–Ach, ona wie! – roześmiał się Włóczęga. – Krucza Dziewczyna wie!

Renn spojrzała Torakowi w oczy. Jej własne były bardzo ciemne.

–Im silniejsza dusza, tym potężniejszy demon. – Oblizła wargi. – Żywiolak rodzi się, gdy umiera coś o wielkiej sile, na przykład wodospad albo lodowa rzeka, i jej dusze się rozpierzchną. Żywiolak to najpotężniejszy demon ze wszystkich.

Wilk wyrwał się Torakowi z rąk i zniknął wśród paproci. Żywiolak, myślał Torak w osłupieniu.

Rozmowa o demonach rozzłościła Włóczęgę na nowo.

–Ach, jak nienawidzą tego, co żyje – jęczał, kołysząc się z boku na bok. – Zbyt jasne, zbyt jasne, wszystkie te lśniące, lśniące dusze! Jak boli! Jak boli! To ich wina, Wilczego Chłopca i Kruczej Dziewczyny! To oni przynieśli to ze sobą do pięknej doliny Włóczęgi!

–Przecież prawie już wyszliśmy z doliny – zauważyła Renn.

–Tak, zobacz – podchwycił Torak. – Jesteśmy już prawie na szczycie...

Włóczęgi nie dało się uspokoić.

–Czemu to zrobili? – krzyczał. – Dlaczego? Włóczęga nie zrobił im nic złego!

– Wzniósł ich łuki nad głowę, chwytając z obu końców, jakby chciał je złamać na dwoje.

Tego było za wiele dla Renn.

–Nie waż się! – krzyknęła. – Nie waż się skrzywdzić mojego łuku!

–Cofnąć się! – ryknął Włóczęga. – Albo połamię je jak gałązki!

–Odłóż je! – wrzasnęła Renn, przyskakując do niego i bezskutecznie próbując dosięgnąć łuków.

Torak musiał działać szybko. Pospiesznie otworzył swoją sakwę z jedzeniem, po czym wyciągnął dłoń w kierunku Włóczęgi.

–Orzechy laskowe! – zawołał. – Orzechy laskowe dla Narika!

Skutek był natychmiastowy.

–Orzechy laskowe – wymruczał Włóczęga. Odrzucił łuki na kamienie, pochwycił orzechy z dłoni Toraka i usiadł. Następnie wyjął z płaszcza kamień i zaczął je rozłupywać.

–Hmm. Dobre. Słodkie. Narik będzie zadowolony.

Renn po cichu chwyciła łuki i otarła je z wilgoci. Podała Torakowi ten, który do niego należał, lecz on nie przyjął. Wpatrywał się w kamień, którego Włóczęga używał do rozłupywania orzechów.

–Kim jest Narik? – zapytał, by Włóczęga nie przestawał mówić, co dawało

okazję lepiej się przyjrzeć kamieniowi. – To twój przyjaciel?

–Włóczęga widzi go zupełnie dobrze – mruknął tamten. – Dlaczego Wilczy Chłopiec nie? Czyżby coś było nie tak z jego oczami? – Włożył dłoń pod płaszcz i wydobył wynędzniałą brązową mysz. Trzymała połówkę orzecha w łapkach i patrzyła na niego z irytacją, że jej przeszkodził w posiłku.

Torak zamrugał oczami. Mysz kichnęła i kontynuowała posiłek.

Włóczęga czule pogłaskał mały, garbaty grzbiet brudnym paluchem.

–Ach, mały wychowanek Włóczęgi.

Porzucony kamień leżał na ziemi. Był wielkości dłoni Toraka: ostry, zakrzywiony pazur z czarnej, połyskliwej skały.

Może tam, gdzie są pazury z kamienia, są również kamienne zęby? Torak zerknął na Renn. Ona także zauważyła. Można było poznać po wyrazie twarzy, że myśli o tym samym. Najstarszy ze wszystkich, kamień, który kąsa. Drugi element Nanuak.

–Ten kamień – zaczął ostrożnie Torak. – Czy Włóczęga zechciałby mi powiedzieć, skąd go ma?

Włóczęga podniósł głowę, ogłupiała od głaskania myszy. Potem jego twarz wykrzywiła się konwulsyjnie.

–Kamienne usta – powiedział. – Długie, złe czasy. Ukrywa się. Wydry go wypędziły, a on nie odnalazł jeszcze swojej pięknej doliny.

Torak i Renn ponownie wymienili spojrzenia. Odważą się zaryzykować kolejny wybuch?

–Czy kamienna istota ma w ustach kamienne zęby? – zapytał Torak.

–Oczywiście – powiedział Włóczęga. – A czym by jadła?

–Gdzie je znajdziemy? – spytała Renn.

–Włóczęga już mówił! W kamiennych ustach!

–A gdzie znajduje się istota o kamiennych ustach?

Raptem twarz Włóczęgi wygładziła się, wydał się naraz bardzo zmęczony.

–Złe miejsce – szepnął. – Bardzo złe. Zabójcza ziemia, która chwyta i połyka. Wokół pełno Wypatrujących. Zobaczą was, choć wy ich nie. Póki nie będzie za późno.

–Powiedz, jak się tam dostać? – poprosił Torak.

A tak w ogóle, to czy może istnieć jakieś kamienne stworzenie? – złościła się Renn. Odkąd straciła kołczan, była w złym nastroju. –Nie mam pojęcia – odpowiedział po raz dziesiąty Torak.

–I co to za stworzenie? Knur? Ryś? Powinniśmy byli zapytać.

–Pewnie by nam nie powiedział.

Renn położyła dłonie na biodrach i potrząsnęła głową.

–Robiliśmy wszystko, co nam kazał. Szliśmy całe dwa dni. Pokonaliśmy trzy doliny. Potem wzdłuż strumienia, o którym wspominał. Ciągle nic. Myślę, że chciał się nas pozbyć i tyle.

Ta sama myśl świtowała również Torakowi, ale nie chciał się do tego przyznać. Mgła nie rozwiewała się od dwóch dni. Była nieprzyjemna. Podobnie jak wszystko w tym miejscu.

Po usilnych perswazjach Włóczęga zwrócił im resztę broni i pokazał, jak mają iść. Podążając za jego wskazówkami, oddalili się od „strumienia u stóp kamienistego, szarego wzgórza” i zaczęli wspinać ścieżką, która wiała się ku szczytowi. Wszystko wokół wydawało się martwe i przeniknięte grozą. Karłowate brzozy majaczyły we mgle. Tu i ówdzie dostrzegali błysk nagiej skały – w miejscach, gdzie wzgórze zostało wytarte przez wiatr. Jedyнным dobiegającym ich uszu dźwiękiem było przypominające młotek „czak, czak” dzięcioła ostrzegającego rywali, by trzymali się od niego z dala.

–Nie chce nas tutaj – stwierdziła Renn. – Może poszliśmy w niewłaściwą stronę.

–Gdyby tak było, Wilk by nam powiedział. Renn nie wyglądała na przekonaną.

–Ciągle w to wierzysz?

–Tak – odrzekł Torak. – Wierzę. W końcu gdyby nas nie zaprowadził do doliny Włóczęgi, nie zobaczylibyśmy kamiennego pazura i nie dowiedzieli się niczego o kamiennym zębie.

–Być może. Wciąż jednak myślę, że zabrnęliśmy zbyt daleko na wschód. Zbliżyliśmy się za bardzo do Wysokich Gór.

–Skąd wiesz, skoro nie sposób niczego zobaczyć z odległości dziesięciu kroków?

–Czuję je. To mroźne powietrze... Ono nadciąga z lodowej rzeki.

Torak zatrzymał się i obrzucił dziewczynę zdumionym spojrzeniem.

–Jakiej lodowej rzeki?

–Tej, która płynie u podnóża gór.

Zacisnął zęby. Drażniło go coraz bardziej, że zawsze jest tym, który wie najmniej.

Szli pod górę w milczeniu, i wkrótce nawet stukanie dzięcioła pozostawili za sobą. Torak z niepokojem uświadomił sobie, jak wiele robią hałasu – jego plecak trzeszczał, grzechotały kamyki, usuwające się spod nóg Renn. Wyczuwał, że kamienie nasłuchują, a poskręcane drzewa przestrzegają milcząco przed dalszą podróżą.

Nagle Renn zawróciła i podbiegła do niego.

–Źle zrozumieliśmy! – wydyszała przerażona.

–Jak to?

–Przybysz nie powiedział ani razu, że to jest kamienne stworzenie! To myśmy tak cały czas mówili. On tylko wspominał o kamiennych ustach! – Chwyła Toraka za ramię i pociągnęła na górę.

Teren zrobił się płaski, ścieżka zniknęła. Torak przystanął nagle w oparach mgły. Kiedy dotarło doń, na co patrzy, poczuł rozlewającą się po całym ciele grozę.

Nad nimi wznosiła się ściana skalna, szara jak burzowa chmura. Na dole, strzeżona przez samotny cis, niczym bezgłośny krzyk, ziała ciemnością jaskinia: rozdziawione kamienne usta.

–Nie możemy tam wejść – szepnęła Renn.

–Musimy... ja muszę – powiedział Torak. – To kamienne usta, o których mówił Włóczęga. Tam znalazł kamienny pazur. Może ja znajdę tam kamienny ząb.

Z bliska kamienne usta okazały się mniejsze, niż początkowo sądził: spowite w cieniu półkole sięgające co najwyżej do ramienia. Położył dłoń na kamiennej wardze i zajrzał do środka.

–Bądź ostrożny – ostrzegła go Renn.

Podłoże wewnątrz opadało stromo w dół. Ze środka ciągnęło chłodem: nieprzyjemny powiew przypominał oddech jakiegoś pradawnego stworzenia, które nigdy nie widziało słońca.

„Złe miejsce”, mówił Włóczęga. „Bardzo złe miejsce. Mordercza ziemia, która chwyta i połyka. Wszędzie pełno Wypatrujących.”

–Nie ruszaj ręką – powiedziała stojąca obok Renn.

Torak podniósł wzrok i zobaczył z przerażeniem, że jego palce znajdują się o włos od dużej, koślawej ręki, wyłobionej młotem głęboko w skale. Prędko zabrał swoją.

–To ostrzeżenie – szepnęła Renn. – Widzisz trzy paski nad środkowym palcem? To linie mocy, dla odegnania zła. – Przyjrzała się z bliska. – Stare. Bardzo stare. Nie możemy wejść do środka. Tam coś jest.

–Co takiego? – spytał Torak. – Co tam jest?

Potrząsnęła głową.

–Nie mam pojęcia. Może drzwi do Zaświatów. Ale to musi być coś bardzo złego, jeśli ktoś wyłobił tutaj tę dłoń.

Torak zastanowił się przez chwilę.

–Wydaje mi się, że nie mam wyboru. Pójdę. Poczekaj tu na mnie.

–Nie! Jeśli ty pójdziesz, ja też...

–Wilk nie może pójść ze mną, nie wytrzymałby tego smrodu. Zostań tu z nim.

Jeśli będę potrzebował pomocy, zawołam.

Rozpoczął przygotowania. Odłożył łuk i kołczan pod cis, obok rzucił plecak, śpiwór i bukłak. Odpiął toporek od pasa. W ciemnościach mógł mu się przydać jedynie nóż. Wreszcie odciął kawałek skóry na smycz dla Wilka. Ten wiercił się i wrywał, aż w końcu Torak zdołał mu wyjaśnić, że musi zostać z Renn, która załagodziła sytuację, wyciągając garść suszonych borówek z sakwy. Torak nie wiedział jednak, jak dać Wilkowi do zrozumienia, że wróci. Wyglądało na to, że w wilczej mowie nie da się mówić o przyszłości.

Renn dała mu gałązkę jarzębiny dla ochrony, oraz rękawiczkę ze skóry łososia na sznurku.

–Pamiętaj – powiedziała – jeśli odnajdziesz kamienny ząb, nie dotykaj go gołymi rękami. Lepiej też zostaw mi woreczek z oczyma rzeki.

Miała rację. Nie sposób było przewidzieć, co się stanie, jeśli weźmie ze sobą Nanuak do jaskini.

Z niejasnym poczuciem, że pozbywa się niechcianego brzemienia, Torak wręczył jej woreczek ze skóry kruka, a ona przywiązała go sobie do pasa. Wilk przypatrywał się temu wszystkiemu, strzygąc uszami, tak jakby, pomyślał Torak, woreczek czynił jakiś hałas.

–Potrzebujesz światła – orzekła Renn, zadowolona, że może się zająć czymś konkretnym.

Wyjęła z plecaka dwie świece: obrane kawałki sitowia zanurzone w jelenim łoju i wysuszone na słońcu. Za pomocą krzesiwa zapaliła odrobinę kory jałowca, i na jednej ze świec zapłonęło światełko życia: jasny, równy, uspokajający płomień. Torak poczuł ogromną wdzięczność.

–Jeśli będziesz potrzebować pomocy, krzycz – powiedziała, klękając i przytulając się do Wilka, żeby powstrzymać drżenie. – Przybiegniemy.

Torak skinął głową. A potem schylił się i zniknął w kamiennych ustach.

Wymacał przed sobą ścianę. Była obślizgła, jak martwe mięso. Ruszył przed siebie, szurając nogami, by wymacać drogę. Płomień świcy drżał, wkrótce ledwie pełgał. Zapach stęchlizny unosił się w powietrzu, kłując w nozdrza.

Po kilku niepewnych krokach trafił na skałę. Jaskinia zwężała się w tym miejscu w wąską gardziel: Torak musiał odwrócić się bokiem, by się przez nią przecisnąć. Zamknął oczy i wsunął się w wąskie przejście. Miał wrażenie, że jaskinia go połyka. Nie mógł oddychać. Wciąż miał przed oczami kamienną ścianę, pamiętał przytłaczające wrażenie, jakie na nim wywarła.

Powietrze ochłodziło się. Torak był wciąż w tunelu, który stał się już nieco szerszy i skręcał ostro w prawo. Zerknąwszy za siebie, Torak stwierdził, że nie widzi już dziennego światła. Zniknęło, podobnie jak Renn i Wilk.

W miarę jak posuwał się naprzód tunelem, czuł wokół coraz większy zaduch. Nie słyszał niczego poza własnym oddechem i nic nie widział, prócz migotliwych blasków świecy odbijających się na czerwonych skałach.

Nagle z lewej strony owionął go zimny powiew i Torak niemal stracił równowagę. Zagrzechotały kamyki i zaraz wszystko ucichło.

Po lewej stronie nie było już ściany. Stał na wąskim, sterczącym w ciemność występie skalnym. Gdzieś z dołu, z wielkiej odległości dobiegał zwielokrotniony echem plusk wody. Jeden fałszywy krok i zsunąłby się z krawędzi.

Kolejny zakręt – tym razem w lewo – i kamień pod stopą Toraka poruszył się. Z okrzykiem przerażenia chwycił się nierówności w skale i złapał równowagę w ostatniej chwili.

Na dźwięk jego głosu coś się gdzieś poruszyło. Zamarł.

–Torak? – dobiegł go z wielkiej oddali głos Renn.

Nie odważył się zawołać. Cokolwiek poruszyło się w ciemności, teraz na powrót znieruchomiło, lecz była to potworna, przyczajona nieruchomość. Torak wiedział, że coś tam jest. „Wszędzie pełno Wypatrujących. Zobaczą was, choć wy ich nie zobaczycie. Dopóki nie będzie za późno.”

Zmusił się, by iść dalej. W dół, ciągle w dół. Smród nadciągał falami. Oddychaj przez usta, odezwał się głos w jego głowie. Robili tak z Tata, kiedy natrafiali na miejsce, w którym spoczywało martwe, rozkładające się zwierzę, albo gdy wchodzili do jaskiń zamieszkałych przez nietoperze. Zaczął oddychać ustami, i smród stał się możliwy do wytrzymania, choć ciągle gryzł w oczy i gardło.

Grunt raptownie wyrównał się i Torak wyczuł, że wyszedł na otwartą przestrzeń. Przyćmione światło dobywało się z niewiadomego miejsca – mógł dostrzec, że znajduje się w obszernej, ocienionej grocie. Stęchłe wyziewy pozbawiały go niemal przytomności. Znalazł się w ociekających wilgocią, zatrutych oparami jelitach ziemi.

Występ, na którym stał, tutaj się kończył, a podłoże było dziwacznie pofalowane. W samym sercu jaskini lśnił niczym czarny lód wielki, płaski u szczytu głaz. Wydawało się, że stoi w tym miejscu nietknięty od tysiący lat. Nawet z odległości dwudziestu kroków Torak wyczuwał bijącą od niego moc.

To tutaj Włóczęga musiał znaleźć swój kamienny pazur. To dlatego przy wejściu do jaskini wyłobiono ostrzegawczy znak dłoni. Tego właśnie strzegli Wypatrujący: drzwi do Zaświatów.

Torak nie był w stanie zrobić ani kroku. Jak wtedy, gdy budził się tak ociężały snem, że poruszenie nawet jednym palcem wydawało się niemożliwe.

Żeby się uspokoić, położył wolną dłoń na rękojeści noża. Ściągnął, którym

była obciążnięta, sprawiało wrażenie lekko ciepłego, co dodało Torakowi odwagi. Zszedł do jaskini.

Gdy to zrobił, krzyknął z odrazą. Podłoże zapadało się pod jego stopami: cuchnąca miękkość ciągnęła go w dół. „Mordercza ziemia, która chwyta i połyka...”

Jego krzyki odbijały się echem od ścian, a gdzieś wysoko usłyszał ukradkowy ruch. Coś ciemnego oderwało się od sufitu i frunęło w stronę Toraka.

Nie było gdzie się ukryć ani dokąd uciec. Miękkość oblepiła buty Toraka na podobieństwo mokrego piasku. Gwałtowny powiew i to coś rzuciło się na niego, tłusta sierść zatkała usta i nos, ostre szpony szarpały za włosy. Jęcząc z przerażenia, Torak zamachnął się na cichego napastnika.

Ten w końcu odleciał z pojedynczym, skórzastym łopotem. Ale Torak zdawał sobie sprawę, że nie pokonał stwora. Wypatrujący przyszedł do niego po prostu po to, żeby się przekonać, czym Torak jest. Kiedy się dowiedział, odszedł.

Ale czym był stwór? Nietoperzem? Demonem? Ile podobnych mu było jeszcze w tym miejscu?

Torak brnął dalej przez lepłą ciecz. Kiedy pokonał już połowę odległości dzielącej go od kamienia, potknął się i upadł. Smród był nie do zniesienia. Torak skapał się w zatykającej czerni, nic nie widział, nie mógł myśleć. Nawet światło świecy zrobiło się czarne – czarny płomień jarzący się nad nim.

Wstał z trudem i otrząsnął się jak pływak chwytający powietrze. Umysł uspokoił mu się nieco. Płomień znów zmienił kolor na żółty.

Dotarł do kamienia. Pradawną gładkość żłobiło sześć pazurów ułożonych w kształt spirali, z przerwą w miejscu, z którego Włóczęga zabrał siódmy pazur. Na samym środku leżał pojedynczy, czarny ząb.

Najstarszy ze wszystkich kamień, który kąsa – drugi element Nanuak.

Pot lał się Torakowi po plecach. Zastanawiał się, jakie moce uwolni, dotykając zęba.

Wyciągnął dłoń, po czym cofnął ją, przypominając sobie ostrzeżenie Renn: „Nie dotykaj Nanuak gołymi rękami.”

Gdzie rękawiczka? Musiał ją zgubić... W nikłej poświacie świecy zaczął przeszukiwać pomieszczenie, macając ręką w śmierdzącej mazi. Znowu zakręciło mu się w głowie. Znów płomień pociemniał...

Znalazł rękawiczkę w ostatniej chwili i przytroczył do pasa. Sięgnął po ząb.

Świeca rzuciła blask na ścianę jaskini za kamieniem – i odbiła się w tysiącach par oczu.

Torak zamarł z ręką nad zębem i poruszył wolno świecą w powietrzu. Płynny blask oczu. Na ścianach roilo się od Wypatrujących. Gdziekolwiek dotarła

poświata, zaczęli się klębić i unosić jak padlina pożerana przez czerwie. Jeśli weźmie ząb, rzucą się na niego.

Nagle stało się wszystko naraz.

Z oddali dobiegło ostrzegawcze szczekanie Wilka Renn krzyknęła:

–Torak! On nadchodzi! Wypatrujący pomknęli w jego stronę. Świeca zgasła.

Coś uderzyło go w plecy i runął na kamień. Renn krzyknęła raz jeszcze:

–Torak! Niedźwiedź!

Renn popędziła na koniec ścieżki z kołczanem Toraka w ręku. Potknęła się o korzeń drzewa, rozsypując strzały. Panika ścisnęła ją za gardło. Co robić? Co robić? Ledwie chwilę wcześniej chodziła tam i z powrotem, a zgraja dzwońców objadała soczyste, różowe jagody cisu, kiedy Wilk zaczął szarpać smycz, warczeć i poszczekiwać. Torak by go zrozumiał, ale Renn tylko się zmartwiła.

Wtedy dzwońce poderwały się z drzewa roztrzepotaną chmurą, a ona spojrzała ze szczytu pagórka w dół. Mgła przerzedziła się w jednym miejscu, dzięki czemu Renn miała widok na strumień pomykający obok kępy świerków i wielki czarny głaz leżący obok. Potem głaz się ruszył.

Renn znieruchomiała ze zgrozy. Patrzyła, jak niedźwiedź staje na tylnych łapach. Był wyższy od świerków. Ogromny łeb obracał się powoli, gdy potwór wciągał w nozdrza powietrze. Wyczuł jej zapach i opadł na cztery łapy.

Właśnie wtedy Renn podbiegła do jaskini i krzykiem ostrzegła Toraka, ale odpowiedziało jej tylko echo.

Teraz mgła na powrót zgęstniała, a Renn rzuciła się zbierać strzały, wyobrażając sobie niedźwiedzia wspinającego się na wzgórze, by ją dopaść. Wiedziała, jak szybko potrafią poruszać się niedźwiedzie; będzie tu za kilka sekund.

Ściana skalna była nazbyt stroma, żeby się po niej wspiać; poza tym Renn nie mogła zostawić Wilka. Pozostawało zatem ukryć się w jaskini, choć wszystko w niej aż krzyczało, by nie wchodzić do środka. Będą tam odcięci, jak zające w sidłach, nigdy się nie wydostaną.

Wilk nadal rozpaczliwie szarpał smycz. Renn oprzytomniała nieco. Szczeniak parł w stronę jaskini – w jednej chwili pojęła, że miał rację. Tam był Torak. Będą walczyć razem.

Zanurkowała do środka, ciągnąc za sobą plecaki i śpiwory. Ciemność ją oślepiła. Wpadła na litą skałę i uderzyła się w głowę.

Szukając bez tchu, odkryła, że jaskinia zwęża się gwałtownie w ciasną szczelinę. Wilk wszedł już do niej, ciągnąc ją za sobą. Odwróciła się i bokiem zaczęła posuwać do przodu – prędko, prędko – potem opadła na kolana i sięgnęła przez otwór, by wciągnąć wyposażenie.

Przeciskając przez szczelinę plecaki, łuki i kołczan, poczuła przyływ nadziei. Może otwór jest zbyt wąski dla niedźwiedzia? Może uda im się wytrwać...

Bukłak został jej wyrwany z siłą, która rzuciła Renn o ścianę szczeliny i rozlała się bólem po całym ramieniu. Oszołomiona parła bokiem dalej, ciągnąc za sobą Wilka...

Niedźwiedź nie potrafi się tak szybko przemieszczać, pomyślała w odrętwieniu.

Potężny ryk rozległ się w jaskini. Renn poczuła, że skóra jej cierpnie. Niedźwiedź nie przecisnę się przez szczelinę, powtarzała. Tylko stój spokojnie. Stój bardzo, bardzo spokojnie.

Z głębi jaskini dobiegł ją krzyk:

–Renn!

Czy Torak wzywał pomocy, czy szedł jej na pomoc? Nie wiedziała. Nie mogła odpowiedzieć. Mogła jedynie skulić się wraz z Wilkiem w wydrążeniu, choć zdawała sobie sprawę, że jest zbyt blisko szczeliny – zaledwie dwa kroki od niej – ale nie miała siły się ruszyć. Jakaś siła przykuła ją do tego miejsca. Nie mogła oderwać wzroku od wąskiego paska dziennego światła.

Dzienne światło zgasło.

Zdając sobie sprawę, że to najgorsze, co może zrobić, Renn wychyliła się i wyjrzała przez szczelinę. Krew huczała jej w głowie. Przez mgnienie oka widziała koszmarny połysk ciemnego futra falującego pod wpływem niewyczuwalnego powiewu, błysk długich, okrutnych szponów ociekających czarną krwią.

Ryk zatrzęsł jaskinią. Renn z jękiem zatkała sobie uszy pięściami, gdy w nią uderzył i ciągnął się w nieskończoność, aż poczuła, że czaszka jej zaraz pęknie...

Cisza; tak samo uderzająca, jak ryk. Odjęła pięści od uszu i posłyszała szept piasku. Oddech Wilka. Nic więcej.

Powoli, przerażona tym, co robi, podczołgała się do szczeliny, ciągnąc opierającego się szczeniaka za sobą.

Znów zobaczyła światło dnia. Szarą twarz z kamienia. Cis usiany owocami. Ani śladu niedźwiedzia.

Wibrujące w uszach warknięcie. Tak bliskie, że słyszała mokre kłapanięcie szczęk, wyczuła smród jatki. Światło dzienne znów znikło i jakieś oko przykuło jej wzrok. Czarniejsze niż bazalt, a jednak gorejące, przyciągało ją – chciało jej.

Szarpnęło nią w przód.

Wilk pociągnął do tyłu, przełamując urok, i Renn w ostatniej chwili usunęła się z drogi zabójczym szponom, które zaryły się w ziemię tam, gdzie klęczała.

Niedźwiedź znów ryknął. Raz jeszcze skuliła się w wydrążeniu. Dobiegł ją

nowy dźwięk: stukot kamieni, jęki konającego drzewa. Niedźwiedź drapał wściekle skałę przy wejściu do jaskini, wrywając cis z korzeniami i rozrywając na sztuki.

Z jękiem wcisnęła się w wydrążenie.

Skała poruszyła się pod naciskiem jej ramienia. Odskoczyła z krzykiem.

Od drugiej strony usłyszała łoskot kruszonych kamieni i ziemi odrzucanej na bok z zabójczą zawziętością.

Zrozumiała, co się dzieje. Skała tworząca ścianę wydrążenia nie była, jak przedtem myślała, częścią samej jaskini, lecz osobnym jęzorem skalnym sterczącym z ziemi. Niedźwiedź podkopywał ją pazurami: wykopywał ich jak mrówki drzewne z kopca.

Oblał ją zimny pot. Spojrzała na Wilka.

Zobaczyła zdumiona, że nie jest już szczeniakiem. Głowę trzymał nisko przy ziemi, a jego oczy były utkwione w czymś za skałą. Czarne wargi uniosły się z warkotem, odsłaniając potężne kły.

Coś w niej stwardniało.

–Nie będziemy jak mrówki drzewne – szepnęła.

Dźwięk własnego głosu dodał jej odwagi.

Odwiązała smycz, wypuszczając Wilka na wolność: jeśli nie jej i nie Torakowi, to może jemu uda się uciec. Sięgnęła po łuk. Dotyk chłodnego, gładkiego cisowego drewna dodał jej sił. Wstała.

Skup się na celu, powiedziała sobie, przypominając sobie wszystkie lekcje, których udzielił jej Fin-Kedinn. To najważniejsze. Musisz tak się na nim skoncentrować, żeby wypalić w nim dziurę... Prawe ramię trzymaj luźno. Siła przychodzi z grzbietu, nie z ramienia...

–Dwadzieścia strzał – mruknęła. – Powinnam zdążyć mu kilka wpakować, zanim mnie dopadnie.

Wyszła z wydrążenia i przyjęła właściwą pozycję.

Torak przedzierał się ku półce skalnej, opędzając się od rojących się wokół niego Wypatrujących. Pazury orały mu twarz i szarpały za włosy. Smrodliwe skrzydła zatykały usta i nos. Jakoś udało mu się wyciągnąć rękawiczkę, którą dała mu Renn, i chwycić kamienny ząb. Był cięższy, niż można było przypuszczać. Przyciągnął do siebie rękawiczkę z zębem w środku i wsunął za kaftan na piersi.

–Renn! – wrzasnął, odpychając się od głazu.

Błoniaste skrzydła zdusiły jego krzyk.

Torował sobie drogę przez zaduch, ale nie miał już świecy i nie mógł dostrzec nawet własnej ręki.

Gdzieś daleko, u góry rozlegało się dzikie skomlenie Wilka: Gdzie jesteś? Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo!

Z wysiłkiem ruszył w kierunku, z którego dobiegał głos. Wypatrujący kłębili się wokół niego, wpychając go w cuchnącą maź.

Okropne obrazy cisnęły mu się do głowy. Zobaczył Wilka i Renn martwych – jak Tatę. Dlaczego kazał im zostać na górze, w „bezpiecznym” miejscu, skoro przez cały czas to właśnie tam groziło im największe niebezpieczeństwo?

Czując, że wzbiera w nim wściekłość, wyciągnął nóż z pochwy i zamachnął się na Wypatrujących. Unieśli się nieco, by uniknąć ostrza.

–Ach, więc boicie się noża, co? – zawołał. – Chodźcie po jeszcze! – Zamachnął się ponownie, i znowu nieco odstępili, zbili się w ciemną chmurę tuż poza jego zasięgiem. Rękojeść w jego dłoni zrobiła się gorąca. Jęcząc z wysiłku, brnął dalej przez szlam. Łydki Toraka natrafiły na litą skałę. Dotarł do półki skalnej.

–Idę! – zawołał, wspinając się na półkę i ruszając pod górę.

Ryk zatrzęsł jaskinią, powalając go na kolana. Wypatrujący podnieśli się chmarą i zniknęli.

Jeszcze gorsza okazała się cisza, gdy przebrzmiały ostatnie echa. Torak uświadomił sobie, że kłęczy na skale; kamienny ząb za kaftanem sprawiał mu ból. Dźwignął się na nogi i pobiegł półką w górę. Była taka stroma – zbyt stroma. Dlaczego z góry nie dochodziły żadne dźwięki? Co się tam działo?

Wspinał się wyżej i wyżej, aż stracił czucie w kolanach, a jego oddech stał się chrapliwy. Wreszcie pokonał ostatni zakręt i oślepiło go światło słoneczne.

Pięć kroków dzieliło go od wyjścia z jaskini, które wyglądało na szersze, niż zapamiętał. Szczelina, przez którą się przeciskał, stała otworem, a przed nią stała Renn, mała, wyprostowana postać, niewiarygodnie odważna, mierząc ostatnią strzałą do jakiegoś mrocznego kształtu majaczącego nad nią.

Przez jedną chwilę Torak znalazł się na powrót przy Tacie w noc ataku, sparaliżowany złościwością bijącą z opętanych przez demona ślepiów...

–Nie! – zawołał.

Renn wypuściła strzałę. Niedźwiedź odtrącił ją jednym uderzeniem szponów. Już ruszał naprzód, by zabić, gdy raptem z cienia wyskoczył Wilk, i skoczył – nie na niedźwiedzia, lecz na Renn. Jednym kłapnięciem potężnych szczęk oderwał woreczek ze skóry kruka od jej paska – i pędem wybiegł z jaskini. Niedźwiedź machnął łapą, wbijając pazury w ziemię na głębokość dłoni w miejscu, gdzie przed chwilą był szczeniak.

–Wilku! – zawołał Torak, rzucając się naprzód.

Wilk zniknął we mgle, unosząc w pysku woreczek.

Niedźwiedź odwrócił się z przerażającą zwinnością i pognął za nim.

–Wilku! – krzyknął raz jeszcze Torak.

Otoczyła ich mgła, jakby na drwinę. Niedźwiedź zniknął. Wilk też.

Gdzie jesteś? – samotny skowyt Toraka odbijał się echem od kamiennej ściany. Gdzie jesteś? – zawyły w odpowiedzi wzgórza.

Stara rana otworzyła się w piersi. Najpierw Tata, a teraz Wilk. Błagam, tylko nie Wilk...

Renn stała przy wejściu do jaskini, mrugając oczyma.

–Czemu zdjęłaś mu smycz? – zawołał.

Zawahała się.

–Musiałam. Musiałam go wypuścić.

Torak krzyknął i zaczął przeszukiwać pobojobowisko.

–Co robisz? – spytała Renn.

–Szukam plecaka. Idę szukać Wilka.

–Ale niedługo zrobi się ciemno!

–Więc mamy tak tutaj stać i czekać?

–Nie! Pozbieramy nasze rzeczy, zbudujemy szałas i rozpalimy ognisko. A potem poczekamy. Będziemy czekać, aż Wilk nas odnajdzie.

Torak przełknął odmowę. Dopiero teraz zauważył, że Renn drży. Miała na policzku krwawą szramę, a nad okiem siniaka wielkości gołębiego jaja.

Zrobiło mu się wstyd. Renn stawiała czoło niedźwiedziowi. Wystarczyło jej nawet odwagi, by do niego strzelać z łuku. Nie powinien był na nią krzyczeć.

–Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem... Masz rację. Nie wytropiłbym go w ciemności.

Renn opadła ciężko na kamień.

–Nie miałam pojęcia, że on będzie taki... Nigdy nie myślałam, że będzie tak... – zakryła usta dłońmi.

Torak wygrzebał strzałę z rumowiska. Drzewce było złamane.

–Trafiłaś go? – zapytał.

–Nie wiem. Nie sądzę, by to miało jakieś znaczenie. Strzały nie są mu w stanie zaszkodzić. – Potrząsnęła głową. – Już mnie prawie dopadał, kiedy nagle zaczął gonić za Wilkiem. Dlaczego?

Torak cisnął na bok złamane drzewce.

–Czy to ważne?

–Być może – zerknęła na niego. – Masz kamienny ząb?

Niemal o nim zapomniał. Teraz, sięgając za pazuchę i wyciągając rękawiczkę, chciał się go tylko pozbyć. Przez Nanuak Wilk mógł być martwy. Nie będzie już przyjacielskich poszturchiwań co rano; hałaśliwych zabaw w

chowanego... Torak przygryzł pięść, usiłując zdusić lęk. Nie może stracić Wilka...

Renn wzięła rękawiczkę i obróciła ją w palcach.

–Mamy drugi element Nanuak – powiedziała w zamyśleniu. – Ale straciliśmy pierwszy. Czemu Wilk ją porwał?

Torak z trudem skupił myśli na jej słowach. Coś majaczyło mu w pamięci.

–Pamiętasz, jak znalazłem oczy rzeki – zapytał. – Było tak, jakby Wilk mógł je usłyszeć. Albo wyczuć w jakiś inny sposób.

Renn zmarszczyła czoło.

–Sądysz, że niedźwiedź też to potrafi?

–„Wszystkie te lśniące, lśniące dusze” – wymruczał. – To słowa Włóczęgi. Demony nienawidzą wszystkiego, co żywe, nie znoszą blasku dusz.

–A jeśli dusze zwyczajnych stworzeń są dla nich zbyt jasne – powiedziała Renn, po czym wstała i zaczęła się przechadzać – to o ile jaśniejsza, bardziej oślepiająca musi być Nanuak!

–Dlatego niedźwiedź cię zaatakował, miałaś oczy rzeki...

–I dlatego Wilk porwał woreczek. Bo wiedział. Bo... – Zatrzymała się i spojrzała na Toraka. – Bo chciał od nas odciągnąć niedźwiedzia. Och, Torak. On uratował nam życie.

Chłopak podszedł chwiejnie do ścieżki. Mgła przerzedzała się wreszcie, zobaczył pod sobą niezmierny las, ciągnący się daleko na zachód. Czy Wilk miał tam jakiegokolwiek szanse przeciw niedźwiedziowi?

–Wilki są sprytniejsze od niedźwiedzi – powiedziała Renn.

–To tylko szczeniak, Renn. Nie ma jeszcze nawet czterech miesięcy.

–Ale to też przewodnik. I jeśli ktokolwiek może znaleźć drogę, to właśnie on.

Wilk pędził pomiędzy brzoźami, wiatr rozwiewał mu ogon, a woreczek z kruczej skóry, który ścisnął w pysku, lśnił i śpiewał. Gdzieś z daleka dobiegło go samotne wycie Wysokiego Bezogona.

Wilk bardzo chciał odpowiedzieć, lecz nie mógł. Wiatr gnał w jego stronę zapach demona. Wilk czuł jego wściekłość i potworny głód, słyszał jego niestrudzony dech. A najsilniej wyczuwał nienawiść: nienawiść do niego i przedmiotu, który niósł w pysku.

Jednakże Wilk wiedział, pełen prostej, jasnej radości, że demon nigdy go nie dopadnie. Był szybki, ale on jeszcze szybszy.

Nie czuł się już jak szczeniak, który musi czekać na biednych, powolnych bezogonów, by się z nim zrównali. Był teraz wilkiem – mknął pomiędzy drzewami chyżym wilczym galopem, który może trwać wiecznie. Ufał sile swych nóg i giętkości grzbietu; zręczności, która pozwalała mu przy pełnej prędkości skręcać

na jednej łapie. O nie, demon nigdy go nie doścignie!

Wilk zatrzymał się, by ugasić pragnienie w hałaśliwej małej Wilgoci, upuszczając na moment woreczek na ziemię. Zaraz jednak go chwycił i ruszył ponownie biegiem pod górę, ku Wielkiemu Białemu Zimnu, którego zapach pamiętał tylko ze snów.

Nowy zapach wyrzucił tamten z jego głowy: wkraczał na terytorium stada obcych wilków. Co kilka kroków natrafiał na ich znaki. Musi być ostrożny. Jeżeli go zobaczą, mogą zaatakować. W razie gdyby musiał zostawić własny zapach, odczeka, aż natrafi na kolejną małą Szybką Wilgoć, i zostawi go w niej, zamiast znaczyć drzewo. Zapach rozplynie się, i ani obce wilki, ani demon go nie wyczują.

Nadszedł Mrok. Wilk kochał Mrok. W Mroku zapachy i dźwięki były wyraźniejsze, a on mógł widzieć niemal równie dobrze jak podczas Światła.

Gdzieś przed nim obce stado zaczęło wieczorną pieśń. Wilk posmutniał. Przypomniawszy sobie radosne wycie z własnym stadem; radosne wzajemne powitania po przebudzeniu. Lizanie po pyskach, ocieranie się; uśmiechy i zabawę, wzajemne zagrzewanie się do polowania.

Na myśl o swoim stadzie Wilk szybko zaczął się męczyć. Czuł każdy kamień pod łapą tak dotkliwie, jak nigdy przedtem. Poczuł ból w łapach.

Ogarnął go strach. Nie był w stanie biec w nieskończoność. Nie mógł w ogóle biec dalej. Wysoki Bezogon był bardzo daleko, a on znajdował się na terytorium obcych wilków. Demon tropił go niestrudzenie wśród Mroku.

Torak przyniósł wszystkie ocalałe rzeczy do szałas, który sklecił z gałęzi cisu, i kopnął ognisko, posyłając w niebo snop iskier. Czekanie było okropne. Torak wył raz po raz od zmierzchu. Wiedział, że ryzykuje, że może ściągnąć im na kark niedźwiedzia, ale Wilk był ważniejszy. Gdzie się podziewał? Noc była chłodna i gwiazdzista. Nawet nie spoglądając w górę, Torak czuł czerwone oko Wielkiego Tura, które spozierało na niego. Smakowało jego strach.

Renn wynurzyła się z ciemności, niosąc naręcze liści i kory.

–Długo cię nie było – rzekł szorstko.

–Musiałam znaleźć, czego mi było trzeba. Po Wilku ani śladu?

Potrząsnęła głową.

Renn uklękła przy ognisku i rozłożyła swój ładunek na ziemi.

–Słyszałam dźwięk rogów, kiedy zbierałam. Rogów z brzoźowej kory.

–Co? Gdzie? – przeraził się Torak.

Zrobiła ruch głową ku zachodowi.

–Dochodził z bardzo daleka.

–Czy to... Fin-Kedinn?

Skinęła głową.

Torak zacisnął powieki.

–Myślałem, że już zrezygnował.

–On nigdy nie rezygnuje – powiedziała Renn.

W jej głosie dźwięczała nutka dumy, która bardzo zirytowała Toraka.

–Zapomniałaś już, że on chce mnie zabić? – zapytał. – Słuchający napoi

Górę krwią swego serca.

Odwróciła się do niego.

–Oczywiście, że nie zapomniałam! Ale martwię się o nich! Jeżeli tutaj nie ma niedźwiedzia, to jest tam, gdzie i oni. Inaczej dlaczego Fin-Kedinn dałby w róg?

Torak poczuł się źle. Renn zmartwiła się, więc on też. Kłótnia w niczym im nie pomoże.

Odwiązał od pasa gwizdek z kości głuszca, który zrobił, kiedy spotkał Wilka.

–Masz – wyciągnął rękę. – Teraz i ty będziesz mogła przywoływać Wilka.

Popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

–Dzięki.

Zapadła cisza. Po chwili Torak zapytał, do czego potrzebne jej zioła.

–Chodzi o kamienny ząb. Musimy go jakoś ukryć przed niedźwiedziem.

Inaczej znowu nas wytropi.

Tak jak teraz tropi Wilka, pomyślał Torak. Ból w piersi stał się bardziej dotkliwy.

–Jeśli liście jarzębiny i woreczek nic nie dały – powiedział – dlaczego kora i piołun miałyby coś dać?

–Bo chcę przyrządzić coś silniejszego. – Przygryzła wargę. – Staralam się sobie przypomnieć dokładnie, co robiła Saeunn. Zawsze chciała mnie nauczyć Magii, a ja zawsze wolałam polowanie. Szkoda, że nie słuchałam jej uważniej.

–Ciesz się, że możesz zrobić cokolwiek – mruknął Torak.

–A jeśli mi się nie uda?

Nie odpowiedział. Czuł drwiące spojrzenie czerwonego oka na sobie. Nawet jeśli Wilk odnajdzie drogę powrotną, niedźwiedź nadciągnie tu za nim, zwabiony oczami rzeki. Zgubiłby trop jedynie wtedy, gdyby Wilk porzucił woreczek z Nanuak, co oznaczałoby koniec nadziei na zniszczenie demona.

Musiałoby być jakieś wyjście z tej sytuacji, lecz Torak go nie widział.

Demon był teraz zbyt daleko z tyłu, by wyczuć kruczą skórę, ale wciąż podążał śladem Wilka po jego zapachu i nie zamierzał zrezygnować. Kiedyś będziesz musiał zwolnić, mówiły Wilkowi obolałe łapy, a wtedy demon cię dopadnie. Obce stado dawno już przestało wyc i wyruszyło na łowy, gdzieś daleko w Górach. Wilk tęsknił za tamtymi głosami. Czuł się naprawdę samotny.

Wiatr się zmienił, do nozdrzy Wilka doszedł nowy zapach. Renifery. Wilk nigdy na nie nie polował, ale znał dobrze ich woń, gdyż jego matka często przynosiła mu gałęzie, które wyrastają z ich głów, wraz ze skórą zwisającą z nich w smakowitych strzępach. Teraz, wyczuwając zapach zwierzyny dochodzący z sąsiedniej doliny, Wilk poczuł żądzę krwi, i to napełniło jego członki nowymi siłami, a wraz z tym pojawiła się nowa nadzieja. Jeżeli uda mu się do nich dotrzeć...

Kiedy wspinał się po zboczu, grzmot niezliczonych racic narastał. Nagle wspaniałe stado zwierząt wystrzeliło ponad jego głową, galopując z uniesionymi wysoko ugałęzionymi łbami i szeroko rozstawionymi potężnymi racicami. Renifery pędziły pomiędzy brzożami jak niepowstrzymana Szybka Wilgoć.

Wilk zakręcił na jednej łapie i skoczył pomiędzy nie, otoczyły go, a on pograżył się w ich piżmowym zapachu. Natarł na niego byk; Wilk uskoczył przed jego gałęziami. Łania parsknęła na niego, by trzymał się z dala od jej źrebięcia, a on zanurkował pomiędzy jej nogami, aby uniknąć dudniących kopyt. Wkrótce jednak samiec wyczuł, że Wilk na nich nie poluje, i zapomniał o nim. Wilk biegł dalej doliną, kryjąc swój zapach pomiędzy reniferami.

Zostawili brzozy za sobą i biegli przez sosnowy las. Kamienie stawały się coraz większe, a drzewa niższe; potem zniknęły zupełnie, gdy stado wylało się strumieniem na kamienisty płaskowyż, jakiego Wilk jeszcze nigdy nie widział.

Zapach wiatru powiedział mu, że ta równina rozciąga się wiele susów w Mroku i że za nią jest Wielkie Białe Zimno. Czym było? Nie wiedział. Ale gdzieś tam znajdowało się miejsce, którego zew czuł jeszcze w matczynej norze i które ciągnęło go do siebie...

Gdzieś daleko za nim zawył demon. Zgubił trop! Wilk, zachwycony, podrzucił woreczek z kruczej skóry wysoko w górę i pochwycił jednym kłapnięciem.

Po jakimś czasie doszedł go inny hałas. Bardzo odległy, choć nie do pomylenia: wysokie, jednostajne nawoływanie Wysokiego Bezogona, które wydawał z siebie, wkładając ptasią kość do pyska!

Potem jeszcze jeden, bardziej nawet ukochany dźwięk: to wył sam Wysoki Bezogon, przyzywając go do siebie. Najwspanialszy dźwięk w Lesie!

Renifery pognały dalej, a Wilk wiedział, że musi zawrócić i ruszyć z powrotem do Lasu. Nie przyszedł jeszcze czas, aby dotrzeć do Wielkiego Białego Zimna i tego, co leży poza nim; musiał wrócić i pomóc Wysokiemu Bezogonowi.

Renn kulila się w swoim śpiworze, rozmyślając, czy wstać, kiedy w wejściu do szałasów pojawił się Torak, sprawiając, że podskoczyła. -Pora zaczynać – rzucił, kucając przy ognisku i podając dziewczynie pasek suszonego jeleniego mięsa. Z jej podkrążonych oczu wywnioskował, że nie spała lepiej niż on.

Usiadła i bez entuzjazmu wzięła do ust kęs dziennego posiłku. Zadrapanie na policzku piekło, bolał ją siniak nad okiem. Ale gorsza od tego wszystkiego była czająca się wokół groza. Nie chodziło tylko o bliskość jaskini czy lęk przed niedźwiedziem. To było coś jeszcze, o czym nawet nie chciała myśleć...

–Znalazłem trop – powiedział Torak, przerywając potok jej myśli.

Zatrzymała się w pół kęsa.

–Dokąd pobiegli?

–Na zachód, z drugiej strony wzgórza, a potem do lasu brzozowego. –

Wyciągnął rękę i rozgrzebał ognisko; jego szczupłą twarz wykrzywił niepokój. – Niedźwiedź był tuż za nim.

Renn wyobraziła sobie Wilka pędzącego przez Las, z niedźwiedziem następującym mu na pięty.

–Torak, zdajesz sobie sprawę, że tropiąc Wilka, będziemy również tropić niedźwiedzia?

–Tak...

–Jeżeli się na niego natkniemy...

–Wiem – przerwał. – Ale mam dość czekania. Czekaliśmy całą noc, i ciągle nic. Musimy go szukać. A przynajmniej ja muszę. Możesz tu zostać...

–Nie! Jasne, że idę z tobą! Tak tylko mówiłam. – Spojrzała na woreczek ze skóry łososia, zawieszony na dachu szałas.

–Sądysz, że zadziała? – spytał Torak, podążając za jej wzrokiem.

–Nie wiem.

Kiedy objaśniała mu czar poprzedniego dnia, wydał mu się bardzo sprytny.

–Kiedy ktoś zachoruje – mówiła namaszczonego tonem – dzieje się tak zazwyczaj dlatego, że zjadł coś niedobrego. Ale czasami ludzie zapadają na choroby, gdyż demony uwodzą ich dusze. Chore dusze trzeba ratować. Widziałam wielokrotnie, jak robiła to Saeunn. Przywiązywała małe haczyki na ryby do palców, bo tak łatwiej jej było schwytać chore dusze, zażywała specjalną miksturę, by jej własne mogły opuścić ciało i odnaleźć...

–Ale co to ma wspólnego z Nanuak?

–Właśnie ci miałam powiedzieć. – Spojrzała na niego gniewnie. – Aby je odnaleźć, Saeunn musi ukryć własne dusze przed demonami.

–Więc jeśli zrobisz to, co ona, ukryjesz Nanuak przed niedźwiedziem?

–Tak sądzę. Aby się ukryć, Saeunn smaruje twarz piotunem i krwią ziemi, a potem wkłada maskę z kory jarzębiny przewiązaną włosami wszystkich członków klanu. To właśnie mam zamiar zrobić. A przynajmniej coś podobnego.

Przez cały ranek podążali śladem, który wiódł przez las brzozowy, a potem sosnowy, skręcał na północny wschód i miarowo się wznosił. Jak zwykle Renn

nie mogła wyjść z podziwu, widząc, jak dobrze Torak potrafi tropić. Wydawał się pogrążony w transie, przeczesywał wzrokiem teren z nieskończoną cierpliwością, często odnajdując jakiś maleńki znak, który przegapiłaby większość dorosłych myśliwych. Było popołudnie i zaczynało się ściemniać, gdy się zatrzymali.

–Co jest? – spytała Renn.

–Szz! Chyba coś słyszałem. – Torak przyłożył dłoń do ucha. – Tam!

Słyszysz?

Potrząsnęła głową.

Twarz Toraka rozjaśnił nagle uśmiech.

–To Wilk!

–Jesteś pewien?

–Wszędzie rozpoznam jego wycie. Chodźmy, on jest tam! – Wskazał na wschód.

Serce Renn zamarło. Nie wschód, pomyślała. Błagam, nie wschód!

Torak podążał za głosem Wilka. Teren stał się bardziej kamienisty, drzewa skurczyły się do sięgających pasa brzoź i wierzb.

–Jesteś pewien, że on tu jest? – spytała Renn. – Jeżeli będziemy dalej szli, wylądujemy w turniach.

Torak jej nie usłyszał; biegł przed siebie. Zniknął za wielkim kamieniem i po chwili Renn usłyszała, jak podekscytowany woła ją po imieniu.

Wbiegła zboczem, okrążyła kamień. Wionął jej w oczy lodowaty, północny wiatr. Zachwiała się. Dotarli na skraj Lasu. Przed nimi były turnie.

Rozciągała się przed nią rozległa, bezdrzewna, jałowa ziemia, porośnięta karłowatymi wierzbami i wrzosami, kurczowo trzymającymi się gleby w daremnym wysiłku, by się ochronić przed wiatrem; małe, brązowe od torfu jeziora migotały pośród porastających tu i ówdzie ziemię bagiennych traw. W oddali zdradliwe osypisko wznosiło się nad turniami, a za nim pięły się w niebo Wysokie Góry. Ale pomiędzy osypiskiem a Górami majaczył jedynie blask śniegu. Tam znajdowało się to, czego lękała się Renn.

Torak, rzecz jasna, nie zdawał sobie z tego wszystkiego sprawy.

–Renn! – zawołał, choć wiatr przekrzykiwał jego słowa. – Tutaj!

Obejrzała się i zobaczyła, że Torak klęczy na brzegu wąskiego strumienia. Obok leżał Wilk, oczy miał zamknięte, a woreczek z kruczej skóry leżał obok niego.

–Żyje! – krzyknął Torak, zatapiając twarz w mokrym, szarym futrze. Wilk otworzył jedno oko i słabo machnął ogonem. Renn podeszła ku nim, potykając się o wrzosy.

–Jest wyczerpany – powiedział Torak, nie podnosząc wzroku – i przemoczony. Biegł strumieniem, żeby niedźwiedź zgubił jego zapach. Sprytne, prawda?

Renn rozejrzała się wokół z lękiem.

–Ale czy podziałało?

–O tak – zapewnił Torak. – Spójrz, ile tu świergotków bagiennych. Nie byłoby ich, gdyby niedźwiedź był w okolicy.

Żałując, że nie może podzielić jego pewności siebie, Renn uklękła i sięgnęła do plecaka. Wyjęła ciastko z łososia i podała Wilkowi. W nagrodę machnął ogonem raz jeszcze, tym razem odrobinę mocniej.

Cudownie było znów zobaczyć Wilka, choć Renn czuła się dziwnie nieobecna. Zbyt wiele myśli i uczuć kłębiło jej się w głowie; zbyt wiele takich, o jakich Torak nie wiedział.

Podniosła woreczek z kruczej skóry i rozluźniła sznurek, żeby zajrzeć do środka. Oczy rzeki spoczywały na liściach jarzębiny, tak jak wcześniej.

–Tak, weź to – powiedział Torak, podnosząc Wilka na rękę i kładąc go delikatnie na posłaniu z miękkich, bagiennych traw. – Musimy natychmiast ukryć je przed niedźwiedziem.

Renn otworzyła pudełko z kory jarzębiny, w którym schowała kamienny ząb, wrzuciła do środka oczy rzeki i zamknęła pudełko na powrót, włożyła do woreczka i przywiązała sobie do pasa.

–Nic mu nie będzie – stwierdził Torak, nachylając się, by czule polizać wilka po pysku. – Możemy zbudować szałas tam, po zawietrznej stronie tego zbocza. Rozpalić ogień i dać Wilkowi odpocząć.

–Nie tutaj – przerwała mu pośpiesznie Renn. – Powinniśmy wrócić do Lasu. – Na omiatanych wiatrami turniach czuła się odsłonięta i bezbronna, niczym gąsienica w sieci.

–Lepiej zostańmy tutaj – rzekł Torak. Wskazał na północ, na piargowe osypisko i na biały blask. – To najkrótsza droga w Góry.

Renn poczuła, że strach ściska jej żołądek.

–Co? O czym ty mówisz?

–Wilk mi powiedział. Tędy właśnie pójdziemy.

–Ale... nie możemy...

–Dlaczego?

–Bo to jest lodowa rzeka!

Torak i Wilk popatrzyli na nią z zaskoczeniem, a ona zdała sobie sprawę, że spoglądają na nią dwie pary wilczych oczu: jedna bursztynowa, a druga jasnoszara. Poczowała się bardzo nie na miejscu.

–Ale Renn – zaczął cierpliwie Torak – to najkrótsza droga do Gór.

–Nie obchodzi mnie to! – Usiłowała wymyślić jakiś argument, który by go przekonał. – Wciąż nie mamy trzeciego elementu Nanuak, zapomniałeś? Najciemniejsze światło – tym, co najzimniejsze. Nie znajdziemy go przecież tutaj! Oczywiście będzie zimno, i tak dalej, ale tutaj nic nie ma! – Nic oprócz śmierci, dodała w duchu.

–Widziałaś czerwone oko ostatniej nocy – rzekł Torak. – Jest coraz wyżej. Pozostało nam tylko kilka dni...

–Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz? – zawołała. – Nie możemy przeprowić się przez lodową rzekę!

–Owszem, możemy – odpowiedział z zatrważającym spokojem. – Znajdziemy sposób.

–Jaki? Mamy jeden bukłak z wodą i razem cztery strzały! Cztery strzały! Zbliża się zima, a ty masz tylko letnie ubranie!

Popatrzył na nią z namysłem.

–To nie dlatego nie chcesz tam iść.

Skoczyła na równe nogi i odeszła. Po chwili wróciła.

–Mój ojciec zginął na lodowej rzece, dokładnie takiej jak ta.

Wiatr zasyczał smutno ponad turniami. Torak popatrzył na Wilka, po czym podniósł wzrok na Renn.

–Zeszła lawina – powiedziała. – Ojciec był na rzece, za jeziorem Ostrze Topora. Zwaliło się na niego pół lodowego nawisu. Odnaleźli jego ciało dopiero na wiosnę. Saeunn musiała przeprowadzić specjalny rytuał, aby połączyć jego dusze.

–Przykro mi – rzekł Torak. – Nie wiedziałem...

–Nie opowiadam ci tego po to, żebyś mnie żałował – przerwała. – Mówię ci, żebyś zrozumiał. Ojciec był silnym, doświadczonym myśliwym, znał Góry, a lodowa rzeka i tak go zabiła. Jak ci się wydaje, jakie my mamy szanse?

Bądź bardzo, bardzo cicho – szepnęła Renn. – Jeden niespodziewany dźwięk i ona się może zbudzić. Torak podniósł głowę i spojrzał na lodowe urwisko, wznoszące się nad nimi. Widział już wcześniej lód, ale nigdy w takiej postaci. Nie takie ostre jak nóż, strome skały i przepastne wąwozy, nie sople lodu większe od drzew. Jak gdyby wielką, wygiętą w łuk falę zmroziło jedno dotknięcie palca Ducha Świata. A jednak, kiedy przypatrywał się urwiskom z poziomu piargów osypiska, wydawały się zaledwie zmarszczką na niezmierzonej, ciągnącej się po horyzont rzece lodu.

Pozwolili Wilkowi odpocząć dzień nad jeziorem i ruszyli przez wrzosa ku osypisku. Tam rozbili obóz w niecce, która dawała jakieś schronienie przed

wiatrem. Po niedźwiedziu nie było śladu. Prawdopodobnie czar ochronny zadziałał, a może, jak zauważyła Renn, niedźwiedź był na zachodzie, siejąc spustoszenie wśród klanów.

Następnego ranka wspięli się na brzeg lodowej rzeki i ruszyli na północ.

Było szaleństwem iść w cieniu lodowych klifów, gdzie w każdej chwili mogła ich zasypać lawina, ale nie mieli wyboru. Drogę na zachód zagraadzał potok roztopowy, drążący w śniegu głęboki, błękitny wąwóz.

Nie sposób było poruszać się bezgłośnie. Śnieg był suchy, trzeszczał pod butami. Nowy trzciniowy płaszcz Toraka szeleścił jak zwiędłe liście; nawet własny oddech wydawał mu się ogłuszający. Wszędzie wokół rozlegały się dziwne trzaski i odbijające się echem pomruki; lodowa rzeka mamrotała przez sen. Wydawało się, że niewiele trzeba, by ją zbudzić.

Co dziwne, Wilk się tym wszystkim nie przejmował. Uwielbiał śnieg; wskakiwał w zaspy i podrzucał kawałki lodu wysoko w górę, potem stawał gwałtownie i nasłuchiwał, jak lemingi i myszy śnieżne chroboczą pod lodem.

Właśnie zatrzymał się, aby powąchać jakąś bryłę lodu, i trącił ją łapą. Gdy nie zareagowała, przypadł do ziemi z łapami do przodu i zapraszał ją do zabawy, popiskując wyczekująco.

–Sz! – syknął Torak, zapominając o wilczej mowie.

–Sz! – syknęła z przodu Renn.

Zdecydowany uciszyć Wilka, Torak udał, że gdzieś w oddali dostrzegł zwierzynę: stanął nieruchomo i wpatrzył się intensywnie w dal.

Wilk zrobił to samo. Ale kiedy nie dotarł do niego żaden dźwięk ani zapach, poruszył wąsami i zerknął na Toraka. Gdzie? Gdzie jest zwierzyna?

Torak przeciągnął się i ziewnął. Nie ma zwierzyny.

Jak to? To po co polujemy?

Po prostu bądź cicho!

Wilk pisnął cichutko z wyrzutem.

–Pospieszmy się! – szepnęła Renn. – Musimy wydostać się z rzeki, zanim zapadnie noc!

W cieniu lodowych urwisk panowało dojmujące zimno. Rozbijając obóz nad rzeką, zrobili, co mogli, by się ogrzać: wypchali buty bagienną trawą, zrobili rękawiczki bez palców i płaszcze ze skóry łososia, którą miała Renn oraz z reszty skóry jelenia, i płaszcz dla Toraka z witek trzciniowych powiązanych bagienną trawą i pozszywanych ścięgnami. Ale nie na wiele się to zdało.

Kończyły im się też zapasy: został jeden bukłak z wodą oraz mięso suszonego łososia i jelenia na parę dni. Torak wyobrażał sobie, co powiedziałby Tata. Podróż przez śniegi to nie zabawa, Torak. Jeśli będziesz tak myśleć,

zginiesz.

Był boleśnie świadom, że bardzo mało wie o śniegu. Jak z niezawodną celnością wyraziła się Renn: „Wiem tylko tyle, że o wiele łatwiej jest tropić po śniegu, można lepić z niego kule, a jeśli dopadnie cię burza śnieżna, powinieneś wykopać sobie w nim jamę i przeczekać. To cała moja wiedza”.

Śnieg zrobił się głębszy, wkrótce brnęli już niemal po pas. Wilk został z tyłu, mądrze pozwalając Torakowi wydeptywać w śniegu ścieżkę, a później szedł po jego śladach.

–Mam nadzieję, że on zna drogę – powiedziała cicho Renn. – Nigdy jeszcze nie byłam tak daleko na północy.

–A ktokolwiek był tak daleko? – spytał Torak.

Uniosła brwi.

–No tak. Ludzie z lodowych klanów. Ale oni żyją na równinach, nie na lodowej rzece.

–Lodowe klany?

–Białe Lisy. Pardwy. Narwale. Musiałeś o nich...

–Nie – powiedział ze znużeniem. – Nie słyszałem. A nawet nie...

Torak zobaczył, że szczeniak skoczył pod nawis twardego lodu, kryjąc się przed czymś. Spojrzał w górę.

–Uwaga! – krzyknął, chwytając Renn i wciągając pod nawis.

Rozległ się ogłuszający trzask – i otoczyła ich rycząca białość. Lód grzmiał wokół, wbijając się w śnieg, eksplodował w chmury zabójczych odłamków. Skulony Torak modlił się, by nawis się nie zawalił. Gdyby to się stało, śnieg zmiażdżyłby ich jak owoce bażyny.

Lawina skończyła się tak gwałtownie, jak się zaczęła.

Torak odetchnął. Słysząc było teraz tylko szmer osadzającego się śniegu.

–Dlaczego przestała? – syknęła Renn.

Potrząsnęła głową.

–Może po prostu odwróciła się na drugi bok podczas snu.

Renn popatrzyła na górę lodu, która wyrosła wokół nich.

–Gdyby nie Wilk, leżelibyśmy teraz pod tym. – Klanowe tatuaże ostro odcinały się na tle jej bladej twarzy. Torak domyślił się, że myślała o ojcu.

Wilk wstał i otrząsnął się. Podreptał kilka kroków, wciągnął w nozdrza powietrze i poczekał, aż do niego dołączą.

–Chodźmy! – powiedział Torak. – Chyba jest bezpiecznie.

–Bezpiecznie? – mruknęła Renn.

Dzień upływał powoli, słońce żeglowało na zachód przez bezchmurne niebo, a na śniegu pojawiły się kałuże wody, bardziej niebieskie niż wszystko, co Torak

dotąd widział. Robiło się coraz cieplej. Około południa blask słoneczny uderzył w urwisko i w mgnieniu oka mroźne cienie zamieniły się w oślepiające, białe światło. Torak zaczął się pocić pod trzciniowym płaszczem.

–Weź to – powiedziała Renn, podając mu pasek brzoźowego łyka. – Wytnij dwa otwory i zawiąż sobie wokół oczu. Inaczej czeka cię ślepotą śnieżna.

–Mówiłaś, że nigdy nie byłaś tak daleko na północy.

–Fin-Kedinn był. Opowiadał mi o tym.

Nie było zbyt wygodnie patrzeć przez wąskie szparki, tym bardziej że przez cały czas Torak musiał zachować czujność – zbyt często wielkie pacyny śniegu albo gigantyczne sopte odrywały się od urwiska i z hukiem spadały na nich. Brnęli naprzód dalej. Zauważył, że Renn zaczęła zostawać z tyłu. Nie zdarzyło się to jeszcze nigdy przedtem. Zwykle szła przodem.

Odczekawszy, aż się z nim zrówna, zauważył z niepokojem, że zsiniały jej usta. Zapytał, czy dobrze się czuje.

Potrząsnęła głową i schyliła się, opierając dłonie na kolanach.

–Przez cały dzień czułam... jakby ktoś wysysał ze mnie życie. Sądzę... sądzą, że to Nanuak.

Torak poczuł wyrzuty sumienia. Jego uwagę zaprzętnęła podróż po rzece i zapomniał, że Renn miała przy sobie woreczek ze skóry kruka.

–Daj mi ją – powiedział. – Będziemy się zmieniać.

Skinęła głową.

–Ale ja poniosę bukłak. Tak będzie sprawiedliwie. Wymienili się. Torak przywiązał woreczek do pasa, a Renn obejrzała się, by zobaczyć, ile uszli.

–Idziemy o wiele za wolno – powiedziała. – Jeżeli do zmroku nie przeprowimy się na drugą stronę...

Nie musiała kończyć. Torak wyobraził sobie, jak kopią jamę w śniegu wśród ciemności, a lodowa rzeka dyszy i warczy wokół nich.

–Sądzisz, że mamy dość drewna na ognisko? – zapytał.

Raz jeszcze potrząsnęła głową.

Zanim ruszyli ku osypisku, każde z nich zebrało wiązkę drewna i przygotowało mały ogień, by go zabrać ze sobą. Zrobili to następująco. Odcięli po małym kawałku huby porastającej zwalone brzozy i podpalili je, a potem zdmuchnęli płomień, by tylko się tliły. Następnie zawinęli w brzoźową korę, podziurawili ją w kilku miejscach, by ogień miał czym oddychać, i owinęli w mech, by zasnął. Można było w ten sposób nieść ogień przez cały dzień i obudzić w każdej chwili hubką i oddechem.

Torak ocenił, że drzewa wystarczy im może, by przetrwać jedną noc. Gdyby zerwała się burza i musieli się okopać na kilka dni, zamarzliby.

Szli z trudem dalej i wkrótce Torak przekonał się, dlaczego Nanuak tak bardzo wyczerpała Renn. Czuł, jak woreczek ciągnie ku ziemi.

Raptem Renn przystanęła i zerwała brzoźowe łyko z oczu.

–Gdzie się podział strumień? – powiedziała chrapliwie.

–Co takiego?

–Roztopy! Właśnie zauważyłam, wąwóz zniknął. Sądzisz, że możemy już odejść od urwiska?

Torak zdjął opaskę i mrużąc oczy, wpatrzył się w śnieg. Blask go oślepił.

–Wciąż słyszę strumień. – Ruszył naprzód, by się przekonać. – Może po prostu płynie dalej pod...

Nie usłyszał nic, co by go ostrzegło. Żadnego trzasku, dźwięku osadzającego się śniegu. W jednej chwili szedł, a w następnej zapadał się w pustkę.

Uderzył się tak boleśnie w kolano, że aż krzyknął. –Torak! – szepnęła z góry Renn. – Nic ci się nie stało?

–Chyba... nie – odpowiedział.

Ale nie była to prawda. Wpadł w lodową rozpadlinę. Tylko maleńki lodowy występ uchronił go przed osunięciem się w przepaść.

Widział w mroku, że rozpadlina jest wąska – mógł dosięgnąć obu jej ścian wyciągniętymi rękami – ale bezdenna. Gdzieś z dołu dochodził go plusk rwącej wody. Torak znalazł się wewnątrz rzeki. Jak się wydostać?

Renn i Wilk spoglądali na niego z góry. Znajdowali się jakieś trzy kroki nad nim. Albo trzydzieści.

–Już wiemy, gdzie się podział strumień roztopowy – powiedział, usiłując zachować spokój.

–Nie wpadłeś bardzo głęboko – rzekła Renn, starając się dodać mu odwagi. – No i przynajmniej nie zgubiłeś plecaka.

–Łuk też jeszcze mam – odrzekł w nadziei, że głos nie zdradzi, jak bardzo jest wystraszony. – I Nanuak. – Woreczek nadal był bezpiecznie przywiązany do paska. Nanuak, pomyślał z przerażeniem.

Bo jeśli nie uda mu się wydostać? Utknie w rozpadlinie, a Nanuak wraz z nim. Bez Nanuak nie ma szans zniszczyć niedźwiedzia. Cały Las ulegnie zagładzie – zginie, bo Torak nie patrzył pod nogi...

–Torak, wszystko w porządku?

Chciał odpowiedzieć, że tak, ale z ust wydobył mu się tylko skrzek.

–Nie tak głośno! – szepnęła Renn. – Bo znowu zejdzie lawina... albo... albo szczelina się zamknie z tobą w środku...

–Dzięki – mruknął. – Nie pomyślałem o tym.

–Spróbuj chwycić się tego. – Renn wychyliła się ryzykownie za krawędź i wyciągnęła w kierunku Toraka swój toporek, który uprzednio przywiązała sobie do nadgarstka.

–Nie utrzymasz mojego ciężaru – powiedział. – Pociągnę cię za sobą i spadniemy oboje...

–Oboje, oboje... – rozległo się echo wokół.

–Może uda ci się jakoś wspiąć? – spytała Renn.

Głos jej trochę drżał.

–Pewnie tak. Pod warunkiem że wyrosną mi pazury rysia.

–Rysia, rysia – śpiewał lód.

To podsunęło Torakowi pewien pomysł.

Powoli, tak, by nie ześlizgnąć się z występu, zsunął plecak z jednego ramienia i sprawdził, czy ma jeszcze jelenie rogi. Były. Krótkie, z ostrymi krawędziami. Gdyby przywiązał je do nadgarstków i chwycił za rosochy, mógłby użyć rogów jako kolców podczas wspinaczki.

–Co zamierzasz zrobić? – spytała Renn.

–Przekonasz się. – Nie miał czasu na wyjaśnienia. Lodowa półka zrobiła się śliska pod jego butami, bolało go kolano.

Schował rogi do plecaka do czasu, kiedy będzie ich potrzebował, i wyjął toporek zza pasa.

–Muszę zrobić wręby w lodzie – zawołał do Renn. – Miejmy nadzieję, że rzeka tego nie poczuje.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Było jasne, że rzeka poczuje. Ale czy mieli jakiś wybór?

Pierwsze uderzenie topora posłało w otchłań deszcz grzechoczących odłamków lodu. Choćby nawet rzeka tego nie poczuła, z pewnością usłyszała.

Torak zacisnął zęby i zmusił się, by uderzyć raz jeszcze. Znow posypały się lodowe drzazgi, ponownie rozpadlina wypełniła się echem.

Lód był twardy, a Torak nie odważył się zamachnąć w obawie, że runie z występu. Pełen lęku, czterokrotnie jeszcze odłupywał lód w nieregularnych odstępach, aż wyżej nie mógł już sięgnąć. Żłobienia dzieliła od siebie mniej więcej długość przedramienia. Były przerażająco płytkie wsunąłby w nie zaledwie połowę kciuka – i nie miał pojęcia, czy wytrzymają. Jeżeli oprze cały swój ciężar na jednym, lód może nie wytrzymać i zabierze go ze sobą w przepaść.

Zatknął toporek za pas, zdjął rękawiczki i sięgnął do plecaka po rogi oraz ostatnie kawałki jeleniej skóry. Palce zgrabiały mu z zimna, przywiązywanie rogów do nadgarstków okazało się rozwścieczająco trudne. Wreszcie zdołał je umocować, zębami zaciskając węzły.

Sięgnął prawą ręką do wgłębienia nad głową i wbił mocno chropowatą krawędź rogu w lód. Róg wgrzył się weń i znieruchomiał. Lewą stopą Torak odszukał jedno z wyłobień u dołu, tuż nad półką, i stanął na nim.

Plecak ciągnął go w tył, prosto w lodową czeluść. Torak pochylił się do przodu w desperacji, przyciskając twarz do lodu – i odzyskał równowagę.

Wilk popiskiwał przy krawędzi, by się pospieszył. Śnieg posypał się Torakowi na głowę.

–Cofnij się! – syknęła na szczeniaka Renn.

Torak usłyszał szuranie, znowu na dół posypał się śnieg. Wilk warknął z irytacją.

–Jeszcze kawałek – mówiła Renn. – Nie patrz w dół.

Za późno. Właśnie to zrobił i na widok próżni pod stopami zrobiło mu się słabo.

Sięgnął ręką do kolejnego wydrążenia i nie trafił. Oderwał kawałek lodu, niemal spadł. Zaczął walczyć o jakikolwiek uchwyt – i w ostatniej chwili udało mu się wbić róg w lodową ścianę.

Bardzo, bardzo powoli zgiął prawą nogę i włożył ją w następny wręb, wydrążony o długość przedramienia wyżej niż ten, w którym tkwiła jego lewa stopa. Lecz kiedy spróbował dźwigać się w górę, kolano zaczęło drżeć.

Och, ależ sprytny jesteś, Torak, powiedział sobie. Właśnie oparłeś cały swój ciężar na niewłaściwej nodze – tej, którą potłukłeś, spadając.

–Kolano nie wytrzyma – sapnął. – Nie uda mi się...

–Właśnie, że ci się uda – ponagliła Renn. – Sięgnij ręką do ostatniego wrębu. Złapię cię...

Palily go ramiona, a plecak zdawał się wypełniony kamieniami. Torak dźwignął się z wysiłkiem ku górze i kolano nie wytrzymało. Ale w tym samym momencie ręka Renn chwyciła za pasek jego plecaka i zaczęła ciągnąć go w górę.

Upadli na skraju dziury w lodzie, dysząc ciężko. Po chwili podnieśli się, odeszli chwiejnym krokiem od lodowego urwiska i legli w zaspie sypkiego śniegu. Wilk uznał, że szykuje się wspaniała zabawa i zaczął sadzić wokół nich wielkimi susami, z szerokim wilczym uśmiechem.

Renn roześmiała się histerycznie.

–Tak niewiele brakowało! Następnym razem patrz, gdzie idziesz.

–Postaram się – wydyszał Torak.

Leżał na plecach, wiatr zasypywał mu śniegiem policzki. Wysoko po niebie płynęły cienkie, białe chmury, niczym płatki kwiatów. Nigdy w życiu nie widział nic równie pięknego.

Wilk wygrzebywał coś spod lodu za jego plecami.

–Co tam znalazłeś? – spytał Torak.

Lecz wilk wykopał już ów przedmiot i teraz podrzucał go wysoko w górę i na powrót chwycił zębami, bawiąc się w jedną ze swoich ulubionych zabaw. Skoczył z obrotem, by schwycić przedmiot w powietrzu, pożuł go trochę, po czym przypadł do Toraka i wypluł znalezisko na jego twarz. Kolejna ulubiona zabawa.

–Au – krzyknął Torak. – Uważaj, co robisz! Wiedział już, co znalazł Wilk. Było wielkości małej pięści, brązowe, miało futerko i było dziwacznie spłaszczzone – prawdopodobnie przez lawinę. Wyraz zdumienia na malutkim pyszczku wydał się Torakowi bardzo zabawny.

–Co to jest? – spytała Renn, pociągając łyk wody z bukłaka.

Torak poczuł wzbierający w jego ciele dreszcz śmiechu.

–Mrożony leming.

Renn roześmiała się, parskając wodą na wszystko wokół.

–Zupełnie rozplaszczony – sapnął Torak, odwracając się w jej stronę. – Powinnaś zobaczyć jego pyszczek! Jest taki... zdziwiony.

–Nie, proszę! – zawołała Renn, chwytając się za brzuch. Zaśmiewali się aż do bólu, a Wilk tańczył wokół nich radosnym, rozkołysanym krokiem, podrzucając i chwytając zamarzniętego leminga. Wreszcie rzucił go bardzo wysoko, skoczył popisowo w górę i połknął. Wtedy uznał, że zrobiło mu się za bardzo gorąco, i wskoczył do kałuży z rozpuszczonego śniegu, żeby się ochłodzić. Renn usiadła, ocierając oczy.

–Czy on kiedykolwiek przynosi ci rzeczy, zamiast rzucać je w twarz?

Torak pokręcił głową.

–Próbowałem mu to wyperswadować. Nie udało się.

Wstał. Zaczęło się ochładzać. Wiatr przybrał na sile, sypki śnieg snuł się nad ziemią jak dym. Płatki kwiatów całkowicie przysłoniły słońce.

–Patrz – odezwała się z tyłu Renn. Wskazywała na wschód.

Odwrócił się i zobaczył ciemne chmury gotujące się nad urwiskiem.

–O nie – mruknął.

–O tak – rzuciła Renn. Musiała podnieść głos, aby przekrzyczeć wiatr. –
Burza śnieżna.

Lodowa rzeka się zbudziła. W bardzo złym nastroju.

Furia lodowej rzeki uderzyła w nich z przerażającą siłą. Torak musiał zgiąć się wpół pod jej naporem, żeby utrzymać równowagę. Zobaczył Renn prącą z całej siły naprzód w strugach śniegu; zobaczył Wilka rzucanego na boki, z oczami zwężonymi w szparki dla ochrony przed wiatrem. Lodowa rzeka trzymała ich w swoim uścisku i nie zamierzała puścić. Wyła, aż zaczęły go boleć uszy,

poorała mu twarz latającymi kawałkami lodu; zakręciła nim tak, że nie widział już ani Renn, ani Wilka, ani nawet własnych butów. W każdej chwili mogła cisnąć go w rozpadlinę. Wśród wirującej bieli zobaczył ciemną kolumnę. Skąła? Zaspą? A może wreszcie doszli do końca lodowej rzeki?

Renn chwyciła go za ramię.

–Nie możemy iść dalej! – krzyknęła. – Musimy wykopać schronienie i przeczekać!

–Jeszcze nie – wrzasnął. – Patrz! Jesteśmy prawie na miejscu!

Zmagając się ze śniegiem i wiatrem, brnął w stronę kolumny. Zatrzęsła się i rozpadła. Zamieniła się w chmurę śniegu – zdradziecka sztuczka lodowej rzeki. Odwrócił się do Renn.

–Masz rację! Musimy wykopać jamę w śniegu!

Lecz Renn zniknęła.

–Renn! Renn! – Lodowa rzeka wyrwała jej imię z jego ust i pognąła w zapadający mrok.

Upadł na kolana i sięgnął ręką po Wilka. Rękawiczka natrafiła na futro, Torak pochwyił szczeniaka. Wilk węszył wokoło za Renn. Ale czy był w stanie cokolwiek wywęszyć w takiej zamieci?

Zdumiewające, lecz Wilk postawił uszy i wpatrzył się w wirujący przed nimi śnieg. Torak dostrzegł postać przedzierającą się przez śnieg.

–Renn!

Wilk skoczył za nią, a Torak ruszył za nim, ale nie uszedł daleko, bo wiatr rzucił go o twardy lód. Upadł na plecy, niemal rozgniatając szczeniaka. Wpadł na coś, co przypominało śnieżne wzgórze. W jego zboczu był otwór duży na tyle, by się wczołgać do środka. Jaskinia śnieżna? Chyba Renn nie miała dość czasu, by ją wykopać?

Wilk jednym susem zniknął w środku. Torak podążył za nim po chwili wahania.

Krzyk lodowej rzeki cichł w miarę, jak Torak wczołgiwał się w ciemność. Pokrytymi lodem rękawiczkami badał otoczenie. Niski strop – tak niski, że Torak musiał posuwać się naprzód na czworakach; płyta lodu przy wejściu. Ktoś musiał ją wyciąć. Ale kto?

–Renn? – zawołał.

Żadnej odpowiedzi.

Przesłonił płytą otwór, przez który wszedł; powietrze znieruchomiało. Słyszał, że Wilk zlizuje śnieg z łap; lód ześlizgiwał się Torakowi z ramion.

Torak wyciągnął dłoń. Wilk warknął ostrzegawczo.

Gwałtownie cofnął rękę. Poczuł, że włoski na karku zaczęły mu się podnosić.

W środku nie było Renn – ale było coś innego. Coś czaiło się w mroku.

–Kto tam? – zapytał.

Lodowa czerń jakby zgęstniała. Ściągnąwszy rękawiczki zębami, wyjął nóż.

–Kto tam?

Wciąż żadnej odpowiedzi. Torak wydobył jedną ze świec Renn. Palce miał tak zgrabiałe, że upuścił woreczek z krzesiwem. Wieki upłynęły, nim go znalazł na powrót; nim uderzył krzemieniem o krzesiwo i posłał deszcz iskier na kupkę rozdrobnionej cisowej kory, którą trzymał w dłoniach. Wreszcie świeca zapłonęła.

Torak krzyknął. Zapomniał o lodowej rzece, zapomniał nawet o Renn.

Obok, niemal dotykając jego kolana, leżał człowiek.

Był martwy.

Torak rozpląszczył się na ścianie jaskini. Gdyby Wilk go nie ostrzegł, niechybnie dotknąłby zwłok – a dotykając martwego, ściągnąłby na siebie okropne niebezpieczeństwo. Kiedy dusze opuszczają ciało, bywają rozłoszczone, dezorientowane, albo po prostu nie mają ochoty wyruszyć w Podróż Śmierci. Jeżeli jakaś żywa istota znajdzie się zbyt blisko, pozbawione ciała dusze mogą ją opętać albo ruszyć za nią. Wszystkie te myśli przemknęły Torakowi przez głowę, gdy patrzył na martwego mężczyznę.

Jego usta wyglądały jak wyrzeźbione z lodu; ciało miało kolor żółtego wosku. Śnieg osiadł mu w nozdrzach w okrutnej parodii oddechu, przeszkłone, otwarte oczy wpatrywały się zaś w coś, czego Torak nie mógł dostrzec – jakiś przedmiot, który mężczyzna ścisnął w martwej dłoni.

Wilk się nie bał, ciało go nawet interesowało. Położył się, z pyskiem pomiędzy przednimi łapami, i wpatrywał nieruchomo w zwłoki. Mężczyzna miał długie, brązowe, rozpuszczone włosy, jeden lok na skroni ubarwiony czerwoną ochrą. Torak przypomniał sobie kobietę z klanu Płowego Jelenia na zwołanym przez Fin-Kedinna zgromadzeniu – miała włosy zafarbowane w ten sam sposób. Czy mężczyzna pochodził z jej klanu? Z tego samego klanu, co matka Toraka?

Poczuł litość. Jak się nazywał mężczyzna? Czego tu szukał i w jaki sposób umarł?

Potem Torak zauważył czerwony, koślawy krąg zakreślony na czole mężczyzny czerwoną ochrą. Gruby, zimowy kaftan był rozpięty – kolejny krąg widniał na piersi. Torak odgadł, że gdyby zwalczył obawy i ściągnął martwemu mężczyźnie ciężkie, futrzane buty, zobaczyłby podobne znaki na obu piętach. Znaki Śmierci. Mężczyzna wyczuł pewnie, że śmierć idzie po niego i zrobił znaki sam, by jego trzy dusze nie rozpierzchły się, gdy skona. Pewnie dlatego nie przywalił też wejścia płytą z lodu – by je wypuścić na wolność.

–Byłeś odważnym człowiekiem – powiedział na głos Torak. – Nie uląkłeś się śmierci. – Przypomniawszy sobie postać, która zamajaczyła wśród śniegu. Może była to jedna z dusz, szukająca się do ostatniej podróży? Czy duszę można zobaczyć? Nie wiedział. – Zostań w pokoju. Niech twoje dusze znajdą spokój i pozostaną razem. – Pochylił głowę nad swoim zmarłym krewnym.

Wilk usiadł i zaczął strzyc uszami w kierunku zwłok. Torak zaniepokoił się. Wilk zdawał się nasłuchiwać.

Torak nachylił się.

Martwy mężczyzna wpatrywał się spokojnie w przedmiot, który ścisnął w rękę. Lecz kiedy Torak rozpoznał tę rzecz, zdziwił się jeszcze bardziej. Była to zwyczajna lampa – gładki owal z piaskowca wielkości połowy jego dłoni, z płytkim naczyniem na tran i rowkiem, do którego wpycha się knot ukręcony z mchu. Knot zgasł już dawno, a po tranie pozostała tylko tłusta plama.

Wilk zaskomlił wysoko i miękko za jego plecami. Zęby miał odsłonięte, ale nie wyglądał na przestraszonego. To było powitanie.

Torak zmarszczył brwi. Wilk już raz zrobił coś podobnego – w jamie pod Wodogrzmotami.

Powrócił wzrokiem do martwego mężczyzny. Wyobraził sobie jego ostatnie chwile: skulony pośród śniegu, wpatrujący się w mały jasny płomynek, drżący i gasnący jak jego życie...

Nagle zrozumiał. Najciemniejsze światło – tym, co najzimniejsze. Najciemniejsze jest światło, które człowiek widzi tuż przed śmiercią.

Odnalazł trzeci element Nanuak.

Ścisnąc świecę w jednej dłoni, drugą odwiązał woreczek ze skóry kruka i wytrząsnął pudełko na śnieg. –Urrf! – ostrzegł Wilk.

Torak zsunął sznurek upleciony z włosów i podniósł wieko. Oczy rzeki spoczywające obok kamiennego zęba spojrzały na niego ślepo. Obok było akurat wystarczająco dużo miejsca na lampę; zupełnie, pomyślał, jak gdyby Renn wiedziała, jakie rozmiary powinno mieć pudełko.

Zesztywniałymi palcami zsunął jedną rękawiczkę, nachylił się nad zmarłym mężczyzną – uważając, aby go nie dotknąć – i wyjął lampę z jego dłoni. Dopiero kiedy umieścił ją bezpiecznie w pudełku i owinął je sznurkiem, zdał sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywał oddech.

Przyszedł czas, by wyjść i poszukać Renn. Pospiesznie przytroczył pudełko do pasa. Lecz kiedy miał już odsunąć płytę z lodu, zasłaniającą wejście, coś go powstrzymało.

Miał już wszystkie trzy elementy Nanuak. I znajdował się w śniegowej jaskini, bezpieczny.

„Jeżeli dopadnie cię burza śnieżna – powiedziała Renn – wykop sobie w śniegu jamę i przeczekaj.” Gdyby teraz zignorował jej ostrzeżenie, gdyby stawił czoła gniewowi lodowej rzeki, szukając Renn, prawdopodobnie nie przetrwałby. A Nanuak zostałaaby pogrzebana wraz z nim. Cały Las spotkałaby zagłada.

Ale jeśli tego nie zrobi, Renn może zginąć.

Torak przykucnął. Wilk przypatrywał mu się w napięciu bursztynowymi, wilczymi oczami.

Świeca zakołysała się w dłoni Toraka. Nie mógł zostawić Renn. Była jego przyjaciółką. Ale czy może – czy powinien – narażać cały Las, aby ją ocalić?

Zatęsknił za Tatą jak jeszcze nigdy dotąd. Tata wiedziałby, co robić...

Ale nie ma go tutaj, powiedział sobie. Musisz zdecydować sam. Sam. Bez niczyjej pomocy.

Wilk przekrzywił na bok głowę, czekając, co zrobi Torak.

Torak! – wrzeszczała Renn najgłośniej jak potrafiła. – Torak! Wilku! Gdzie jesteście?! Została sama pośród szalejącej burzy. Mogli się znajdować trzy kroki od niej, a i tak by ich nie dostrzegła. Mogli wpaść w rozpadlinę, a ona nie usłyszałaby nawet ich rozpaczliwych krzyków.

Wiatr rzucił nią w zaspę, Renn zakrztusiła się śniegiem. Zsunęła się jej jedna z rękawic i rzeka gdzieś ją zdmuchnęła.

–Nie! – zawołała, tłukąc pięściami w śnieg. – Nie, nie, nie!

Zaczęła się czołgać na czworakach wśród wiatru. Uspokój się. Znajdź ubity śnieg. I zacznij kopać.

Po niekończących się zmaganiach z burzą natrafiła na śnieżny pagórek. Wiatr uderzył go mocno, lecz nie na tyle mocno, by śnieg zmienił się w lód. Wyciągnęła toporek zza pasa i zaczęła wybijać dziurę.

Torak robi teraz zapewne to samo, powiedziała sobie. Na Ducha, przynajmniej mam taką nadzieję.

Z zadziwiającą prędkością wyrąbała szczelinę wystarczająco dużą, by mogła pomieścić się w niej razem z plecakiem, jeśli zwinie się w kłębek. Od kopania zrobiło jej się ciepło, ale straciła już czucie w nagiej dłoni.

Wczołgując się tyłem do środka, zgarnęła wyrąbane kawały stwardniałego śniegu do wyjścia, barykadując się w lodowatej ciemności. Jej oddech rozpuścił wkrótce lód pokrywający skorupę ubranie, i Renn zaczęła się trząść. Gdy oczy przyzwyczyły się do mroku, zauważyła, że palce nagiej dłoni zrobiły się białe i sztywne. Spróbowała je zgąć, ale się nie poruszyły.

Wiedziała o ukąszeniach mrozu: syn wodza klanu Knura, Aki, stracił poprzedniej zimy trzy palce u stopy. Jeżeli szybko nie rozgrzeje palców, poczernieją i umrą, a wtedy będzie musiała je odciąć, gdyż inaczej sama też

umrze. W rozpaczy zaczęła na nie chuchać, po czym wsunęła rękę pod kaftan – pod pachę. Ręka wydała się ciężka i zimna; zupełnie jakby nie należała do niej.

Zalała ją fala świeżego strachu. Czy umrze w samotności, jak ojciec? Czy już nigdy więcej nie zobaczy Fin-Kedinna? Gdzie są Torak i Wilk? A jeśli żyją, jak ich odnajdzie?

Zdjąwszy drugą rękawiczkę, sięgnęła do szyi po gwizdek z kości głuszca, podarowany przez Toraka. Dmuchnęła mocno. Żadnego dźwięku. Czy zrobiła to właściwie? Czy Wilk mógłby to usłyszeć? Może gwizdek działał tylko wtedy, gdy Torak w niego dmuchał? Może do tego trzeba być Słuchającym?

Dmuchała, aż zrobiło jej się słabo i zakręciło w głowie. Nie zjawia się, pomyślała. Pewnie dawno już się zakopali. O ile jeszcze żyją.

Gwizdek miał słony smak. Czy smak pochodził od kości głuszca, czy Renn płakała? Płacz jest bezcelowy, powiedziała sobie. Zacisnęła oczy i dmuchała dalej.

Kiedy się obudziła, okazało się, że płynie po jeziorze cudownego ciepła. Śnieg był ciepły i miękki, jak skóra renifera. Zagłębiła się weń, tak odrętwiała, że niezdolna nawet unieść powiek... zbyt odrętwiała, by wpełznąć do śpiwora.

Rozbudziły ją głosy: Fin-Kedinn i Saeunn przyszli ją odwiedzić.

Mam nadzieję, że pozwolą mi spać, pomyślała mgliście. Jej brat drwił z niej, jak zazwyczaj.

–Dlaczego wykopała taką małą jamę? Czemu ona nigdy nie robi niczego porządnie?

–Mylisz się, Hord – powiedział Fin-Kedinn. – Zrobiła to najlepiej, jak potrafiła.

–Ale mimo wszystko – odezwała się Saeunn – drzwi mogła zrobić trochę większe.

–Byłam zbyt zmęczona – mruknęła Renn.

Chwilę potem przez drzwi wpadło światło, a kawałki lodu posypały się na nią.

–Zamknijcie drzwi! – sprzeciwiła się.

Jeden z obozowych psów skoczył ku niej, obsypując śniegiem, i szturchnął ją zimnym nosem w brodę. Odsunęła go.

–Zły pies. Odejdź.

–Obudź się, Renn! – krzyknął jej Torak do ucha.

–Ja śpię – mamrotała Renn, kryjąc twarz w śniegu. –Nie. Nie śpisz! – krzyczał Torak. Jemu samemu chciało się spać, ale najpierw musiał zrobić więcej miejsca dla siebie i Wilka, i obudzić Renn. Gdyby teraz zapadła w sen, byłoby po wszystkim. – Renn, proszę cię! – Chwycił ją za ramiona i potrząsnął. – Obudź się!

–Daj mi spokój – powiedziała. – Nic mi nie jest.

Ale nie była to prawda. Jej twarz była rozogniona od odłamków fruującego lodu, pokrywały ją czerwone plamy. Oczy miała tak opuchnięte, że niemal nie mogła ich otworzyć. Stwardniałe palce prawej dłoni miały kolor wosku, obezwładniająco przypominający zwłoki człowieka z klanu Płowego Jelenia.

Rąbiąc śnieg, Torak zastanawiał się, jak długo by jeszcze żyła, gdyby Wilk jej nie odszukał; i jak długo jeszcze żyliby on i Wilk, gdyby nie udało im się odnaleźć jamy Renn.

Torak był niemal zupełnie wyczerpany. Nie miał dość siły, by wykopać jamę całkiem od nowa.

Z całej trójki najlepiej miał się Wilk. Jego futro było tak grube, że śnieg pokrywający koniuszki włosów nawet się nie topił. Wystarczyło jedno solidne otrząśnięcie i Wilk pozbył się śniegu, obsypując Toraka i Renn.

Chwiejąc się z wyczerpania, Torak skończył powiększanie śniegowej jaskini i przykrył wejście, pozostawiając szparę, aby przez nią mógł wydostać się dym z ogniska, które obiecał sobie rozpalić. Ukląkł obok Renn i po kilku próbach wyciągnął z jej plecaka śpiwór.

–Włóż do środka – warknął.

Kopnęła śpiwór.

Torak zaczerpnął pełne garście śniegu i wtarł go w twarz i ręce dziewczyny.

–Au! – jęknęła.

–Wstań, albo cię zabiję – burknął Torak.

–Właśnie mnie zabijasz! – krzyknęła.

Zdając sobie sprawę, że musi prędko rozpalić ognisko, natarł własne dłonie śniegiem i spróbował rozgrzać je pod pachami. Czucie wróciło w palce, podobnie jak ból.

–Au – jęczał Torak. – Au, au... Boli...

–Co powiedziałaś? – Renn usiadła, uderzając głową w sufit.

–Nic.

–Nieprawda. Coś tam mówiłaś do siebie.

–Ja mówiłem do siebie? Ty gawędziłaś z połową swojego klanu!

–Nieprawda – oburzyła się.

–Ależ owszem – powiedział z uśmiechem.

Wreszcie zaczęła się budzić. Torak nigdy jeszcze nie był tak szczęśliwy, że się z kimś kłóci.

Wreszcie udało mu się jakoś rozpalić ogień pomiędzy nimi. Ogień potrzebuje ciepła tak samo jak powietrza, więc z części drewna zrobili małą platformę, by reszta nie namokła od śniegu. Tym razem, zamiast trudzić się krzesiwem, Torak przypomniał sobie o ogniu uśpionym w plecaku. Zrazu ogień w łożu z

brzozowego łyka nie chciał się zbudzić, nawet kiedy Torak dmuchał nań przymilnie, a Renn karmiła go kawałkami hubki rozgrzanyymi w dłoniach. Wreszcie zapłonął, nagradzając ich wysiłki małym, lecz rozweselającym płomieniem.

Z włosami ociekającymi wodą, szczękając zębami, skulili się przy ognisku, pojękując, gdy płomień rozmrażał ich dłonie i parzył twarze. Lecz płomień działały na nich jeszcze bardziej uspokajająco niż ciepło. Każdej nocy swojego życia kładli się do snu, słuchając kołysanki tego potrzaskującego syku, ze słodko-gorzka wonią drzewnego dymu w nozdrzach. Ogień był namiastką Lasu.

–Jak udało ci się mnie znaleźć? – spytała Renn.

–Mnie się nie udało – odpowiedział. – Wilk cię znalazł, nie wiem jak.

Zastanowiła się nad jego słowami.

–Myślę, że wiem. – Podała mu gwizdek z kości głuszca.

Torak wyobraził sobie Renn dmuchającą w gwizdek w ciemności.

Zastanawiał się, jak się czuła, będąc zupełnie sama. Jemu przynajmniej Wilk dotrzymywał towarzystwa.

Opowiedział dziewczynie o martwym człowieku z klanu Płowego Jelenia i odnalezieniu trzeciego elementu Nanuak. Nie wspomniał o tych okropnych chwilach, kiedy wahał się, czy iść jej szukać. Znadto się wstydził.

–Kamienna lampa – mruknęła Renn. – O tym nie pomyślałam.

–Chcesz ją zobaczyć?

Potrząsnęła głową. Po chwili odezwała się znowu:

–Na twoim miejscu zastanowiłabym się dobrze, zanimbym wyszła z jaskini.

Rzykowałaś, że stracimy Nanuak.

Torak milczał.

–Zastanowiłem się dobrze – odezwał się wreszcie. – Rozważałem, czy nie powinienem zostać i nie szukać ciebie.

Ucichła.

–No tak – powiedziała. – Ja zrobiłabym to samo.

Torak nie był pewien, czy poczuł się lepiej, czy gorzej, gdy już się dowiedziała.

–Ale co byś zrobiła? – zapytał. – Zostałabyś? Czy poszłabyś mnie szukać?

Wytarła nos wierzchem dłoni. A potem obdarzyła go szerokim uśmiechem.

–Kto wie? Ale może... może to była kolejna próba? Nie, czy potrafisz znaleźć trzecią część Nanuak, lecz czy jesteś zdolny zaryzykować dla przyjaciela.

Torak obudził się, spowity w przyćmione, niebieskie światło. Nie wiedział, gdzie jest. –Burza przeszła – powiedziała Renn. – Mam kurcz w szyi.

Torak też miał. Otulony śpiworem odwrócił się do Renn.

Jej oczy nie były już opuchnięte, ale skóra złuszczała się jej z czerwonej twarzy. Z pewnością zabolą ją, gdy się uśmiechnęła.

–Au! – zakrakała. – Przeżyliśmy!

Odpowiedział uśmiechem i natychmiast tego pożałował. Miał wrażenie, jakby ktoś natarł mu twarz piaskiem. Zapewne wyglądał tak jak Renn.

–Musimy teraz tylko wydostać się z lodowej rzeki – powiedział.

Wilk popiskiwał, aby go wypuścić. Torak chwycił toporek i wyrąbał otwór w śniegu. Światło wlało się do środka, a Wilk wyprysnął na zewnątrz. Torak wyczołgał się za nim.

Wyszedł w rozmigotany świat śnieżnych wzgórz i wyrzeźbionych przez wiatr grani. Niebo było intensywnie niebieskie, jak gdyby ktoś wymył je do czysta. Panowała absolutna cisza. Lodowa rzeka zapadła na powrót w sen.

Wilk skoczył na niego bez uprzedzenia i przewrócił w zaspę. Nim zdołał wstać, szczeniak rzucił się mu na pierś, uśmiechając się i wymachując ogonem. Torak roześmiał się i chciał go pochwycić, lecz Wilk uchylił się poza zasięg jego rąk, przekręcił w powietrzu i przypadł do ziemi z wysoko uniesionym ogonem. Pobawmy się!

Torak opadł na czworaka. No to chodź!

Wilk puścił się pędem ku niemu, zaczęli się tarzać po śniegu, Wilk delikatnie podgryzał i targał Toraka za włosy, a chłopak chwycił go za pysk i podnosił za kark. Na koniec Torak podrzucał wysoko kule śnieżne, a Wilk wykonywał swoje zdumiewające skoki z obrotami, łapał kule w locie, wpadał w zaspę i wynurzał się z nosem całym w śniegu.

Wreszcie Torak podniósł się bez tchu i usłyszał, że Renn wychodzi z jaskini.

–Mam nadzieję – ziewnęła – że nie jesteśmy zbyt daleko od Lasu. Co się stało z twoim płaszczem?

Miał właśnie powiedzieć, że zdarła go z niego burza, gdy nagle odwrócił się – i zapomniał o płaszczu.

Na wschód od ich jaskini – za rzeką – strzelały w niebo Wysokie Góry. Były przerażająco blisko.

Przez wiele dni kryły się we mgle, a poprzedniego dnia widok przesłaniało im lodowe urwisko. Teraz, w jasnym świetle bezchmurnego dnia, Góry wgryzały się w niebo tuż przed nimi.

Torak poczuł, że zakręciło mu się w głowie. Po raz pierwszy w życiu Góry nie były dla niego jedynie mglistą ciemnością na wschodnim horyzoncie. Stał u ich korzeni, gnąc kark przed niezmiernymi, pokrytymi śniegiem zboczami i sięgającymi chmur czarnymi szczytami. Wyczuwał siłę i grozę bijącą z Gór. Były siedliskiem duchów. Nie człowieka.

Gdzieś wśród nich, pomyślał, leży Góra Ducha Świata. Góra, którą przyrzekłem odnaleźć.

Czerwone oko pięło się w górę. Torak wiedział, że pozostało tylko parę dni, by odnaleźć Górę. A nawet jeśli ją znajdzie, co potem? Co właściwie miał zrobić z Nanuak? Jak zniszczyć niedźwiedzia? Renn podeszła i stanęła obok niego.

–Chodźmy – powiedziała. – Musimy wydostać się z lodowej rzeki i wrócić do Lasu.

W tym momencie Wilk ruszył z miejsca i pobiegł na szczyt śnieżnej grani, nastawiając uszy ku podnóżom gór.

–Co się dzieje? – szepnęła Renn. – Co on usłyszał?

Torak usłyszał to również: odległe głosy dochodzące z Gór, zawodzące chórem dziką, zawsze inną pieśń wilczego stada.

Wilk odrzucił głowę do tyłu, zadarł pysk w niebo, i zawył.

–Jestem tutaj! Jestem tutaj!

Torak nie posiadał się ze zdumienia. Dlaczego Wilk odpowiada na wycie obcego stada? Samotne wilki tego nie robią. Unikają swych pobratymców.

Poprosił Wilka skomleniem, by do niego przyszedł, lecz ten pozostał w miejscu – stał ze zmrużonymi oczyma i uniesionymi czarnymi wargami, i śpiewał swą pieśń. Torak zauważył, że pozostało w nim niewiele ze szczeniaka. Nogi Wilka były dłuższe, a jego kark obrósł szalem gęstego, czarnego futra. Nawet skowyt pozbawiony był szczenięcego drżenia.

–Co on im mówi? – spytała Renn. Torak przełknął ślinę.

–Mówi im, gdzie jest.

–A one? Co mu mówią?

Torak zaczął słuchać, nie spuszczając Wilka z oczu.

–Rozmawia z dwoma stadami: zwiadowcami, którzy zeszli w turnie, by tropić renifera. Chyba... – umilkł. – Tak, wytropiły młodego samca. Zwiadowcy mówią pozostałym, gdzie go szukać, wyją z pyskami zagłębionymi w śniegu.

–Dlaczego? Po co?

–To taka sztuczka, której czasem używają wilki, by renifer myślał, że są znacznie dalej, niż są.

Renn wyglądała na zakłopotaną.

–Potrafisz to wszystko zrozumieć?

Wzruszył ramionami. Uderzyła butem w śnieg.

–Nie podoba mi się, kiedy mówisz po wilczemu. Czuję się wtedy dziwnie.

–A mnie się nie podoba, kiedy Wilk rozmawia z innymi wilkami – powiedział Torak. – Też czuję się wtedy dziwnie.

Renn spytała, co to znaczy, lecz on nie odpowiedział. Było to zanadto

bolesne, by dało się wyrazić słowami. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że choć zna wilczą mowę, nie jest i nigdy nie będzie prawdziwym wilkiem. Zawsze będzie go dużo dzielić od szczeniaka.

Wilk przestał wyć i zbiegł ze wzniesienia. Torak ukląkł i objął go ramionami. Wyczuł mocne, lekkie kości pod gęstym zimowym futrem, i miarowe bicie lojalnego serca. Kiedy schylił się, by pochwycić w nozdrza szczenięcy zapach słodkiej trawy, Wilk liznął go w policzek i delikatnie przycisnął czoło do czoła Toraka.

Torak zacisnął mocno powieki. Nie opuszczaj mnie, chciał powiedzieć Wilkowi. Nie wiedział jednak jak.

Ruszyli na północ. Był to wyczerpujący, mozolny marsz. Burza usypała i zamroziła granie, poprzedzielane rowami wypełnionymi śniegiem, w który zapadali się aż po uda. Pomni lodowych rozpadlin, dźgali śnieg przed sobą strzałami, co jeszcze bardziej spowalniało podróż. Przez cały czas mieli wrażenie, że Góry im się przypatrują, czekają, by się dowiedzieć, czy im się uda.

Do południa nie uszli daleko, jama śnieżna pozostawała ciągle w zasięgu wzroku. Natrafili teraz na kolejną przeszkodę – ścianę lodu. Była zbyt stroma, aby się po niej wspiąć, i zbyt twarda, by wyrąbać w niej przejście. Kolejny koszmarny dowcip lodowej rzeki.

Renn postanowiła zorientować się w sytuacji, a Torak czekał ze szczeniakiem. Cieszył się, że może odpocząć; woreczek ze skóry kruka bardzo mu ciążył.

–Uważaj na rozpadliny – ostrzegł, przypatrując się z niepokojem, jak Renn zagląda w pęknięcie pomiędzy dwoma najwyższymi kłami lodu.

–Chyba uda nam się tędy przejść – zawołała.

Odpięła plecak, wcisnęła się w szczelinę i zniknęła.

Miał już ruszyć za nią, gdy nagle Renn wytknęła głowę ze szczeliny.

–Och, Torak, chodź, zobacz! Udało nam się! Naprawdę nam się udało!

Wilk skoczył za nią. Torak zdjął plecak i podążył za nimi. Nienawidził przeciskać się przez szczeliny – przywodziły mu na myśl jaskinię – lecz kiedy przedostał się na drugą stronę, odetchnął.

Spoglądał z góry na grzebień poszarpanego lodu, niczym zamarznięty wodospad. Przed nim rozciągało się długie zbocze, usiane zaśnieżonymi głazami, a jeszcze dalej, w odległości rzutu kamieniem, połyskując w białej, zimowej opończy, leżał Las.

–Nie przypuszczałam, że go jeszcze zobaczę – powiedziała Renn z namaszczeniem.

Wilk uniósł pysk i wciągał do nozdrzy zapachy. Odwrócił się i machnął

ogonem.

Torakowi odebrało mowę. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo bolało – właśnie bolało – przebywanie poza Lasem. Spędzili poza nim zaledwie trzy doby, a wydawało się, że trwało to miesiące.

Nie minęło jeszcze południe, kiedy pokonali ostatnią lodową grań i ruszyli zygzakiem w dół zbocza. Cienie zabarwiły się na fioletowo. Sosny uginały się pod ciężarem śnieżnych czap. Poczuli ogromną ulgę, kiedy znaleźli się znowu między drzewami i góry zniknęły im z oczu. Panowała jednak dojmująca cisza.

–To nie może być niedźwiedź – szepnęła Renn. – Na lodowej rzece nie było po nim śladu. A jeśli szedł naokoło, dolinami, zajęłoby mu to wiele dni.

Torak spojrzał na Wilka. Jego uszy sterczały do tyłu, lecz wargi miał opuszczone.

–Nie wydaje mi się, aby niedźwiedź był blisko – powiedział. – Ale chyba nie jest też daleko.

–Popatrz tutaj – rzekła Renn, wskazując na śnieg pod drzewem jałowca. – Ślady ptaków.

Torak zatrzymał się, aby im się przyjrzeć.

–Kruk. Chodził, a nie podskakiwał. Czyli nie był przestraszony. Była tu też wiewiórka. – Wskazał na szyszki rozsypane u stóp sosnowego pnia, wszystkie zupełnie obgryzione, jak jabłka. – Widzę też ślady zająca. Dość świeże. Zostało nawet trochę sierści.

–Jeżeli są świeże, to dobry znak dla nas – powiedziała Renn.

–Mhm. – Torak utkwiał wzrok w mroku. – Ale to nie. Tur leżał na boku niczym wielki brązowy głaz. Za życia przewyższał wzrostem najwyższego człowieka, a rozstaw jego lśniących czarnych rogów był niemal tak samo duży. Niedźwiedź rozpruł mu brzuch i pozostawił go wśród zrytego, karmazynowego śniegu.

Torak spojrzał na wspaniałe, padłe zwierzę, i poczuł gniew. Tury, choć ogromne, to bardzo łagodne stworzenia, które używają rogów tylko podczas walki o samice lub w obronie młodych. Ten płaskonosy byk nie zasłużył na tak brutalną śmierć.

Ścierwem nie pożywiły się nawet inne leśne stworzenia. Ani lisy, ani sobole nie odważyły się do niego zbliżyć, żaden kruk się na nim nie posilał. Żadne stworzenie nie chciało dotykać zwierzyny niedźwiedzia.

–Urrf! – warknął Wilk, biegnąc wokół z odsłoniętymi zębami.

Cofnij się, ostrzegł Torak. Ściemniło się, ale wciąż dostrzegał odciski niedźwiedzich łap na śniegu i nie chciał, aby Wilk ich dotykał.

–Chyba zginął wczoraj albo przedwczoraj – powiedziała Renn. – To już coś, prawda?

Torak obejrzał uważnie ścierwo, starannie omijając tropy niedźwiedzia. Dźgnął tura kijem i skinął głową.

–Zamarznięty na głaz. Nie żyje co najmniej od doby. Wilk warknął za jego plecami.

Torak zastanawiał się, czemu szczeniak jest tak zaaferowany, skoro zwierzę zginęło już jakiś czas temu.

–Wydawało mi się, że kiedy znajdziemy się znowu w Lesie, będziemy bardziej bezpieczni... – odezwała się Renn. – Tak mi się wydawało...

Ale Torak nie dowiedział się, co chciała powiedzieć Renn. Nagle śnieg wokół nich eksplodował i otoczyło ich kilka roślących, odzianych na biało postaci.

Zbyt późno uświadomił sobie, że Wilk nie warczał na tura – lecz na ludzi przyczajonych w zasadzce. Oglądaj się za siebie, Torak. Zapomniał o tym. Znowu.

Ująwszy nóż w jedną rękę, a topór w drugą, przysunął się bokiem do Renn, która założyła już strzałę na cięciwę. Wilk pomknął w mrok. Torak i Renn wsparli się o siebie plecami i spoglądali w połyskujący krąg grotów strzał.

Najwyższa z ubranych na biało postaci wystąpiła naprzód i odrzuciła kaptur. W świetle zmierzchu jej ciemno-rude włosy wydawały się niemal czarne.

–Mamy was wreszcie – powiedział Hord.

Dlaczego to robicie? – krzyczała Renn. – On próbuje nam pomóc! Nie możecie traktować go jak wyrzutka! – Tak? To się przyjrzyj – powiedział Hord, wlokąc Toraka przez śnieg.

Torak starał się utrzymać na nogach, co nie było łatwe, gdyż ręce miał skrępowane na plecach. Nie było nadziei na ucieczkę: Oslak wraz z czterema silnymi Krukami otoczyli ich kręgiem.

–Prędzej! – ponaglał Hord. – Musimy dotrzeć do obozu przed nocą!

–Ale on jest Słuchającym! – wołała Renn. – Mogę tego dowieść! – Wskazała na woreczek z kruczej skóry przy pasie Toraka. – Odnalazł wszystkie trzy elementy Nanuak!

–Czyżby? – mruknął Hord. Nie zwalniając tempa, wyjął nóż i odciął woreczek Torakowi od paska. – Teraz to należy do mnie.

–Co ty robisz? – krzyknęła Renn. – Oddaj!

–Bądź cicho – szczerknął Hord.

–Niby dlaczego? Kto powiedział, że możesz...

Hord uderzył ją. Był to silny cios wymierzony prosto w twarz, dziewczyna zatoczyła łuk w powietrzu i wylądowała na biodrze.

Oslak warknął na znak protestu, lecz Hord ostrzegł, by się nie zbliżał. Dyszał ciężko i patrzył, jak Renn siada.

–Nie jesteś już moją siostrą – powiedział jadowicie. – Kiedy znaleźliśmy twój kołczan w strumieniu, sądziliśmy, że nie żyjesz. Fin-Kedinn nie odzywał się przez trzy dni, ale ja nie żałowałam. Byłam zadowolony. Zdradziłaś nasz klan, a mnie przyniosłaś wstyd. Żałuję, że żyjesz.

Renn przyłożyła drżącą dłoń do ust. Krwawiły. Na policzku pojawiła się czerwona pręga.

–Nie powinieneś był jej bić – powiedział Torak.

Hord odwrócił się do niego.

–Nie twoja sprawa!

Torak popatrzył na Horda twardo – i zdumiała go zmiana, jaka w nim zaszła. Zamiast zwałistego, młodego mężczyzny, z którym walczył niecały miesiąc temu, miał przed sobą wychudzony cień. Oczy Horda były przekrwione z bezsenności, a ręka, którą trzymał Nanuak, niemal pozbawiona paznokci – pozostały po nich tylko ropiejące rany. Coś pożerało go od środka.

–Przestań się na mnie gapić – warknął.

–Hord – odezwał się Oslak. – Musimy iść dalej. Niedźwiedź...

Hord odwrócił się i wyteńczywszy wzrok, wpatrzył się w ciemność.

–Niedźwiedź, niedźwiedź – mamrotał, jakby sama myśl o nim go bolała.

–Chodź, Renn. – Oslak pochylił się i podał dziewczynie dłoń. – Niedługo zrobimy ci okład. Obóz nie jest daleko.

Renn zignorowała go i wstała bez pomocy.

Obserwując ścieżkę, Torak dostrzegł pomarańczowy błysk w zapadającym zmierzchu. Bliżej zaś, w cieniu młodego świerka, zobaczył parę bursztynowych oczu.

Serce mu zamarło. Jeżeli Hord dostrzeże Wilka, nie wiadomo, co może zrobić.

Na szczęście Renn ściągnęła uwagę wszystkich na siebie.

–Czy mój brat jest teraz wodzem klanu? – zapytała wyzywająco. – Słuchacie jego rozkazów, nie Fin-Kedinna?

Mężczyźni opuścili głowy.

–To nie takie proste – powiedział Oslak. – Niedźwiedź zaatakował nas trzy dni temu. Zabił... – jego głos stał się chrapliwy – zabił dwoje z nas.

Krew odpłynęła z twarzy Renn. Przysunęła się do Oslaka, którego brwi i policzki naznaczone były szarą gliną rzeczną.

Torak nie wiedział, co mówią te znaki, lecz kiedy Renn je spostrzegła, westchnęła.

–Nie – szepnęła, dotykając dłoni Oslaka. Wielki mężczyzna kiwnął głową i odwrócił wzrok.

–A co z Fin-Kedinnem? – spytała piskliwym głosem Renn. – Czy on...?

–Jest ciężko ranny – powiedział Hord. – Kiedy umrze, ja będę wodzem.

Dopilnuję tego.

Renn zakryła usta dłońmi i pobiegła w stronę obozu.

–Renn! – zawołał Oslak. – Wracaj!

–Niech biegnie – powiedział Hord.

Gdy dziewczyna zniknęła, Torak poczuł się bardzo samotny. Nie znał nawet imion pozostałych mężczyzn z klanu Kruka.

–Oslak – poprosił. – Powiedz Hordowi, żeby mi oddał Nanuak. To nasza jedyna nadzieja. Dobrze o tym wiesz.

Oslak chciał coś powiedzieć, lecz Hord nie dopuścił go do głosu.

–Twoja rola dobiegła końca – odezwał się do Toraka. – To ja zaniosę Nanuak na Górę. To ja złożę w ofierze krew Słuchającego, by ocalić mój lud!

Wilk był tak przerażony, że pragnął wyć. Jak pomóc bratu ze stada? Dlaczego wszystko tak się zaplątało? Kiedy podążał za dorosłymi bezogonami przez Jasne Miękkie Zimno, walczył z głodem ściskającym go w żołądku i zapachem lemingów o skok od niego, z powodu którego ciekła mu ślina. Usiłował też zignorować Zew, który stał się tak silny, że Wilk czuł go przez cały czas. Czuł też rozsiewany przez wiatr strach demona. Odwrócił uszy w stronę, z której dobiegał odległy skowyt obcego stada – stada, które nie było już właściwie obce... stada odległych krewnych...

Musiał to wszystko zignorować. Jego brat ze stada był w niebezpieczeństwie. Wilk czuł jego ból i strach. Czuł też gniew dorosłych bezogonów oraz ich strach. Bali się Wysokiego Bezogona.

Wiatr zmienił kierunek i do nozdrzy Wilka dotarła fala zapachów z wielkiego Legowiska bezogonów. Dźwięki i zapachy pochłonęły go zupełnie. Źle, źle, źle. Stracił odwagę. Skomlać, skoczył pod zwalone drzewo.

Legowisko oznaczało okropne niebezpieczeństwo. Było wielkie i bardzo kręte, pełne złych, nieposłusznych psów i Jasnych-Bestii-Które-Kąsają-Gorąco. Ale najgorsi ze wszystkiego byli bezogoni. Nie byli w stanie wiele usłyszeć czy wyczuć, ale nadrabiali to, robiąc różne mądre rzeczy przednimi łapami, i posyłając Długie-Latające-Szpony, by upolować zwierzynę.

Wilk nie mógł się zdecydować, czy zostać, czy uciec.

Zaczął żuć gałąź, by zebrać myśli. Potem wziął do pyska trochę Jasnego Miękkiego Zimna. Zaczął biegać w koło. Nic nie pomogło. Bardzo tęsknił za tajemniczą pewnością, która niekiedy przychodziła doń i mówiła, co robić. Tym razem nie nadeszła. Uleciała w Górę, jak kruk.

Co miał zrobić?

Torak czuł wyrzuty sumienia. Przez własną nieostrożność stracił Nanuak. To była jego wina. Pokryte śniegiem drzewa wokół niego rzucały na ścieżkę niebieskie, księżycowe cienie. „Twoja wina” – zdawały się mówić.-Prędszej – rzucił Hord, dźgając go w plecy.

Kruki rozbiły obóz na polanie obok górskiego potoku. W samym sercu polany płonął wieczny ogień – trzy sosnowe kłody żarzyły się pomarańczowo. Wokół niego tłoczyły się pochyłe szałas, przy których rozpalono krąg mniejszych ognisk oraz wykopano wilcze doły nadziane zaostrzonymi palikami. Przy dołach pełnili wartę mężczyźni z włóczniami. Wydawało się, że cały klan przybył na północ.

Hord ruszył przodem, a Torak czekał wraz z Oslakiem przy jednym z szałasów. Zobaczył Renn, co dodało mu trochę otuchy. Klęczała przed wejściem do szałas z boku polany i prowadziła z kimś ożywioną rozmowę. Nie zauważyła go.

Ludzie zebrali się wokół wiecznego ognia. Powietrze było gęste od strachu. Według Oslaka, zwiadowcy natrafili na ślady niedźwiedzia zaledwie dwie doliny dalej.

–Robi się coraz silniejszy – mówił. – Rozdziera Las na kawałki, jakby... jakby czegoś szukał.

Torak zadrżał. Szybki marsz, do którego zmusił go Hord, sprawił, że było mu ciepło, lecz teraz, ubrany jedynie w letni strój z kozłej skóry, zaczął marznąć. Miał nadzieję, że nie pomyśli, że to ze strachu.

Oslak rozwiązał mu nadgarstki i położył mu dłoń na ramieniu, by zaprowadzić na polanę. Torak zapomniał o zimnie i potykając się, wkroczył w krąg światła rzucanego przez wieczny ogień. Otoczył go gwar głosów, niczym rój rozłoszczonych pszczół.

Zobaczył Saeunn, siedzącą ze skrzyżowanymi nogami na stosie skór reniferów. Woreczek z kruczej skóry spoczywał na jej podołku; obok siedział Hord, obgryzając kciuk; Dyrati przypatrywała mu się z napiętą twarzą.

Zapadła cisza. Ludzie zrobili przejście dla czterech mężczyzn, niosących Fin-Kedinna na noszach ze skóry tura. Twarz wodza Kruków była ściągnięta, a lewa noga opatrzona bandażami zbroczonymi krwią. Kiedy mężczyźni kładli go przy ogniu, jego twarz przybrała na moment wyraz skupienia. Jedyna oznaka, że cierpi.

Pojawiła się Renn, tocząc przed sobą sosnowy pniak. Postawiła go za Fin-Kedinnem, by mógł się oprzeć, i ukucnęła obok. Nie patrzyła na Toraka. Wpatrywała się w ogień.

Oslak szturchnął go w plecy i Torak postąpił kilka niepewnych kroków w

kierunku noszy.

Wódz Kruków spojrzał mu w oczy, przykuwając jego spojrzenie, i Torak poczuł ulgę. Błękitne oczy były tak samo intensywne i nieprzeniknione, jak zawsze. Hord będzie musiał jeszcze trochę poczekać, zanim zostanie wodzem klanu.

–Kiedy po raz pierwszy natknęliśmy się na tego chłopca – odezwał się Fin-Kedinn mocnym, dźwięcznym głosem – nie wiedzieliśmy kim, a raczej czym jest. Od tamtej chwili zdołał odnaleźć trzy elementy Nanuak i ocalić życie jednej z nas. – Urwał. – Nie mam wątpliwości. On jest Słuchającym. Pytanie brzmi, czy pozwolimy mu zanieść Nanuak na Górę? Samotnemu chłopcu? A może pošlemy naszego najsilniejszego myśliwego – dorosłego mężczyznę, który będzie miał o wiele większe szanse w walce z niedźwiedziem?

Hord przestał obgryzać kciuk i wyprostował plecy. Serce Toraka zamarło.

–Nie mamy wiele czasu – podjął Fin-Kedinn, spoglądając w niebo, na którym migotał Wielki Tur. – Za kilka dni niedźwiedź stanie się zbyt silny, aby go pokonać. Nie możemy zwołać zgromadzenia klanów, nie mamy czasu. Muszę podjąć decyzję teraz, w imieniu wszystkich klanów.

–Umilkł. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był syk i trzask ognia. Kruki rozważały każde słowo wodza. – Wielu spośród nas sądzi – ciągnął Fin-Kedinn – że byłoby szaleństwem złożyć nasz los w ręce chłopca.

Hord skoczył na równe nogi.

–Bo to jest szaleństwo! A ja jestem najsilniejszym myśliwym! Pozwólcie mi iść na Górę i ocalić mój lud!

–Nie jesteś Słuchającym – powiedział Torak.

–A co z resztą Przepowiedni? – zakrakała Saeunn.

–Słuchający napoi Górę krwią swego serca. Zrobisz to?

Torak zaczerpnął tchu.

–Jeśli będzie trzeba.

–Ale jest jeszcze inny sposób! – krzyknął Hord. – Zabijmy go teraz, a ja zaniosę na Górę jego krew! Przynajmniej będziemy mieli jakąś szansę!

Wśród Kruków rozszedł się pomruk aprobaty. Fin-Kedinn podniósł dłoń w uciszającym geście, po czym odezwał się do Toraka:

–Wcześniej mówiłeś, że nie jesteś Słuchającym. Czemu zmieniłeś zdanie?

Torak podniósł głowę.

–Niedźwiedź zabił mojego ojca. Właśnie po to został stworzony.

–Tu chodzi o coś więcej niż zemstę – zakpił Hord.

–I o coś więcej niż próżność – odpalił Torak. Zwrócił się do Fin-Kedinna: – Nie chcę wcale być „zbawcą mego ludu”. Jakiego ludu? Nigdy w życiu nie

spotkałem człowieka z własnego klanu. Ale złożyłem ojcu przysięgę, że odnajdę Górę. Złożyłem przysięgę.

–Tracimy czas! – powiedział Hord. – Dajcie mi Nanuak, pójdę.

–Jak? – odezwał się ktoś cichym głosem.

To była Renn.

–Jak odnajdziesz Górę? – spytała.

Hord zawahał się. Renn wstała.

–Mówi się, że to szczyt wysunięty najdalej na północ, leżący u kresu Wysokich Gór. Właśnie tutaj kończą się Wysokie Góry. Więc gdzie ona jest? – Rozłożyła ręce. – Ja nie wiem. – Odwróciła się do Horda. – A ty?

Zacisnął zęby.

Renn zwróciła się do Saeunn.

–A ty? Nie. A przecież jesteś Czarownicą. – Spojrzała na Fin-Kedinna. – A ty?

–Nie – odpowiedział. Renn wskazała na Toraka.

–Nawet on nie wie, gdzie jest Góra, choć jest Słuchającym – urwała. – Ale jest ktoś, kto wie. – Popatrzyła na Toraka znacząco.

Zrozumiał, do czego zmierzała. Mądra, pomyślał. Ale czy to podziiała?

Torak przyłożył dłonie do ust i zawył. Wśród Kruków rozległ się szmer zdumienia. Torak zawył raz jeszcze.

Nagle przez polanę przemknęła szara kula i wpadła na niego.

Ludzie umilkli i zaczęli wskazywać sobie Wilka w milczeniu; psy wpadły we wściekłość, trzeba je było odegnąć kopniakami. Jakieś dziecko roześmiało się.

Torak ukląkł i zanurzył twarz w futrze Wilka.

–Tylko Wilk potrafi odnaleźć Górę – odezwał się do Fin-Kedinna. – To właśnie dzięki niemu zaszliśmy tak daleko. Tylko dzięki niemu odnaleźliśmy Nanuak.

Wódz Kruków pogładził dłonią ciemnorudą brodę.

–Oddajcie mi Nanuak – poprosił Torak. – A ja zaniosę ją do Ducha Świata. To nasza jedyna szansa.

Ogień trzasnął, sypnęło iskrami. Śnieg spadł z głuchym łoskotem z pobliskiego świerka. Kruki czekały na postanowienie wodza.

Wreszcie Fin-Kedinn przemówił:

–Damy ci jedzenie i ubranie na drogę. Kiedy wyruszysz?

Torak odetchnął. Renn skinęła nieznacznie głową. Hord zaczął głośno protestować, lecz Fin-Kedinn uciszył go spojrzeniem. Ponownie zwrócił się do Toraka.

–Kiedy wyruszysz?

Torak przełknął ślinę.

–Uhm. Jutro?

Następnego dnia Torak i Wilk mieli zagłębić się w nękanym przez niedźwiedzia Lesie – i Torak zupełnie nie wiedział, co powinien robić. Nawet jeśli dotrze do Góry, co potem? Ma po prostu położyć Nanuak na ziemi? Błagać Ducha Świata, aby zniszczył niedźwiedzia? Samemu stanąć z nim do walki?

–Chcesz nową parę butów czy mamy naprawić twoje? – spytała szorstko kobieta Oslaka, kiedy mierzyła go, by uszyć zimowe ubranie.

–Słucham?

–Buty – powtórzyła kobieta.

Miała zmęczone oczy i znaki z szarej gliny na policzkach, i była na niego wściekła. Nie wiedział dlaczego.

–Przyzwyczaiłem się do moich butów – odpowiedział. – Więc może moglibyście...

–Naprawić je! – parsknęła. – Sądzę, że mi się to uda!

–Dziękuję – powiedział Torak pokornie.

Zerknął na Wilka, który kulił się w kącie z uszami do tyłu.

Kobieta Oslaka chwyciła kawałek ścięgna i opasała nim Toraka, by zmierzyć szerokość ramion.

–Och, będzie przecież pasowało – mruknęła. – Usiądź teraz. Usiądź.

Torak usiadł i przyglądał się, jak kobieta zawiązuje supełki, żeby oznaczyć pomiar. Jej oczy były wilgotne, mrugała gwałtownie. Przyłapała go na przypatrywaniu się.

–Na co się tak gapisz?

–Na nic – odpowiedział. – Mam się rozebrać?

–Nie, chyba że masz ochotę zamarznąć. Dostaniesz nowe rzeczy przed świtem. A teraz daj mi buty.

Zrobił, o co prosiła. Spojrzała z obrzydzeniem, jakby podawał jej parę gnijących łososi.

–Więcej dziur niż w rybackiej sieci – powiedziała. Poczuli ulgę, gdy wreszcie wyszła z szałas.

Nie minęło wiele czasu od jej wyjścia, kiedy zjawiała się Renn. Wilk przyskoczył do niej i liznął ją w rękę. Podrapała go za uchem.

Torak chciał jej podziękować, że się za nim wstawiła, ale nie bardzo wiedział, jak zacząć. Cisza przedłużała się.

–Jak ci się rozmawiało z Venda? – spytała gwałtownie Renn.

–Z Venda? Ach, kobietą Oslaka? Myślę, że raczej mnie nie lubi.

–Nie chodzi o ciebie. Chodzi o ubranie. Przygotowywała je dla syna. Teraz

dostaniesz je ty.

–Dla syna?

–Zabił go niedźwiedź.

Och, biedna Venda, pomyślał. Biedny Oslak. Stało się jasne, skąd te znaki z gliny. Zapewne Kruki tak właśnie dawały wyraz żałobie.

Siniak na policzku Renn był teraz fioletowy; Torak zapytał, czy boli.

Potrząsnęła głową. Odgadł, że było jej wstyd z powodu postępowania brata.

–Co z Fin-Kedinnem? – zapytał. – Jak jego noga?

–Źle. Rana aż do kości. Ale żadnych śladów czarnej choroby.

–To dobrze – zawahał się. – Czy bardzo był na ciebie zły?

–Bardzo. Ale nie po to tu przyszłam.

–A więc po co?

–Wyruszam jutro razem z tobą. Torak przygryzł wargę.

–Myślałem, że pójdę sam z Wilkiem. Spojrzała na niego groźnie.

–Dlaczego?

–Nie wiem. Tak po prostu myślałem.

–Głupio myślałeś.

–Być może. Ale tak właśnie było.

–Mówisz jak Fin-Kedinn.

–To kolejny powód. On nigdy ci na to nie pozwoli.

–A od kiedy może mnie to powstrzymać?

Torak uśmiechnął się.

Ona nie. Spiorunowała go wzrokiem i podeszła do ogniska przy wejściu do szałas.

–Masz z nim zjeść wieczorny posiłek – rzekła. – To wielki zaszczyt, gdybyś nie wiedział.

Torak przełknął ślinę. Bał się Fin-Kedinna, ale w jakiś dziwny sposób pragnął też jego aprobaty. Perspektywa wspólnego posiłku bardzo go onieśmiała.

–Czy ty też tam będziesz? – zapytał. – Nie.

–Och!

Znowu zapadło milczenie. Wreszcie Renn złagodniała.

–Mogę zostać z Wilkiem, jeśli chcesz. Lepiej nie zostawiać go sam na sam z psami.

–Dzięki.

Pokiwała głową. Później zobaczyła jego bosa stopy.

–Poszukam butów dla ciebie.

Jakiś czas potem Torak szedł do Fin-Kedinna, potykając się w pożyczonych

butach, które były o wiele za duże. Zastał wodza Kruków pogrążonego w gorącej dyskusji z Saeunn. Przerwali, gdy wszedł. Saeunn wyglądała na rozgniewaną. Twarz Fin-Kedinna nie wyrażała niczego.

Torak usiadł ze skrzyżowanymi nogami na skórze renifera. Nie widział żadnego jedzenia, ale ludzie krzatali się wokół skórzanych garnków przy wiecznym ogniu. Zastanawiał się, kiedy dostaną posiłek. I co właściwie tu robi.

–Mówiłam ci, co o tym sędzę – powiedziała Saeunn.

–Faktycznie, ale to niczego nie zmienia – przyznał Fin-Kedinn.

Nie uczynili nic, by włączyć Toraka do rozmowy, pozostawało mu więc tylko rozglądanie się po szałasie Fin-Kedinna. Nie był większy od pozostałych szałasów, na palu podtrzymującym sufit wisiał zwykły sprzęt myśliwski, ale cięciwa wielkiego cisowego łuku była pęknięta, a biała kurtka ze skóry renifera poplamiona zeschniętą krwią: oczywisty dowód, że wódz Kruków stawił czoło niedźwiedziowi i przeżył.

Nagle Torak zauważył, że z cienia przypatruje mu się jakiś mężczyzna. Miał krótkie, brązowe włosy i ciemną, pomarszczoną twarz.

–To Krukoslik – odezwał się Fin-Kedinn. – Z klanu Górskiego Zająca.

Mężczyzna przyłożył obie pięści do serca i skłonił głowę.

Torak odpowiedział tym samym gestem.

–Krukoslik zna te okolice lepiej niż ktokolwiek z nas – powiedział Fin-Kedinn.

– Porozmawiasz z nim, zanim wyruszysz. Jeżeli nie okaże się pomocny w niczym innym, udzieli ci przynajmniej paru wskazówek, jak przetrwać w Górach. Nie byłem zachwycony stanem, w jakim się znajdowałeś, kiedy cię schwytano. Nie miałeś zimowego ubrania, buklaka ani jedzenia. Twój ojciec z pewnością inaczej cię uczył.

Torak gwałtownie wciągnął powietrze.

–A więc znałeś go?

Saeunn zjeżyła się, lecz Fin-Kedinn zgromił ją spojrzeniem.

–Tak – odparł. – Znałem go. Był czas, kiedy twój ojciec był moim najlepszym przyjacielem.

Saeunn odwróciła się ze złością.

Torak czuł, że sam zaczyna wpadać w złość.

–Skoro był twoim najlepszym przyjacielem, czemu skazałeś mnie na śmierć? Czemu pozwoliłeś walczyć z Hordem? Dlaczego musiałem siedzieć związany, podczas gdy klany obradowały, czy mnie złożyć w ofierze?

–Żeby się przekonać, z jakiej jesteś gliny – powiedział spokojnie Fin-Kedinn.

– Nie przydałbyś się na nic, gdybyś nie potrafił użyć sprytu. – Urwał. – Jeśli sobie przypominasz, nie trzymałem cię pod ścisłą strażą. Zostawiłem nawet

szczeniaka przy tobie.

Torak zamyślił się.

–Chcesz powiedzieć... że poddawałeś mnie próbie? Fin-Kedinn nie odpowiedział.

Od głównego ogniska nadeszło dwóch mężczyzn, niosąc parujące miski z brzoźowego drewna.

–Jedz – zachęcił Krukoslík, wręczając jedną Torakowi.

Fin-Kedinn rzucił mu łyżkę z rogu i przez jakiś czas Torak nie myślał o niczym, łapczywie pochłaniając posiłek. Był to lekki bulion na racicach łosia z kilkoma paskami suszonego jeleniego serca, doprawiony owocami jarzębiny i twardym, pozbawionym smaku grzybem drzewnym, który klany nazywają uchem tura. Prócz tego dostał też jeden placek z pieczonych żołądździ – bardzo gorzki, choć do zniesienia, jeśli się go połamało i wrzuciło do bulionu.

–Wybacz, że nie możemy ugościć cię lepiej – powiedział Fin-Kedinn. – Ale zwierzyny tutaj jak na lekarstwo. – Był to pierwszy i ostatni raz, kiedy wódz Kruków nawiązał do niedźwiedzia.

Torak był zbyt wygłodzony, aby się tym przejmować. Dopiero gdy skończył wylizywać miskę, zauważył, że Saeunn i Fin-Kedinn niemal nie tknęli swoich. Saeunn odniosła miski i położyła je obok skórzanego garnka, po czym wróciła. Krukoslík zawiesił swoją łyżkę u pasa, ukląkł przy niewielkim ognisku rozpalonym przed wejściem do szałasów i wymamrotał krótką modlitwę dziękczynną.

Torak nigdy w życiu nie widział kogoś podobnego. Mężczyzna nosił obszerną szatę ze skóry brunatnego renifera, zwisającą do łydek, oraz szeroki pas ze skóry płowego jelenia. Znak klanowy stanowiła skóra z płataniną zajęczej sierści, wszyta na ramionach, ufarbowana na ognistą czerwień, przez czoło mężczyzny biegła zaś czerwona łamana linia – tatuaż klanowy. Na piersi nosił odłamek okopconego górskiego kryształu długości palca.

Zauważył, że Torak patrzy na naszyjnik i uśmiechnął się.

–Dym to oddech Ducha Ognia. Klany górskie czczą ogień ponad wszystko inne.

Torak przypomniał sobie, jak bardzo ukoił ich ogień, gdy razem z Renn schronili się w jamie śnieżnej.

–Myślę, że rozumiem – powiedział. Krukoslík uśmiechnął się szerzej.

Gdy wieczorny posiłek dobiegł końca, Fin-Kedinn poprosił pozostałych o opuszczenie szałasów, by mógł porozmawiać z Torakiem sam na sam. Krukoslík wstał i skłonił się. Saeunn syknęła gniewnie i wypadła z szałasów jak burza.

Torak zastanawiał się, co go czeka.

–Saeunn uważa, że nie powinienem ci więcej mówić – powiedział Fin-Kedinn.

– Sądzi, że ta wiedza będzie cię rozpraszać podczas jutrzejszej wyprawy.-Mówić mi o czym? – spytał Torak.

–O tym, o czym chciałbyś usłyszeć. Torak rozważył w myśli jego słowa.

–Chcę wiedzieć wszystko.

–To niemożliwe. Spróbuj jeszcze raz.

Torak wpatrzył się w rozdarcie na kolanie spodni.

–Dlaczego ja? Dlaczego to ja jestem Słuchającym? Fin-Kedinn pogładził brodę.

–To długa historia.

–Chodzi o mojego ojca? To dlatego, że był Czarownikiem klanu Wilka? Wrogiem kulawego wędrowca, który stworzył niedźwiedzia?

–To prawda... po części.

–Ale kim był ten człowiek? Dlaczego byli wrogami? Tata nigdy o nim nie wspominał.

Wódz Kruków rozgrzebał ognisko patykiem. Torak dostrzegł zmarszczki bólu zarysowujące się w kącikach jego ust. Nie odwracając głowy, Fin-Kedinn powiedział:

–Czy twój ojciec mówił ci kiedykolwiek o Pożeraczach Dusz?

–Nie. Nigdy o nich nie słyszałem – odparł Torak zdumiony.

–Jesteś chyba jedyną osobą w Lesie, która o nich nie słyszała. – Fin-Kedinn umilkł, cienie tańczyły na jego twarzy w blasku ogniska. – Pożeraczami Dusz nazywano siedmiu Czarowników z różnych klanów – podjął. – Na samym początku nie byli źli. Pomagali swoim klanom. Każdy posiadał określoną umiejętność. Jeden był subtelny jak wąż, nieustannie zgłębiał tajniki ziół i naparów. Inny – silny jak dąb, chciał poznać umysły drzew. Myśli trzeciego szybowały zręczniej niż nietoperz. Uwielbiał usidlać małe stworzenia, aby robiły, co chciał. Jeszcze inny był dumny i przewidujący, zafascynowany demonami, usiłował je kontrolować. Powiadano, że razem byli w stanie wezwać Śmierć. – Fin-Kedinn ponownie rozgrzebał ognisko.

Ponieważ nie mówił dalej, Torak zebrał się na odwagę.

–Wymieniłeś pięciu. Mówiłeś, że było ich siedmiu.

Fin-Kedinn puścił pytanie mimo uszu.

–Wiele lat temu zebrali się potajemnie. Najpierw nazwali się Leczącymi. Oszukiwali się, wmawiając sobie, że chcą tylko czynić dobro, leczyć choroby, strzec przed demonami. – Jego usta wykrzywiły się pogardliwie. – Bardzo szybko osunęli się w zło, pchani żądzą władzy.

Torak zacisnął dłoń na kolanie.

–Dlaczego nazywa się ich Pożeraczami Dusz? – zapytał, prawie nie

poruszając wargami. – Czy naprawdę pożerają dusze?

–Któż to wie? Ludzie bali się ich, a kiedy ludzie się boją, plotki stają się prawdą. – Twarz Fin-Kedinna pozostawała nieprzenikniona. – Przede wszystkim Pożeracze Dusz łaknęli władzy. Po to właśnie żyli. Chcieli rządzić Lasem. Zmusić każdego, by robił, co mu każą. Potem, trzynaście lat temu, coś się wydarzyło i ich władza legła w gruzach.

–Co? – szepnął Torak. – Co się wtedy zdarzyło?

Fin-Kedinn westchnął.

–Wystarczy, jeśli się dowiesz, że był wielki pożar i Pożeracze Dusz się rozpierzchli. Niektórzy odnieśli poważne obrażenia. Wszyscy się ukryli. Wydawało nam się, że niebezpieczeństwo znikło na zawsze. Myliliśmy się. – Złamał patyk na dwoje i wrzucił do ognia. – Mężczyzna, którego nazywasz kulawym wędrowcem, człowiek, który stworzył niedźwiedzia, był jednym z nich.

–Był Pożeraczem Dusz?

–Zrozumiałem to w chwili, gdy Hord mi o nim opowiedział. Tylko Pożeracz Dusz potrafi uwięzić tak potężnego demona. – Fin-Kedinn spojrzał Torakowi w oczy. – Twój ojciec był jego wrogiem. Był zaprzysięgłym wrogiem wszystkich Pożeraczy Dusz.

Torak nie mógł się wyzwolić od intensywnego, błękitnego spojrzenia.

–Nigdy nic mi nie powiedział.

–Miał powody. Twój ojciec... Twój ojciec zrobił w życiu wiele złych rzeczy. Ale zrobił też wszystko, co mógł, by powstrzymać Pożeraczy Dusz. Dlatego go zabili. Również z tego powodu wychowywał cię w odosobnieniu. Aby się nigdy nie dowiedzieli, że istniejesz.

Torak spojrzał na niego.

–Ja? Dlaczego?

Fin-Kedinn nie słuchał. Raz jeszcze wpatrzył się w płomienie.

–Wydawało się to niemożliwe – mruknął. – Nikt nawet nie przypuszczał, że miał syna. Nawet ja.

–Ale... Saeunn wiedziała. Tata jej powiedział pięć lat temu na zgromadzeniu klanów nad Morzem. Czy ona...

–Nie – przerwał mu Fin-Kedinn. – Nigdy mi nie powiedziała.

–Nie rozumiem – rzekł Torak. – Dlaczego Pożeracze Dusz nie powinni o mnie wiedzieć? Co jest ze mną nie tak?

Fin-Kedinn przyjrzał się uważnie jego twarzy.

–Nic. Nie mogą o tobie wiedzieć, gdyż... – potrząsnął głową, jak gdyby nie chciał powiedzieć zbyt wiele – gdyż pewnego dnia, być może, będziesz mógł stawić im czoła.

Torak był zdumiony.

–Ja! W jaki sposób?

–Nie wiem. Wiem tylko, że jeśli się o tobie dowiedzą, ruszą za tobą w pościg.

– Po raz kolejny jego oczy uwięziły wzrok Toraka. – To z tego powodu Saeunn nie chciała, żebyś wiedział. Ale ja z tego samego powodu uznałem, że musisz wiedzieć. Jeżeli przeżyjesz, jeżeli uda ci się zniszczyć niedźwiedzia, nie skończy się na tym. Pożeracze Dusz dowiedzą się, kto to zrobił. Dowiedzą się o twoim istnieniu. Prędzej czy później wpadną na twój trop.

Trzasnął żar. Torak podskoczył.

–Chcesz powiedzieć, że... nawet jeśli jutro przeżyję, będę uciekał przez całe życie?

–Tego nie powiedziałem. Możesz uciekać lub walczyć. Zawsze jest wybór.

Torak podniósł wzrok na poplamioną krwią kurtkę. Hord miał rację: to była walka dla mężczyzny, nie chłopca.

–Dlaczego Tata nigdy mi o niczym nie powiedział? – spytał.

–Wiedział, co robi – rzekł Fin-Kedinn. – Miał trochę na sumieniu. Kilka rzeczy, których mu nigdy nie wybaczę. Ale wydaje mi się, że jeśli chodzi o ciebie, postąpił słusznie.

Torak nie mógł wykrztusić słowa.

–Zastanów się, Torak. Dlaczego w Przepowiedni jest mowa o „Słuchającym”, a nie o „Mówiącym” czy „Widzącym”?

Torak potrząsnął głową.

–Dlatego, że najważniejszą umiejętnością myśliwego jest słuchanie. Musi słyszeć, co wiatr i drzewa mówią do niego. Co inni myśliwi i zwierzyzna mówią o Lesie. To dar, który otrzymałeś od ojca. Nie nauczył cię Magii ani historii klanów. Nauczył cię polować. Używać sprytu i spostrzegawczości. – Urwał. – Jeżeli ma ci się jutro udać, to tylko w ten sposób. Będziesz musiał użyć sprytu.

Minęła północ, a Torak wciąż siedział przy ognisku gorejącym na środku polany, wpatrzony w ciemność Wysokich Gór. Był sam. Wilk wybrał się na nocną wyprawę; jedyną oznaką życia w obozie była milcząca obecność strażników przy punktach obronnych oraz chrapanie dobiegające z szałasu Oslaka.

Torak bardzo chciał obudzić Renn i wszystko jej opowiedzieć. Nie wiedział jednak, w którym szałasie dziewczyna śpi. Poza tym nie był pewien, czy zdołałby jej opowiedzieć o Tacie – o tych złych rzeczach, które według Fin-Kedinna Tata miał na sumieniu.

Jeżeli przetrwasz, nie skończy się na tym... Pożeracze Dusz wpadną na twój trop... Możesz uciekać lub walczyć. Zawsze jest wybór...”

Straszne wizje kłębiły mu się w głowie niczym burza śnieżna. Mordercze oczy

niedźwiedzia. Pożeracze Dusz, niczym półprzejryste cienie ze złego snu. Twarz umierającego Taty.

By je odegnąć, wstał i zaczął się przechadzać. Zmusił się do myślenia.

Nie miał pojęcia, co zrobi nadchodzącego dnia, ale zdawał sobie sprawę, że Fin-Kedinn miał rację. Jeżeli miał jakąkolwiek szansę przeciwko niedźwiedziowi, leżała ona w sprycie. Duch Świata pomoże mu tylko wówczas, gdy Torak spróbuje poradzić sobie sam.

Raz jeszcze wyrecytował w pamięci wersy Przepowiedni.

Słuchający walczy powietrzem i przemawia ciszą... Słuchający walczy powietrzem...

Gdzieś w jego głowie zaświtał cień pomysłu.

Palce trzęsły się Torakowi tak bardzo, że nie był w stanie wyjąć korka z rogu z lekarstwami. Dlaczego zwlekał z tym do ostatniej chwili? Wilk chodził niestrudzenie tam i z powrotem przed szalasek, Kruki czekały, aż Torak wyruszy, a on wciąż nie mógł wyjąć korka z...

–Może ci pomóc? – Renn stanęła w drzwiach. Była blada i miała cienie pod oczami.

Torak podał jej róg, a ona wyciągnęła czarny, dębowy korek zębami.

–Po co to? – spytała, oddając róg.

–Znaki Śmierci – odpowiedział, nie patrząc jej w oczy. Renn zaparło dech.

–Takie, jak miał ten mężczyzna na lodowej rzece? Pokiwał głową.

–Ale on wiedział, że umrze. A ty może przeżyjesz...

–Tego nie wiemy. Nie chcę ryzykować, że moje dusze się rozdziela. Nie chciałbym stać się demonem.

Schyliła się, by podrapać Wilka za uchem.

–Masz rację.

Torak spojrział w stronę polany. Nastął ciemnoniebieski świt. Chmury nadciągnęły znad Gór podczas nocy, pokrywając las grubą warstwą śniegu. Zastanawiał się, czy mu to pomoże, czy zaszkodzi.

Wysypał szczyptę czerwonej ochry na dłoń i splunął na nią. Miał jednak zbyt sucho w ustach, żeby powstała maść.

Renn nachyliła się i splunęła mu na dłoń. Potem wzięła trochę śniegu, rozgrzała go w dłoniach i dodała do ochry.

–Dzięki – mruknął.

Drżącymi rękami namalował kręgi na swych stopach, mostku i czole. Kiedy ukończył ostatni, zamknął oczy. Poprzednim razem robił to samo dla Taty.

Wilk naparł na niego, znacząc swym zapachem nowe spodnie Toraka. Potem położył łapę na jego przedramieniu.

Jestem z tobą.

Torak nachylił się i dotknął nosem jego pyska. Wiem.

–Weź to – powiedziała Renn, podając mu woreczek z kruczej skóry. –

Dodałam więcej piołunu i porozmawiałam z Saeunn. Czar powinien poskutkować. Niedźwiedź nie wyczuje Nanuak.

Torak przywiązał woreczek do pasa. Czuł, że Znaki Śmierci obsychają na jego skórze.

–Może lepiej weź ze sobą i to. – Renn podała mu niewielkie zawiniątko z brzoźowego łyka.

–Co to jest?

–To, o co prosiłeś – wyjaśniła zdziwiona. – Robiłam to przez większość nocy.

Torak był zdruzgotany: niemal zapomniał. Gdyby wyruszył bez tego, nie byłby w stanie przeprowadzić swojego planu.

–Włożyłam też do środka trochę ziół oczyszczających – dodała Renn.

–Po co?

–Cóż. Jeśli zabijesz niedźwiedzia, staniesz się nieczysty. Bo to mimo wszystko niedźwiedź, myśliwy, nawet jeśli opętany przez demona. Będziesz się musiał oczyścić.

Jak dobrze, że Renn myślała o takich rzeczach. Naprawdę sądziła, że Torak ma szansę.

Wilk pisnął ze zniecierpliwieniem, a Torak zaczerpnął głęboko tchu. Czas ruszać.

Szli już przez polanę, gdy Torak przypomniał sobie o pozostawionym w namiocie rogu z lekarstwami i wrócił po niego biegiem. Kiedy wychodził, jednocześnie otwierając trzęsącymi się dłońmi torbę z lekarstwami, róg wypadł mu z dłoni.

Podniósł go Fin-Kedinn.

Wódz Kruków poruszał się o kulach. Obejrzał róg z lekarstwami i krew odpłynęła mu z twarzy.

–Należał do twojej matki – stwierdził.

Torak zamrugał.

–Skąd wiesz?

Fin-Kedinn milczał. Oddał róg Torakowi.

–Nie zgub go.

Torak upchnął róg w torbie. Dziwne słowa, zważywszy, dokąd szedł. Kiedy odwrócił się, by ruszyć w drogę, Fin-Kedinn przywołał go do siebie.

–Torak...

–Tak?

–Jeśli przeżyjesz, zawsze znajdzie się u nas miejsce dla ciebie. Jeśli będziesz chciał.

Torak był zbyt zaskoczony, by odpowiedzieć. Nim się pozbierał, wódz Kruków już się oddalił. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, jak zwykle.

Wysokie Góry obramowane były złotem, gdy Torak brnął przez śnieg ku oczekującym Krukom. Oslak wręczył mu śpiwór i bukłak, Renn podała mu toporek, kołczan i łuk. Co dziwne, Hord pomógł mu założyć plecak. Wyglądał srogo, lecz chyba pogodził się z tym, że to nie on wyruszy na poszukiwanie Góry.

Saeunn uczyniła znak dłonią nad Torakiem. Potem nad Wilkiem.

–Niechaj opiekun leci u waszego boku.

–I biegnie – dodała Renn, próbując się uśmiechnąć. Torak skinął głową. Chciał już iść.

Kruki przyglądały się w milczeniu, gdy ruszał przez śnieg, z Wilkiem drepczącym po jego śladach. Nie obejrzał się.

W Lesie panowała cisza, lecz gdy Wilk wysunął się na czoło, wyglądał na ożywionego i nieustraszonego. Torak stąpał ciężko za nim, z każdym oddechem z jego ust dobywał się kłęb pary. Było bardzo zimno, lecz dzięki staraniom Vandy nie czuł tego. Kiedy spał, zostawiła jego nowe ubranie w namiocie. Była to koszula z kaczaj skóry podszyta miękkim puchem, kurtka z kapturem i spodnie z ciepłej, zimowej skóry renifera, rękawiczki z zajęczego filtra przyszyte rzemieniem do rękawów i stare buty Toraka, starannie naprawione twardą skórą pochodzącą z nóg renifera, podbite futrem sobolim, z opaskami ze skóry kolienka wszytymi w podeszwy po zewnętrznej stronie, by buty trzymały się mocniej. Vanda odpruła nawet emblemat klanowy od starego kaftana i wszyła go w parkę. Pasek wilczej skóry był sponiewierany i brudny, ale bezcenny. Szykował go Tata.

Wilk odbiegł na bok, chcąc się czemuś przyjrzeć, i Torak od razu zwiększył czujność. Ślady wiewiórki: drobne, przypominające dłoń. Torak poszedł po tropie aż do miejsca, w którym zwierzątko wskoczyło pomiędzy dwa pokryte śniegiem krzaki jałowca, i poruszało się dalej w długich, nieregularnych skokach. Ślad urywał się pod jakąś sosną.

Torak odrzucił kaptur i rozejrzał wokół.

Las krzyczał ciszą. Cokolwiek wystraszyło wiewiórkę, zniknęło. Torak był jednak zły na siebie. Sam powinien zauważyć te ślady. Powinien być czujny przez cały czas.

Przez chwilę towarzyszyła im w podróży sójka, polatująca z drzewa na drzewo. Słońce wznosiło się coraz wyżej na bezchmurnym niebie. Wkrótce

Torak ciężko dyszał, gdyż musiał brnąć po kolana w oślepiająco świeżym śniegu. Postanowił nie wkładać butów śniegowych: co prawda ułatwiłyby wędrówkę, lecz spowolniłyby ją znacznie, gdyby musiał poruszać się szybciej.

Wilkowi szło się lepiej, rozcinał wąską klatką piersiową śnieg jak łódka wodę. Do przedpołudnia jednak także i on się zmęczył. Teren wznosił się miarowo, zgodnie ze słowami Krukosluka.

–Kiedyś mój dziadek zawędrował w pobliże Góry – wyjaśnił, gdy Torak obudził go w środku nocy. – Podszedł tak blisko, że ją czuł. Pójdiesz stąd wzdłuż strumienia na północ, teren się będzie wznosił, póki nie znajdziesz się w cieniu Wysokich Gór. Około południa dotrzesz do rozłupanego przez piorun świerka, rosnącego w gardzieli wąwozu. Wąwóz jest stromy, zbyt stromy na wspinaczkę. Ale od zachodu przylega do niego ścieżka...

–Co to za ścieżka? – spytał Torak. – Kto ją zrobił?

–Nikt nie wie. Po prostu nią pójdiesz. To drzewo trafione piorunem ma w sobie siłę ochronną. Strzeże ścieżki przed złem. Może ochroni i ciebie.

–A potem? Jak mam iść dalej? Krukosluk rozłożył ręce.

–Idź ścieżką. Gdzieś u końca wąwozu znajduje się Góra.

–Jak długo trzeba iść?

–Nikt nie wie. Mój dziadek nie uszedł daleko, nim Duch go powstrzymał. Duch zawsze powstrzymuje śmiałków. Może... może z tobą będzie inaczej.

Może, myślał Torak, brnąć przez śnieg.

Jeżeli plan się powiedzie – jeśli Duch Świata odpowiedział na jego błaganie – niedźwiedź zostanie zniszczony, a Las uratowany. Jeśli nie, nie będzie drugiej szansy. Ani dla Lasu, ani dla Toraka.

Idący przodem Wilk podniósł łeb i zaczął węszyć. Odstłonił zęby. Co wyczuł?

Uszedłszy kilka kroków, Torak zauważył, że coś zmiotło śnieg z gałęzi na wysokości ramienia. Chwilę potem natrafił na drzewko jałowca. Kilka gałązek zostało nierównomiernie obgryzionych.

–Płowy jelen – mruknął.

Plątanina śladów potwierdziła jego przypuszczenia. Wyglądały na oko jak ślady jednego zwierzęcia, zapewne kozła: samce nie podnoszą stóp równie wysoko, co łanie, a to zwierzę powłóczyło trochę nogami, jak dowodziły ślady na śniegu.

Lecz jeśli był to tylko jelen, dlaczego Wilk odstłonił zęby?

Torak rozejrzył się. Wyczuł, że Las wstrzymuje oddech. Odciski niedźwiedzi łap wyskoczyły na niego ze śniegu.

Nie widział ich wcześniej, gdyż były bardzo szeroko rozstawione, ale teraz dostrzegł też ślady panicznej ucieczki jelenia w dół zbocza. Odciski

niedźwiedzi łap ścigały odciski racic. Rozpiętość kroku była przerażająca.

Siląc się na spokój, Torak zmusił się, by obejrzeć ślad. Niedźwiedź galopował, jako że wzór odcisków był odwrócony, ze śladami tylnych łap o ludzkich kształtach przed szeroko rozrzuconymi odciskami łap przednich. Były trzy razy większe od głowy Toraka.

Są świeże, pomyślał, chociaż krawędzie lekko się już zaokrągliły. Jednak przy takim słońcu nie trzeba na to wiele czasu...

Wilk przeskoczył odciski łap, chcąc prędko iść dalej.

Torak podążył za nim nieco wolniej. Każdy krzak i kamień przybierał postać niedźwiedzia.

Zaczęli piąć się zboczem w górę, Wilk był coraz bardziej podekscytowany. Wybiegał naprzód, by za chwilę wrócić do Toraka i ponaglać go krótkimi sapnięciami. Zapewne zbliżali się w końcu do Góry. Może dlatego Wilk był bardziej ożywiony niż wystraszony. Torak chętnie podzieliłby jego ożywienie, lecz czuł jedynie brzemień Nanuak u pasa i grozę niedźwiedzia nad sobą.

Las rozdarł odległy ryk.

Sójka krzyknęła i odleciała.

Torak chwycił za rękojeść noża tak mocno, że poczuł ból. Blisko? Skąd? Nie był w stanie powiedzieć.

Wilk czekał, by Torak się z nim zrównał. Odstłonił zęby, lecz ogon trzymał wysoko. Było jasne, co chce powiedzieć. Jeszcze nie.

Idąc chwiejnie po śniegu, Torak rozmyślał, co stało się z duszami niedźwiedzia. W końcu, jak powiedziała Renn, był to ciągle niedźwiedź; skoro polował na łososie, zbierał jagody i spał zimą. Czy jego trzy dusze dzieliły ciało z demonem? Uwięzione, przerażone?

Okrażył kamień – i zobaczył świerk trafiony piorunem.

Dodało mu to ducha.

Wysokie Góry strzelały w niebo ponad głową Toraka, oślepiając bielą. Wąwóz wrzynał się w nie niczym nóż. Wiódł wciąż dalej i dalej w głąb Gór, niknąc w nieprzeniknionej chmurze. Obok wąwozu biegła wąska ścieżka, wijąca się od miejsca, w którym stał Torak. Kto ją zrobił? W jakim celu? Kto śmiałby postawić na niej stopę i zapuścić się na nawiedzone tereny?

Raptem chmury na końcu wąwozu się rozstąpiły i oczom Toraka ukazało się to, co było za nimi. Burzowe chmury kłębiły się wokół przenikliwego, nieruchomego zimna bijącego ze szczytu góry sięgającej niewiarygodnej wysokości, góry przebijającej niebo niczym sztylet: siedliska Ducha Świata.

Torak zamknął oczy, lecz wciąż czuł moc Ducha, która sprawiała, że chciał upaść na kolana. Czuł Jego gniew. Pożeracze Dusz wypuścili demona z

Zaświatów. Potwór wymknął im się i szalał po Lesie. Złamali pakt. Dlaczego Duch miałby sprzyjać klanom, skoro niektóre spośród nich były tak zdradzieckie?

Pochylił głowę. Nie mógł iść dalej. To nie było miejsce dla niego. Była to ziemia duchów, nie ludzi.

Kiedy otworzył oczy, Góry już nie było – ponownie spowiły ją chmury.

Torak przykucnął. Nie dam rady, pomyślał. Nie dojdę tam.

Wilk usiadł przed nim, jego oczy w kształcie łez były czyste jak woda. Dasz radę. Jestem z tobą. Torak potrząsnął głową.

Wilk odpowiedział mu nieruchomym spojrzeniem. Torak pomyślał o Renn, Fin-Kedinnie i Krukach, o wszystkich innych klanach, o których nawet nie wiedział. Przyszły mu na myśl niezliczone żywe istoty zamieszkujące Las. Pomyślał o Tacie: nie Tacie umierającym wśród resztek szalasu, lecz Tacie sprzed ataku niedźwiedzia: śmiejącym się, gdy Torak powiedział coś zabawnego.

Smutek wezbrał mu w piersi. Wyjął nóż z pochwy i zdjął rękawiczkę, by dotknąć nagą dłonią zimnego, błękitnego łupka.

– Nie możesz się teraz zatrzymać – powiedział na głos. – Złożyłeś przysięgę Tacie.

Zdjął kołczan i łuk, i oparł je o drzewo. To samo zrobił z plecakiem, śpiworem, bukłakiem i toporkiem. Nie będą mu potrzebne. Tylko nóż, Nanuak w woreczku ze skóry kruka, i małe zawiniątko z brzoźowego łyka od Renn w worku z lekarstwami.

Spojrzał po raz ostatni na Las i ruszył ścieżką za Wilkiem.

Kiedy tylko Torak postawił stopę na ścieżce, zrobiło się zimniej. Oddech zamarzał mu w nozdrzach. Powieki lepiły się do siebie. Duch ostrzegał go, by zawrócić. Lód pod jego butami był kruchy, każdy krok rozlegał się echem w wąwozie. Miękkie wilcze łapy stąpały bezgłośnie. Wilk odwrócił się i poczekał na Toraka: z rozluźnionym pyskiem, lekko rozkołysanym ogonem. Jak gdyby cieszyło go, że się znalazł w tym miejscu.

Torak zrównał się z nim, dysząc ciężko. Ścieżka była tak wąska, że mieli akurat dość miejsca, by stanąć obok siebie. Torak spojrzał w dół – i pożałował. Już teraz od dna wąwozu dzieliła ich wielka odległość.

Wchodzili coraz wyżej. Słońce rozjaśniło przeciwległe zbocze parowu, blask był oślepiający. Lód stawał się coraz bardziej zdradliwy. Torak postawił nogę za blisko krawędzi ścieżki, lód pękł, a on niemal się ześliznął.

Mniej więcej czterdzieści kroków przed nimi ścieżka rozszerzała się nieco pod nawisem skalnym. Był zbyt płytki, by go nazwać jaskinią: zwykła wnęka, w

której przeświecał czarny bazalt wąwozu. Na jej widok nastrój Toraka poprawił się odrobinę. Liczył na takie schronienie. Będzie go potrzebował, by zrealizować swój plan...

Idący obok Wilk znieruchomiał.

Patrzył w dół, ku wąwozowi, uszy wysunął do przodu, sierść podniosła mu się na karku.

Torak ocienił oczy dłonią i wyjrzał za krawędź. Nic. Czarne pnie drzew. Kamienie pod czapą śniegu. Zdziwiony, odwrócił się i chciał iść dalej, gdy nagle pojawił się niedźwiedź, niespodziewanie, jak to niedźwiedź. Najpierw ruch na dnie wąwozu – i już był.

Nawet z odległości pięćdziesięciu, sześćdziesięciu kroków wydawał się ogromny. Torak stał jak wrośnięty w ziemię, a potwór kołysał się z boku na bok, wężąc.

Niczego nie zwiertzył. Torak był zbyt wysoko. Niedźwiedź nie wiedział o jego obecności. Odwrócił się i ruszył w dół wąwozu, w stronę Lasu.

Przyszedł czas, by zrobić to, co jeszcze niedawno byłoby nie do pomyślenia. Torak musiał przywabić niedźwiedzia z powrotem.

Był tylko jeden niezawodny sposób, żeby to zrobić. Torak ściągnął rękawicę i chuchnął w palce, by je rozgrzać, a potem odwiązał od paska woreczek ze skóry kruka, rozsuptał sznur z włosów, otworzył pudełko wyściełane korą jarzębiny, i stanął oko w oko z Nanuak. Oczami rzeki, kamiennym zębem i lampą.

Wilk wydał z siebie przeciągły, niski skowyt.

Torak oblizwał wargi pokryte kryształkami lodu. Wyjął z torby z lekarstwami małe zawiniątko z brzoźowego łyka, które dostał od Renn. Upchnął zioła oczyszczające i brzoźowe łyko za kołnierzem kurtki. Pod spodem leżał przedmiot, który dziewczyna przygotowała dla niego w nocy. Mały woreczek wypleciony z trawy tak misternie, że wytrzymałby nawet ciężar oczu rzeki, zarazem pozwalając, by na zewnątrz wydostał się blask Nanuak – światło, którego Torak nie widział, ale niedźwiedź tak.

Unikając starannie dotykania Nanuak gołymi rękami, wsunął lampę, kamienny ząb i oczy rzeki do wyplatane go woreczka. Następnie zawiązał go i zawiesił na sznurku u szyi. Od tej chwili niósł Nanuak odśloniętą na piersi.

W wilczych oczach odbiło się delikatne, pulsujące światło: światło Nanuak. Skoro Wilk był w stanie je dostrzec, to demon również. Torak liczył na to.

Odwrócił się przodem do niedźwiedzia, który uszedł już kawałek w dół wąwozem, bez wysiłku pokonując zaśnieżony teren.

– Jest tutaj – powiedział Torak cicho, by nie drażnić Ducha Świata. – Tego właśnie szukasz: najjaśniejsze ze wszystkich lśniących dusz, których tak

nienawidzisz, które chcesz zgasić na zawsze. Chodź, czekają na ciebie.

Reakcja była szybsza, niż się spodziewał. Potężną łopatką niedźwiedzia wstrząsnął dreszcz. Wielki łeb odwrócił się. Niedźwiedź zawrócił i ruszył z powrotem w jego stronę.

Torak poczuł dziwne uniesienie. Ten potwór zamordował Tatę. Od tamtej chwili musiał uciekać. Teraz już nie uciekał. Stawał do walki.

Niedźwiedź poruszał się nadspodziewanie szybko; wkrótce znalazł się pod nim. Stał na zadnich łapach, jak człowiek. Choć Toraka dzieliło od niego pięćdziesiąt kroków, widział niedźwiedzia tak wyraźnie, jakby ten znajdował się na wyciągnięcie dłoni.

Podniósł łeb i spojrzał Torakowi w oczy, a chłopak zapomniał o Duchu, zapomniał o przysiędze złożonej Tacie. Nie stał już na oblodzonej górskiej ścieżce, był znowu w Lesie. Ze szczątków rozbitego szałasów dobiegł go dziki krzyk Taty. Uciekaj, Torak!

Nie był w stanie się ruszyć, chciał uciec, pomknąć ścieżką w górę, w stronę wnętrza, jak sobie postanowił, ale nie mógł. Demon usidlił jego wolę i ciągnął go w dół, w dół...

Wilk warknął.

Torak otrząsnął się z odrętwienia i ruszył chwiejnym krokiem w górę. Wpatrywanie się w oczy niedźwiedzia było jak wpatrywanie się w słońce – odcisnęły w jego umyśle swoje zielone kontury.

Usłyszał trzask lodu. Niedźwiedź zaczął się wspinać po zboczu wąwozu. Torak wyobraził sobie, z jaką łatwością mu to przychodzi. Musiał dotrzeć do wnętrza, inaczej nie będzie miał szansy.

Wilk pomykał ścieżką w górę. Torak pośliznął się i opadł na jedno kolano. Wstał z trudem. Zerknął za krawędź. Niedźwiedź pokonał już jedną trzecią drogi.

Biegł dalej. Dotarł do nawisu, wcisnął się w płytką szczelinę, zgiął w pół i walczył o oddech. Przyszła kolej na drugą część planu – wezwanie Ducha na pomoc.

Wyprostował się z trudem, wypełnił płuca powietrzem, odrzucił głowę do tyłu i zawył.

Wilk podjął skowyt, ich przenikliwe okrzyki odbijały się od ścian wąwozu – tam i z powrotem, dalej i dalej, pędziły aż do samych Gór. Duchu Świata, wył Torak, przynoszę Ci Nanuak! Wysłuchaj mnie! Ześlij swą moc, by zgładzić demona z Lasu!

Postłyszał, że niedźwiedź jest blisko... lód klekotał w wąwozie.

A Torak wył i wył, aż rozboleły go żebra. Duchu Świata, wysłuchaj mej prośby... Nic się nie stało.

Torak przestał wyć. Ogarnęła go zgroza. Duch Świata nie odpowiedział na jego wołanie. Niedźwiedź szedł po niego...

Wtem zorientował się, że Wilk też przestał wyć.

Oglądaj się za siebie, Torak.

Topór Horda pędził, wirując, prosto na niego.

Torak uchylił się, topór przemknął z sykiem obok jego ucha i wbił się w lód w miejscu, gdzie chłopiec jeszcze przed chwilą stał. Hord wyrwał topór z lodu.

–Oddaj mi Nanuak! – krzyczał. – To ja muszę ją zanieść na Górę!

–Zostaw mnie w spokoju! – odparł Torak.

Na krawędzi wąwozu rozległ się zgrzyt lodu. Niedźwiedź był prawie na ścieżce.

Srogą twarz Horda wykrzywił grymas bólu. Torak ledwo potrafił sobie wyobrazić, ile samozaparčia wymagało, by ruszyć za nimi Lasem nękanym przez demona; by ściągnąć na siebie gniew Ducha, wkraczając na ścieżkę.

–Oddaj mi Nanuak! – powtórzył Hord.

Wilk zaczął się do niego zbliżać, całym jego ciałem wstrząsnęło warczenie. Nie był już szczeniakiem; był dzikim młodym wilkiem stojącym w obronie brata ze stada.

Hord nie zwracał na niego uwagi.

–Ja muszę ją mieć! To wszystko moja wina! Ja muszę położyć temu kres!

Nagle Torak zrozumiał.

–To ty. Byłeś tam wtedy, gdy niedźwiedź powstawał. Razem z ludźmi z klanu Płowego Jelenia. To ty pomogłeś kulawemu Pożeraczowi Dusz schwytać demona.

–Nie wiedziałem! – zaprotestował Hord. – Powiedział, że potrzebuje niedźwiedzia, więc schwytałem dla niego młode zwierzę. Nie miałem pojęcia, co zamierza zrobić.

Wtedy stało się kilka rzeczy naraz. Topór Horda pomknął w stronę gardła Toraka. Ten zrobił unik. Wilk rzucił się na Horda i zatopił mu kły w nadgarstku. Hord zawył, upuścił topór, lecz wolną pięścią zaczął okładać odsłonięty łeb Wilka.

–Nie! – wrzasnął Torak, wyciągając nóż i rzucając się na Horda.

Hord chwycił Wilka za kark i cisnął nim o bazaltową ścianę, odwrócił się i sięgnął po Nanuak na szyi Toraka.

Torak odskoczył poza zasięg jego ramion. Hord chwycił go za nogi, przewracając na lód. Lecz chłopiec w chwili, gdy upadał, zerwał woreczek z szyi i odrzucił w stronę Gór, aby Hord nie mógł go dosięgnąć. Wilk wyprostował się, otrząsnął i skoczył za woreczkiem. Chwycił go w locie, lądując niebezpiecznie

blisko krawędzi.

–Wilku! – krzyknął Torak, zmagając się z Hordem, który usiadł mu okrakiem na piersi, przyciskając ręce kolanami do ziemi.

Wilk zamachał dziko tylnymi łapami na krawędzi. Tuż pod nim rozległ się potworny warkot – czarne szpony niedźwiedzia przecięły powietrze, prawie dosięgając łap Wilka.

Wilk zdobył się na niewyobrażalny wysiłek i skoczył na ścieżkę. Wówczas jednak, po raz pierwszy w życiu, postanowił przynieść Torakowi to, co tamten rzucił. Pomknął w stronę chłopca, ściskając Nanuak w zębach.

Hord wyciągnął dłoń po woreczek. Torak uwolnił jedną dłoń i odtrącił ramię Horda. Gdyby tylko udało się wyjąć spod kolana Horda rękę z nożem.

Nieziemski ryk wstrząsnął wąwozem. Torak patrzył pełen grozy, jak niedźwiedź włązi na ścieżkę.

W tym decydującym momencie, gdy niedźwiedź wniósł się nad walczącymi, Wilk przystanął z Nanuak w pysku; w tym decydującym momencie, gdy Torak zmagał się z Hordem, dotarł do niego prawdziwy sens Przepowiedni: Słuchający napoi Górę krwią swego serca.

Krew jego serca.

Wilk.

–Nie! – krzyknęło mu coś w środku głowy. Ale wiedział, co musi zrobić.

Zawołał do Wilka:

–Zanieś to na Górę! Urrf! Urrf! Urrf! Bursztynowe oczy spotkały się ze wzrokiem Toraka.

–Urrf! – sapnął Torak.

Wilk odwrócił się i pomknął ścieżką w stronę Góry.

Hord warknął z furją i ruszył za nim, ale pośliznął się i opadł z wrzaskiem w tył, prosto w łapy niedźwiedzia:

Torak wstał. Hord nie przestawał krzyczeć. Torak musiał mu pomóc...

Gdzieś ponad nimi rozległ się ogłuszający trzask.

Ścieżka zadygotała. Torak opadł na kolana.

Trzask przeszedł w ogłuszający huk. Chłopiec rzucił się w stronę wnęki, i wtedy w dół runął niepowstrzymany, wściekły, zabójczy śnieg, który zmiotł ze ścieżki Horda, zmiotł niedźwiedzia, posyłając ich wśród skowytów w dół, na śmierć.

Duch Świata wysłuchał błagań Toraka.

Ostatnie, co Torak zobaczył, to Wilk. Trzymał Nanuak w szczękach i uciekał pędem przed grzmiącym śniegiem w stronę Góry.

–Wilku! – zawołał.

Cały świat zalała śnieżna biel.

Torak nie wiedział, jak długo z zaciśniętymi oczami kulił się pod skalną ścianą. Wreszcie zdał sobie sprawę, że dudnienie zmieniło się w echo – i że to echo słabło. Duch Świata wracał na Górę. Odgłos jego kroków cichł w syku osadzającego się śniegu.

Rozległ się szept... A potem – cisza. Torak otworzył oczy.

Widział przed sobą wąwóz. Nie został pogrzebany żywcem. Duch Świata ominął wnękę, pozwalając mu żyć. Ale gdzie był Wilk?

Torak wstał i chwiejnym krokiem podszedł do krawędzi. Biała śmierć uspokoiła się. Wąwóz zniknął pod chaosem lodu i kamieni. Śnieg pogrzebał niedźwiedzia i Horda.

Hord zapłacił życiem. Niedźwiedź stał się tylko pustą skorupą, bo Duch Świata wygnał demona w Zaświaty. Prawdziwe dusze niedźwiedzia mogły teraz, po długim okresie uwięzienia w jednym ciele z demonem, zaznać spokoju.

Torak dotrzymał obietnicy złożonej Tacie. Zaniósł Nanuak Duchowi Świata, a Duch zniszczył niedźwiedzia.

Wiedział o tym, ale jeszcze tego nie czuł. Czuł tylko ból w piersi. Gdzie jest Wilk? Czy udało mu się dotrzeć do Góry, nim zeszła lawina? A może też leżał pogrzebany pod zwałami lodu?

– Błagam cię, żyj! – mruczał Torak. – Błagam! Już nigdy więcej o nic nie poproszę.

Wiatr rozwiewał mu włosy, nie przynosząc odpowiedzi.

Młody kruk nadleciał od strony Gór, pokrzykując w podniebnym tańcu i ciesząc się lotem. Na wschodzie rozległo się dudnienie racic. Torak wiedział, co to oznacza. Renifery schodziły z turni. Las wracał do życia.

Odwrócił się i zobaczył, że droga na południe stoi otworem. Mógł wrócić do Renn, Fin-Kedinna i Kruków.

Wtedy na północy – za zwałami lodu zagrządzającymi drogę, za chmurami spowijającymi Górę Ducha Świata – zawył wilk.

Nie był to wysoki, drżący skowyt szczenięcia, lecz czysta, chwytająca za serce pieśń młodego wilka. A mimo to nie do pomylenia. To był Wilk.

Ból w piersi Toraka pękł i uleciał w powietrze.

Przysłuchiwał się pieśni Wilka, do którego dołączyły teraz inne: wznosząc się i opadając, lecz nie zagłuszając tego jedyne, ukochanego dźwięku. Wilk nie był sam.

Oczy Toraka zaszły łzami. Zrozumiał. Wilk wył na pożegnanie. Nie wróci już.

Wycie ucichło. Torak pochylił głowę.

– Ale żyje – odezwał się. – Tylko to się liczy. Żyje. Bardzo chciał

odpowiedzieć Wilkowi, że nie rozstają się na zawsze; że pewnego dnia znajdzie sposób, by znów byli razem. Ale nie wiedział jak, gdyż w wilczej mowie nie ma przyszłości.

Zamiast tego powiedział to we własnej mowie. Zdawał sobie sprawę, że Wilk nie zrozumie, ale składał tym samym obietnicę samemu sobie.

–Pewnego dnia – zawołał, a jego głos rozległ się donośnie w jaśniejącym powietrzu – pewnego dnia będziemy znowu razem. Będziemy razem polować w Lesie. Razem... – Głos mu się załamał. – Przyrzekam, mój bracie, wilku.

Nie było odpowiedzi. Ale Torak jej nie oczekiwał. Złożył obietnicę.

Przystanął i podniósł garść śniegu, aby schłodzić rozpaloną twarz.

Wspaniałe uczucie. Sięgnął po więcej i starł z czoła Znak Śmierci.

A potem odwrócił się i ruszył w stronę Lasu.

Od AutorkiGdyby można było cofnąć się do czasów, w których żył Torak, odnalazłoby się w tamtym świecie coś zadziwiająco znajomego i coś skrajnie odmiennego. Sześć tysięcy lat temu całą północno-zachodnią Europę porastał Las. Epoka lodowcowa dobiegła końca kilka tysięcy lat wcześniej, zniknęły już mamuty i tygrysy szablozębne; i chociaż większość drzew, roślin i zwierząt wygląda teraz tak samo, jak wówczas, leśne konie były wówczas silniejsze, zaś pierwsze zetknięcie z turem – ogromnym dzikim bykiem ze sterczącymi do przodu rogami, mierzącym ponad dwa metry w kłębie – pozostawiłoby niezatarte wrażenie.

Ludzie ze świata Toraka wyglądaliby jak ty lub ja, choć ich sposób życia był zupełnie inny. Ci zbieracze-myśliwi żyli w niewielkich grupach – klanach – i często się przemieszczali: czasami obozując w jednym miejscu tylko przez parę dni, czasem zaś przez miesiąc czy nawet jedną porę roku, jak klany Kruka czy Knura. Ludzie nie umieli jeszcze wówczas uprawiać ziemi, pisać, wyrabiać metalu, nie znali też koła. Nie potrzebowali tych rzeczy. Potrafili doskonale żyć i przetrwać bez nich. Wiedzieli niemal wszystko o zwierzętach, drzewach, roślinach i kamieniach Lasu. Jeśli czegoś potrzebowali, wiedzieli, gdzie tego szukać albo jak to zrobić.

Wiele dowiedziałam się dzięki pracom archeologów, innymi słowy, dzięki zachowanym resztkom broni, ubrań i szataśców, które pozostawili w lesie dawni ludzie. Ale to tylko mały fragment. Jak myśleli? Co sądzili o życiu i śmierci, o tym, skąd się wzięli? Aby to sobie wyobrazić, musiałam przyjrzeć się życiu bardziej współczesnych zbieraczy i myśliwych, włączając w to niektóre plemiona rdzennych Amerykanów, Inuitów (Eskimosów), plemienia San z południowej Afryki oraz Ainu z Japonii.

Wciąż jednak otwarte pozostaje pytanie, jak to właściwie jest mieszkać i żyć

w Lesie. Jak smakuje świerkowa żywica? Serce renifera, wędzony łoś? Jak to jest spędzić noc w jednym z otwartych szałasów klanu Kruka?

Na szczęście jest sposób, by się o tym przekonać, przynajmniej do pewnego stopnia, gdyż fragmenty Lasu przetrwały do dziś. Odwiedziłam je. Niekiedy wystarczyły trzy sekundy, by cofnąć się w czasie o sześć tysięcy lat. Jeżeli usłyszysz zawodzenie płowego jelenia o północy, znajdziesz świeże odciski wilczych łap krzyżujące się z twoimi; jeśli nagle będziesz musiał prędko przekonać niedźwiedzia, że nie jesteś ani zwierzyną, ani zagrożeniem... znajdziesz się z powrotem w świecie Toraka.

Na koniec chciałabym podziękować kilku osobom. Dziękuję Jormie Patosalmi za to, że przeprowadził mnie przez lasy północnej Finlandii; za to, że dzięki niemu mogłam zadać w róg z brzozy kory, że pokazał mi, jak nieść ogień w kawałku huby, oraz za wiele innych wskazówek dotyczących polowania i Lasu. Pragnę również podziękować panu Derrickowi Coyle, Mistrzowi Kruków z Yeoman w Tower of London, który zapoznał mnie z kilkoma bardzo szczególnymi krukami. Jeśli zaś idzie o wilki, wiele zawdzięczam pracy Davida Mecha, Michaela Foga, Lois Crisler i Shaun Ellis. I wreszcie, chciałabym podziękować mojemu agentowi, Peterowi Coxowi, oraz wydawcy – Fionie Kennedy, za ich niesłabnący entuzjazm i wsparcie.

Michelle Paver Londyn 2004

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org

2010-04-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-05-12

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/